



Rok XXXVI

Styczeń — grudzień 1991

I-VI (331—336) 91



XXXV-LECIE BIULETYNU PTTK W ŁODZI

fot. B. Bazyliński



AL. KOŚCIUSZKI 93

fol. B. Bazylński

Od Redakcji — Jubileusz XXXV-lecia . . . . .	3
Adam Chyżewski — Regionalne Ośrodki Programowe . . . . .	4
Zbigniew Lipowski — Spacerkiem po Piotrkowskiej . . . . .	6
Mirosław Jaskulski — Łódź Kaliska. Przyczynek do dziejów łódzkiego węzła komunikacyjnego . . . . .	9
Grażyna Kobołek — Łódzka Rodzina Radiowa . . . . .	13
Krzysztof Woźniak — Z Królem Kurkowym w parku Źródlińska . . . . .	18
Zbigniew Lipowski — W 100-lecie łódzkiego benefis Heleny Modrzejewskiej . . . . .	22
Zbigniew Lipowski — Rozowa z Bożenną Pietraszczyk, z-ca dyrektora Muzeum Historii Miasta Łodzi . . . . .	25
Stanisław Bulkiewicz — Guziki . . . . .	28
Zbigniew Lipowski — Łódzki epizod prof. Ludwika Tyrowicza w 90-tą rocznicę urodzin artysty . . . . .	32
Kazimierz Hempel — Legenda wypraw Mieczysława Orłowicza . . . . .	34
Teodor Ziegler — Pierwsza powojenna wycieczka Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Góry Świętokrzyskie w 1948 roku . . . . .	36
Stanisław Bulkiewicz — Jeszcze o bonach z Sulejowa . . . . .	38
Zbigniew Parafianowicz — Ze Strykowa przez Dobrą do Imielnika Starego . . . . .	41
Zbigniew Lipowski — W Nowym Dworze dwór jak nowy! . . . . .	44
Grażyna Kobołek — Kościół Świętego Ducha w Łęczycy . . . . .	47
Grażyna Kobołek — Dawny kościół i klasztor dominikanów w Łęczycy . . . . .	48
Rafał Leszczyński — Szkoła Akademicka w Widawie . . . . .	51
Bohdan Sutarski, Marek Sekieta — Legendy Widawskie . . . . .	55
Daniela Kaszczyk-Grodzicka — Wrażenia z wycieczki na Kubę . . . . .	63
Zbigniew Lipowski — Bliżej korzeni... . . . . .	70
Spis treści rocznika 1990 Biuletynu PTTK „Wędrownik” . . . . .	71

BIULETYN PTTK „WĘDROWNIK” jest wspólnym organem Regionalnej Pracowni Krajoznawczej, Oddziałów, Klubów i Kół PTTK.



Wydaje Regionalna Pracownia Krajoznawcza PTTK w Łodzi



Adres Redakcji: ul. Wigury 12a, 90-301 ŁÓDŹ, tel. 36-43-70



Redaguje Komitet w składzie: Bohdan Bazylński, Adam Chyżewski, Anna Dąbrowska (Sekretarz Redakcji), Zbigniew Lipowski, Leonard Matuszewski, Anna Pilarska (Redaktor Naczelny) i Stefan Zwierzyński (Redaktor Techniczny)



Numer zamknięto w październiku 1991 roku.



Redakcja informuje, że w ostatnim numerze biuletynu „Wędrownik” nie ukazał się, z przyczyn technicznych, a został umieszczony w spisie treści artykuł Kol. Z. Lipowskiego pt. „Bliżej korzeni”, który drukujemy w niniejszym numerze. Za powstały błąd Czytelników serdecznie przepraszamy.



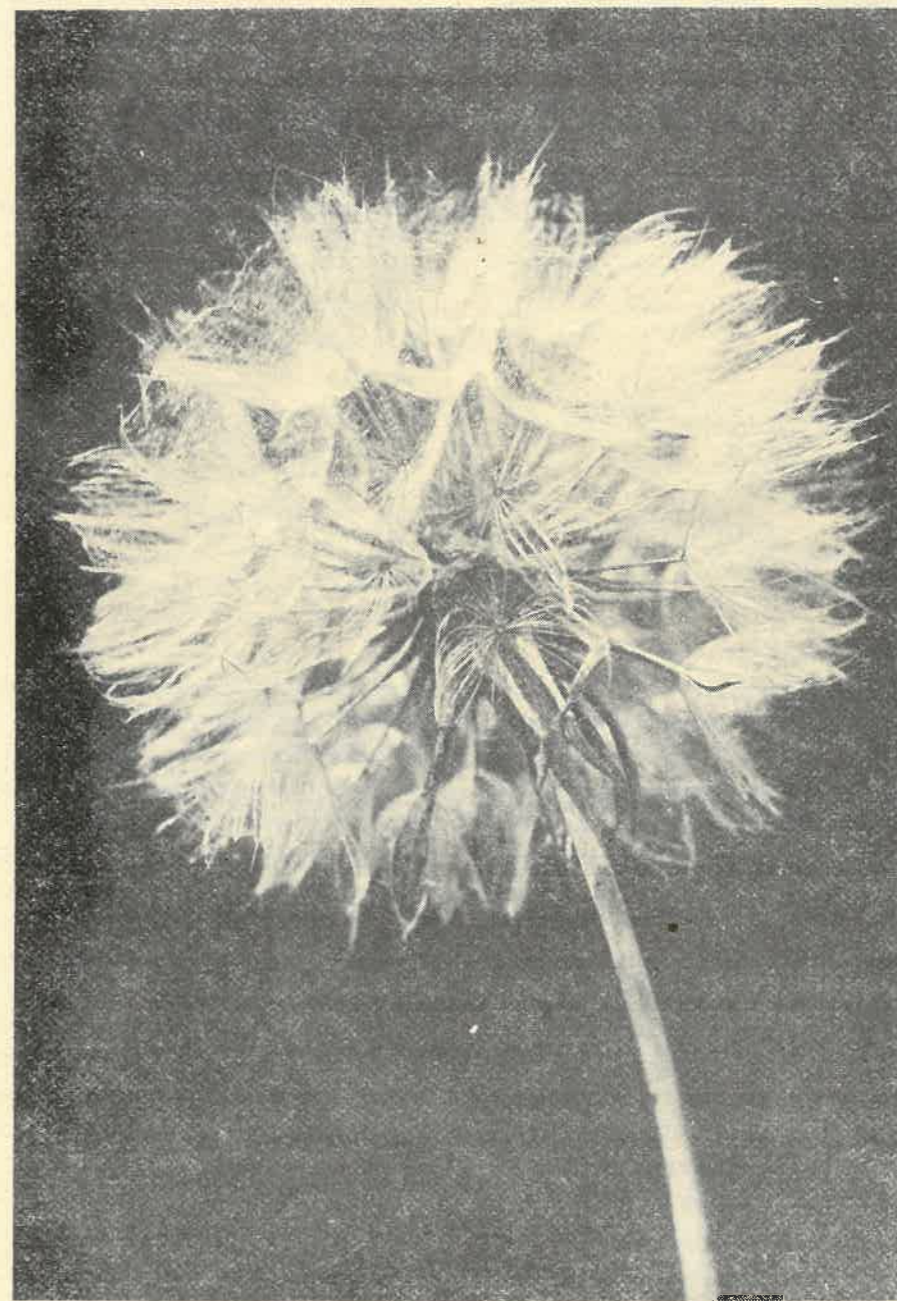
## Jubileusz XXXV-lecie

W bieżącym roku Biuletyn Zarządu Wojewódzkiego PTTK w Łodzi obchodzi XXXV-lecie swego istnienia. Po raz pierwszy ukazał się w marcu 1956 roku jako wydawnictwo regionalne o charakterze krajoznawczo-turystycznym. Celem jego powstania było wyjście naprzeciw tym wszystkim, którym bliska była pasja wędrowania i poznawania ojczystego kraju.

Drukowane w Biuletynie na przestrzeni 35-ciu lat artykuły z zakresu zagadnień przyrodniczych, architektonicznych czy sztuki;

wspomnienia ludzi parających się turystyką czy też przedstawiane sylwetki osób, dla których wędrowanie było prawdziwą pasją życia oraz artykuły informacyjne o działalności programowej regionalnych oddziałów PTTK miały spełniać dwie podstawowe funkcje.

Po pierwsze miały zaspakajać potrzeby zaangażowanych turystów i krajoznawców; po drugie miały zachęcać, szczególnie ludzi młodych do poznawania walorów turystycznych i krajoznawczych.



fot. B. Bazyliński

Czy funkcje te spełniły? Nie nam to oceniać. Mamy jednak nadzieję, że chociaż w pewnej mierze przyczyniły się one do rozpowszechnienia wiedzy krajoznawczej. Wierzmy również i w to, że przynajmniej u niektórych Czytelników wyzwoliły potrzebę wędrowania połączoną z potrzebą poznawania, a więc te potrzeby, które otwierają człowieka w stronę umiłowania tego, co piękne, co pozwala głęboko przeżyć rzeczywiste wartości otaczającego świata.

35 lat, to jak na regionalne wydawnictwo periodyczne — mało i dużo.

W wymiarze historycznym, to niewiele, natomiast z pozycji redagujących i wydających, to „kawał” czasu.

Od początku swego istnienia Biuletyn był redagowany i wydawany przez społeczne grono działaczy naszego Towarzystwa. Autorami artykułów i zdjęć byli i są wybitni krajoznawcy i turyści skupieni w Towarzystwie oraz mi-

łośnicy idei wędrowania i poznawania ziemi ojczyźnej nie związani z PTTK.

Jubileusz XXXV-lecia jest dla Redakcji „Wędrownika” okazją do wyrażenia wdzięczności tym wszystkim, którzy przyczynili się i nadal przyczyniają się do istnienia naszego wydawnictwa. W pierwszej kolejności serdecznie dziękujemy Autorom za dostarczanie cennych materiałów; dziękujemy Zarządowi Głównemu PTTK za pomoc i wsparcie; gorąco dziękujemy wszystkim Czytelnikom za wierność i cenne uwagi, i wreszcie nasze serdeczne podziękowania kierujemy do współpracujących z nami drukarni.

Dziękując wszystkim i każdemu z osobna wyrażamy nadzieję, że dotychczasowy zapal i zaangażowanie pozwolą naszemu wydawnictwu doczekać kolejnych, pięknych jubileuszy.

Redakcja

ADAM CHYŻEWSKI

## Regionalne Ośrodki Programowe

Delegaci na XII Zjazd Krajowy PTTK opuścili salę ostatniej tury obrad zadowoleni i jednocześnie zatroskani. Zadowoleni, bo trwające blisko 7 miesięcy prace Zjazdu przyniosły w końcu nowy statut Towarzystwa, zatroskani wieloma znakami zapytania o przyszłość, w której przyjdzie działać w nowych warunkach formalnych. To zatroskanie widoczne było w dyskusji zjazdowej i dotyczyło zarówno szeregu spraw szczegółowych, jak i co najmniej trzech zagadnień podstawowych. Pierwsze sprowadza się do kwestii finansowych, jakkolwiek nowy statut zapowiadał możliwości pewnych oszczędności w wydatkach administracyjnych i ożywienia terenowej aktywności gospodarczej. Druga kwestia dotyczyła przewidywanych trudności w działaniu Towarzystwa jako całości. Trudności te, oprócz dających się w przybliżeniu przewidzieć spraw organizacyjnych, pojawiły się głównie w sferze programowej. Przyszłość rozstrzygnie czy PTTK będzie zdol-

ne zachować i rozwijać swoją specyficzną działalność i w jakim zakresie. Dla każdego uważnego obserwatora Zjazdu było oczywiste, że w naszej strukturze nastąpi konieczność znacznego przeniesienia ciężaru programowego do oddziałów. Było też jasne, że oddziały nie będą w stanie od razu podołać nowym obowiązkom. Nowy statut dawał pozornie dużo czasu na przekształcenia strukturalne, ale okres wakacyjny automatycznie zmniejszył go do trzech miesięcy. W listopadzie ubiegłego roku stało się oczywiste, że konieczne ograniczenie zakresu programowego w Towarzystwie może się dokonać w drodze wymuszonego zaniechania, a nie świadomego wyboru. Kwestia trzecia dotyczyła ludzi skupionych w Towarzystwie. Wielu wybitnym działaczom skupionym dotychczas wokół struktur wojewódzkich, należało dać czas na podjęcie działalności w nowych warunkach. W dyskusji zjazdowej wielokrotnie podkreślano, że Zarządy Wojewódz-

kie i ich Komisje były często jedynymi miejscami działalności programowej, nie obciążonej, normalnymi w oddziałach, kłopotami gospodarczymi. Tak się również złożyło, że z dwu głównych nurtów w Towarzystwie, dziedzictwo krajoznawcze skupione było przede wszystkim w tych zarządach. Zmiana struktury formalnej łączyła się więc nierozdzielnie z decyzją o kontynuacji wielu elementów tradycji Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, lub świadomego jej ograniczenia.

Delegaci na Zjazd Krajowy stworzyli w statucie możliwość łagodnego przekształcenia się organizacyjnego Towarzystwa przewidując w dwu artykułach tworzenie regionalnych struktur ponadoddziałowych — z inicjatywy Zarządu Głównego i samych oddziałów. Obie te możliwości wiążą się w sposób oczywisty z różnymi sposobami ich finansowania. W październiku 1990 roku Zarząd Główny zaproponował tworzenie Regionalnych Ośrodków Programowych na zasadach łączących obie możliwości statutowe. Zarząd Główny zapewnił częściowe finansowanie ośrodków, ale pod dwoma warunkami. Działacze terenowi: mieli mianowicie sami zaproponować zakres działania przyszłego ośrodka i potwierdzić chęć jego utworzenia, oraz w propozycji preliminarza zapewnić terenowe środki współfinansowania. Z trzydziestu kilku zgłoszonych propozycji Prezydium ZG PTTK zaakceptowało 21. [Do listy 20 ośrodków opublikowanej w „Informacjach” (luty 1991) należy dodać ostatni ośrodek w Nowym Sączu.]

Dzisiaj jest o wiele za wcześnie oceniać efekty, które ośrodki mogą przynieść Towarzystwu. Ocena taka, zapowiedziana już w styczniu, zostanie dokonana w drugiej połowie roku, głównie z punktu widzenia dwu spraw. Zasadniczym kryterium będzie przydatność ośrodków dla życia Towarzystwa w regionie. Rozumiem przez tą przydatność pomoc dla oddziałów, klubów i wreszcie członków Towarzystwa w ich działalności programowej, informacyjnej czy wydawniczej. Tam gdzie oddziały będą sobie tego wyraźnie życzyły ośrodki mogą również spełniać pewne funkcje koordynacyjne dla przedsięwzięć międzyoddziałowych takich jak szkolne turnieje krajoznawczo turystyczne itp. Drugim ważnym elementem oceny, rozsądne minimum zgodności między tym co działacze zgłosili w grudniu 1990 roku, jako przyjęty na siebie program działania, a praktyczną jego realizacją.

Oczywistym jest, że realność zgłaszanych źródeł finansowania w ich części terenowej czy własnej, będzie też elementem niebagatelnym. Zasadniczą jednak sprawą będzie działan-

ność programowa ośrodków. Zarząd Główny będzie musiał ocenić, czy jej zakres usprawiedliwi centralne ponoszenie niemałych kosztów finansowych.

Wszystkie powołane ośrodki zobowiązały się do działalności wydawniczej, szkoleniowej i ewidencyjnej kadry, przynajmniej w zakresie przekraczającym możliwości i chęci oddziałów. Rzeczywiste efekty w tych dziedzinach będą podstawą do rzetelnej oceny roli i miejsca ośrodków w przekształcanym Towarzystwie. Członkowie zespołu programowego Zarządu Głównego zobowiązali się do wizytowania działających ośrodków. Mam nadzieję, że kontakty te staną się okazją do wymiany informacji, doświadczeń, oraz nawiązywania więzi opartych na wspólnych pasjach.

Życzę wszystkim działaczom i pracownikom skupionym w Regionalnych Ośrodkach Programowych, aby ich działalność przyczyniła się do utrzymania sympatycznego obrazu Towarzystwa. Może ono być w najbliższych trudnych latach główną wartością decydującą o istnieniu w przyszłości jednolitego Polskiego Towarzystwa Turystyczno Krajoznawczego.

### WYKAZ REGIONALNYCH OŚRODKÓW PROGRAMOWYCH PTTK

1. 15-062 Białystok, ul. Warszawska 43, tel. 41-76-24, 41-74-54 w. 279
2. 43-000 Bielsko-Biała, ul. Kosmonautów 5, tel. 265-21
3. 42-200 Częstochowa, Al. NMP 41, tel. 421-20
4. 80-826 Gdańsk, ul. Ogarna 72, tel. 31-30-06
5. 58-500 Jelenia Góra, ul. 1 Maja 88, tel. 224-03
6. 40-013 Katowice, ul. Dyrekcyjna 10, tel. 53-93-52, 53-78-12
7. 25-213 Kielce, ul. Bąkowa 10, tel. 450-09
8. 20-111 Lublin — Rynek 8
9. 90-301 Łódź, ul. Wigury 12a, tel. 36-43-70, 36-40-10
10. 10-950 Olsztyn, Wysoka Brama, tel. 27-40-58, 27-36-65
11. 45-083 Opole, ul. Barlickiego 13, tel. 363-48

12. 64-920 Piła, ul. Świerczewskiego 12,  
tel. 244-30
13. 97-300 Piotrków Trybunał., ul. Szewska 4,  
tel. 47-85-61
14. 61-773 Poznań, Stary Rynek 91,  
tel. 52-94-46
15. 35-064 Rzeszów, ul. Matejki 2,  
tel. 333-80, 351-63
16. 16-400 Suwałki, ul. Kościuszki 37,  
tel. 37-75

17. 70-207 Szczecin, Pl. Batoiego 2,  
tel. 379-30
18. 33-100 Tarnów, ul. Żydowska 20,  
tel. 21-55-10
19. 00-261 Warszawa, ul. Podwale 23,  
tel. 31-36-11, 31-80-85
20. 50-107 Wrocław, Rynek Ratusz 11/12,  
tel. 44-26-95

ZBIGNIEW LIPOWSKI

## Spacerkiem po Piotrkowskiej

Chlubą i wizytówką naszego — dziś prawie milionowego miasta — jest, tak jak to było i dawniej — ulica Piotrkowska. Być w Łodzi i nie widzieć Piotrkowskiej, to tak jak być w Rzymie i nie widzieć papieża! A jednak zarówno mieszkańcy miasta jak i turyści coraz częściej stronią od śródmieścia, tym samym i od ulicy Piotrkowskiej. Dlaczego? Ano wystarczy przejść głównym traktem miasta, dla przykładu w południe. Idącemu „w górę”, a więc od Placu Reymonta słońce świeci prosto w oczy, a nie ma się gdzie skryć, chyba że w bramie, a tu i brudno i niebezpiecznie. W kawiarniach z kolei drogo i mało przytulnie, w sklepach tłoczno i duszno. Można oczywiście iść w odwrotnym kierunku, tyłem do słońca, ale kto w ten sposób zwiedza Łódź, miasto, które od ponad pięciuset lat powoli i wzdłuż Piotrkowskiej przesuwają się ku południowi? Spacer w godzinach późniejszych zaczyna być piekłem: taki tu ścisk i tłok, zupełnie jak w sezonie na zakopiańskich Krupówkach. Wieczorem, kiedy ulica pustoszeje, robi się nieco przyjemniej. Nie na długo jednak, bo z chwilą zapadnięcia zmroku, nierówne chodniki, prace ziemne — tzw. „wykopki” a przede wszystkim ubytki w oświetleniu czynią z Piotrkowskiej wawóz grozy. Pozostaje spacer nocą, ale tę rozrywkę serdecznie odradzam!

Taki minorowy wstęp potrzebny był do właściwego wyeksponowania wieści, że dla centralnej ulicy największej polskiej gminy — jaką jest Łódź — nadchodzą lepsze czasy. To, że powołano Fundację Ulicy Piotrkowskiej — wiadomo od dawna. Łódź weszła również do Związku Miast, co sytuuje ją — jak by nie było — w Europie. Nie tak dawno, bo zaledwie kilka tygodni temu odbyło się też sympozjum p.h. „Współczesność Piotrkowskiej”, co jest o tyle mylące, że rozprawiano tam raczej o przeszłości i przyszłości tej ulicy, zresztą — jak relacjonowała miejscowa prasa — niezbyt interesująco i nie całkiem kompetentnie. Podobno zabrakło jednak czasu na dyskusje... Z pewnością jednak dwudniowe obrady stały się pożytecznym precedensem w szukaniu szans i sposobów realizacji pożytecznych przemian nie naruszających tradycyjnej, handlowej funkcji Piotrkowskiej — z jednej, zaś niezbędnej modernizacji i przebudowy — z drugiej strony. A wszystko to z całym respektem dla substancji historycznej i zabytkowej. Temat to uniwersalny, wymagający właściwego rozwiązania nie tylko tu, ale i w Warszawie, Gdańsku, także w Zakopanem, i najmniejszej polskiej gminie — Białej Rawskiej. A propos Zakopanego. Dla łodzian nie posiadających w pobliżu prawdziwych gór a jedynie liczne choć nie wysokie wzgórza morenowe, Tatry i rejon



GÓRAL Z PIOTRKOWSKIEJ

fot. B. Bazyliński

Podhala zawsze był szczytem marzeń. Wyrazem tego były liczne wycieczki w rejony górskie organizowane zarówno przed pierwszą jak i drugą wojną światową przez łódzkich nauczycieli. To właśnie w Łodzi, zaraz po Krakowie, najwięcej było członków Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. To w Łodzi działa klub turystyki górskiej „Kosówka”, to na łódzkim Uniwersytecie powstały prace o sztuce i muzyce Podhala...

Wróćmy jednak do ulicy Piotrkowskiej. Wśród dziesiątków osobliwości architektonicznych, dekoratorskich, demograficznych i społecznych (współcześnie Piotrkowską zamieszkuje największy odsetek biedoty miejskiej!), można tu pod nr 292, nieopodal Placu Niepodległości, natknąć się na kamienicę z osobliwą wnęką między pierwszym a drugim piętrzem, a w niej, naturalnej wielkości postacią górala. Ma więc Piotrkowska obok „domu pod Gutenbergiem” (nr 86) także i „kamienicę pod Góralem”! Skąd się wziął ów przybysz z Podhala na fasadzie czynszowej kamienicy miasta na nizinie?

Parcelę przy Piotrkowskiej otrzymał od swej firmy — Zakładów Przędzalnich Leonhardt, Woelker i Girbardt — na początku bieżącego stulecia, jej dyrektor administracyjny, wielce zasłużony dla łódzkiego pożarnictwa, Jan Ludwig Starowicz. Był on założycielem, komendantem i instruktorem VII Oddziału Straży Ogniovej, w wielonarodowościowym, zrusyfikowanym i zniemczonym mieście, instytucji czysto polskiej! Kiedy po solidarnościowym strajku szkolnym w 1905 roku zmuszony był umieścić swoje dzieci w krakowskich placówkach oświatowych (wszak było to wówczas aż zagranicą!) bowiem w Łodzi były one „spalone”, na wakacje wraz z nimi wyjeżdżał do Zakopanego. Dzieci tak upodobały sobie budownictwo zakopiańskie, że wznoszący w

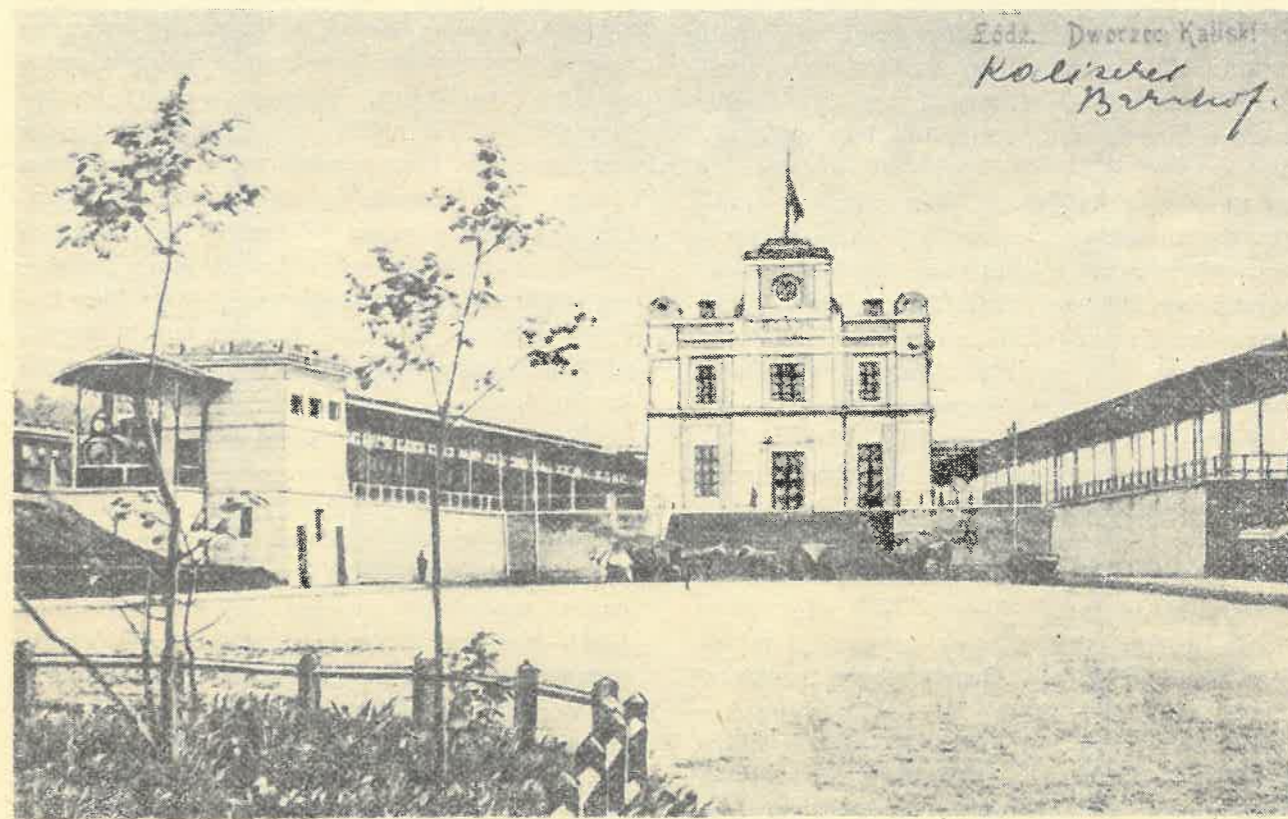
tym czasie na darowanej parceli dom przy Piotrkowskiej, postanowił Starowicz upodobnić do budowli z... Krupówek. Było to o tyle trudne, że wznoszono już mury drugiego piętra. Wtedy to właśnie postanowiono wykonać odpowiednią niszę a w niej umieszczono niebawem postać górala. Jak się łatwo domyśleć, do wykonania tej postaci pozował... sam Starowicz. Jakaż była po latach radość dorosłego potomstwa z wizerunku taty w góralskim stroju na fasadzie ich domu przy głównej ulicy miasta! A trzeba pamiętać, że w owych czasach była to jedna z niewielu nieruchomości polskich w śródmieściu. W większości kamienicznikami byli w tym rejonie miasta Niemcy i Żydzi. Dom ten stanowił aż do roku 1918, a więc do uzyskania niepodległości, tzw. „akcent polski”. I nie przez przypadek chyba w tej właśnie kamienicy od 1914 roku znajdował się pierwszy łódzki sklep Polskiego Spółdzielczego Stowarzyszenia Spożywców (w skrócie PSS „Społem”), co upamiętnia tablica ufundowana i wmurowana w fasadę budynku w 1964 roku.

Dom „pod góralem” jest dziś zaniedbany, jak większość łódzkich kamienic. Fasadę ożywia nieco witryna sklepu z zagraniczną konfekcją, jednak brama, klatki schodowe i podwórko toną w brudzie. Nieliczni już mieszkańcy tej osobliwej kamienicy pamiętają jeszcze żelazną, kutą bramę z motywami góralskimi, malowane na płaszczyznach głównej klatki schodowej plenery zakopiańskie oraz portrety Karłowicza, Kasprowicza, Orkana, Tetmajera, Witkiewicza i Żeromskiego — piewców polskości i góralczyzny. Obecnych właścicieli kamienicy niestety już nie stać na odtworzenie dawnej polichromii... Jedynie góral a la Starowicz zachował we wnęce nieco ze swego dawnego kolorytu budząc zaciekawienie turystów i przechodniów.

MIROSLAW JASKULSKI

## Łódź Kaliska

Przyczynek do dziejów łódzkiego węzła komunikacyjnego



DWORZEC ŁÓDŹ KALISKA  
— widok od strony dawnego Placu Bennicha

fot. B. Szafrńska

Linia kolejowa Łódź — Koluszki łącząca centrum przemysłu włókienniczego Królestwa Polskiego z koleją warszawsko-wiedeńską, już w chwili jej uruchomienia (1 VI 1866 roku), wzbudzała wiele kontrowersji. Dotyczyły one przede wszystkim przebiegu samej trasy oraz lokalizacji krańcowego dworca kolejowego.

Droga Żelazna Fabryczno-Łódzka w pierwotnej wersji miała prowadzić przez Łódź, następnie Zgierz, Ozorków, Konstantynów, Pabianice, Zduńską Wolę, Kalisz do stacji granicznej z Prusami w Szczypiornie. O taką przedłużoną linię kolejową, docierającą do wszystkich ważniejszych ośrodków przemysłu włókienniczego tego okręgu, zabiegali u władz już w 1867 roku przedstawiciele łódzkich sfer gospodarczych. Mimo podjętych starań projekt ten nie doczekał się realizacji — władze rosyj-

skie nie udzieliły koncesji na przedłużenie trasy. Decyzja administracji carskiej, która utrudniała rozbudowę sieci kolejowej również w innych rejonach przygranicznych, powodowana była raczej względami natury polityczno-strategicznej niż ekonomicznej.

Inną politykę w tej dziedzinie prowadziły władze w zaborze pruskim, które dostrzegały ogromne korzyści dla państwa w rozwoju komunikacji kolejowej z Królestwem Polskim. Wprawdzie rząd pruski faworyzował budowę nowych szlaków kolejowych w kierunkach południowych, wiążących gospodarczo uprzemysłowiony Śląsk z Wielkopolską i Pomorzem, niemniej podjęto również wysiłki w celu uruchomienia połączenia kolejowego Śląska z Warszawą. Wykorzystano przy tych projektach fakt istnienia starego szlaku handlowego wiodące-

go z Wrocławia przez Oleśnicę, Kępno, Wieruszów, Sieradz, Łódź do Warszawy. Mimo dosyć sprawnego funkcjonowania linii kolejowej warszawsko-wiedeńskiej, znaczna część masy towarowej sprowadzanej do Królestwa z zagranicy przewożona była nadal wozami konnymi właśnie tamtą trasą, skracającą transport z Wrocławia do Warszawy o około 170 kilometrów.

Ostatecznie 12 III 1870 roku władze pruskie wydały koncesję na budowę linii kolejowej, nazwanej dla nadania odpowiedniej rangi szlakowi Wrocławsko-Warszawską Droga Żelazną (Breslau-Warschauer Eisenbahn). Jej pruski odcinek prowadził z Wrocławia do położonego przy granicy z Królestwem Wieruszowa i oddany został do użytku już w 1872 roku. Oczekiwano wówczas, że z kolei rząd rosyjski udzieli koncesji na budowę linii Wieruszów — Warszawa, nic takiego jednak nie nastąpiło. Gdyby zrealizowano ten projekt Łódź otrzymałaby bezpośrednie połączenie z zagranicą poprzez linię Łódź — Pabianice — Zduńska Wola — Sieradz — Wieruszów (i dalej do Wrocławia) oraz pośrednio przez odnogę tej linii z Wieruszowa do Kalisza, nadgranicznych Skalmierzyc i dalej do Poznania.

W latach 60-tych i 70-tych XIX wieku wysunięto jeszcze kilka innych propozycji budowy dróg kolejowych prowadzących z Łodzi w kierunku zachodnim: 1) Łódź — Zgierz — Turek — Koło (do Poznania), 2) Łódź — Zduńska Wola — Kalisz, 3) Łódź — Szadek — Kalisz. Przeciwdziałając połączeniu rozwiniętych gospodarczo regionów w obu zaborach — Górnego Śląska i łódzkiego okręgu przemysłowego — oraz rezygnując z linii Warszawa — Wrocław, administracja rosyjska rozważała jednocześnie możliwości rozbudowy sieci kolejowej na kierunku poznańskim.

W 1874 roku rząd rosyjski udzielił zezwolenia na podjęcie prac przygotowawczych przy realizacji dwóch projektów dróg żelaznych: kolei Łódź — Kalisz i odnogi kolei łowisko-bydgoskiej na odcinku Kutno — Słupca (do granicy pruskiej). Prace wstępne miały obejmować m.in. ustalenie potrzeb gospodarczych związanych z samą budową wspomnianych dróg komunikacyjnych oraz wytyczenie ich tras.

Przybyły w sierpniu 1874 roku urzędnik departamentu komunikacji zażądał od prezydenta Łodzi następujących informacji: jaka jest liczba mieszkańców Łodzi; ile jest w mieście zakładów przemysłowych, jak wielka jest ich produkcja i obrót finansowy, jakie są rynki zbytu oraz źródła zakupu surowców; jaka suma będzie potrzebna na wywłaszczenie gruntów przeznaczonych na budowę toru kolejowe-

go i dworca w obrębie miasta. Zgodnie z projektem linia kolejowa miała przeciąć środek miasta pasem o szerokości 10 sążni (około 21 metrów), zaczynając od ulicy Dzikiej (dziś ul. H. Sienkiewicza) w kierunku zachodnim. Dodatkową przeszkodą były znajdujące się na trasie budynki (przy ulicach Dzikiej, Piotrkowskiej i Wólczańskiej), które musiałyby ulec rozbiorce.

Projekt trasy łódzko-kaliskiej nie wszedł wówczas w fazę realizacji i blisko 50-tysięczne miasto przemysłowe pozostało z jednym połączeniem kolejowym. Także prowadzone w latach 1871—1873 próby uzyskania koncesji na uruchomienie trasy kolejowej z Łodzi przez Zgierz i Ozorków do linii warszawsko-bydgoskiej nie powiodły się. Wszystkie te niedawne przedsięwzięcia kończą pierwszy etap tworzenia łódzkiego węzła kolejowego, sama idea budowy nowych połączeń kolejowych z innymi ośrodkami przemysłowymi była jednak nadal bardzo żywa.

Następne projekty rozbudowy węzła łódzkiego pojawiły się już w latach osiemdziesiątych. W 1880 roku zarząd Drogi Żelaznej Fabryczno-Łódzkiej przedstawił projekt przedłużenia jedynej linii kolejowej w Łodzi w kierunku zachodnim w pobliże obecnej stacji Łódź - Kaliska. Przeprowadzenie takiej trasy przez centrum miasta, połączone z budową kilku wiaduktów nad ulicami uznano jednak za przedsięwzięcie zbyt kosztowne. W innej propozycji zamierzano poprowadzenie torów wzdłuż południowo-wschodniej granicy miasta i dalej w kierunku na Pabianice — Łask — Zduńska Wola — Kalisz. Jeszcze inny projekt, również odrzucony przez administrację rosyjską, zakładał budowę odnog: Łódź — Szadek — Warta — Kalisz oraz Wieruszów — Złoczew — Sieradz.

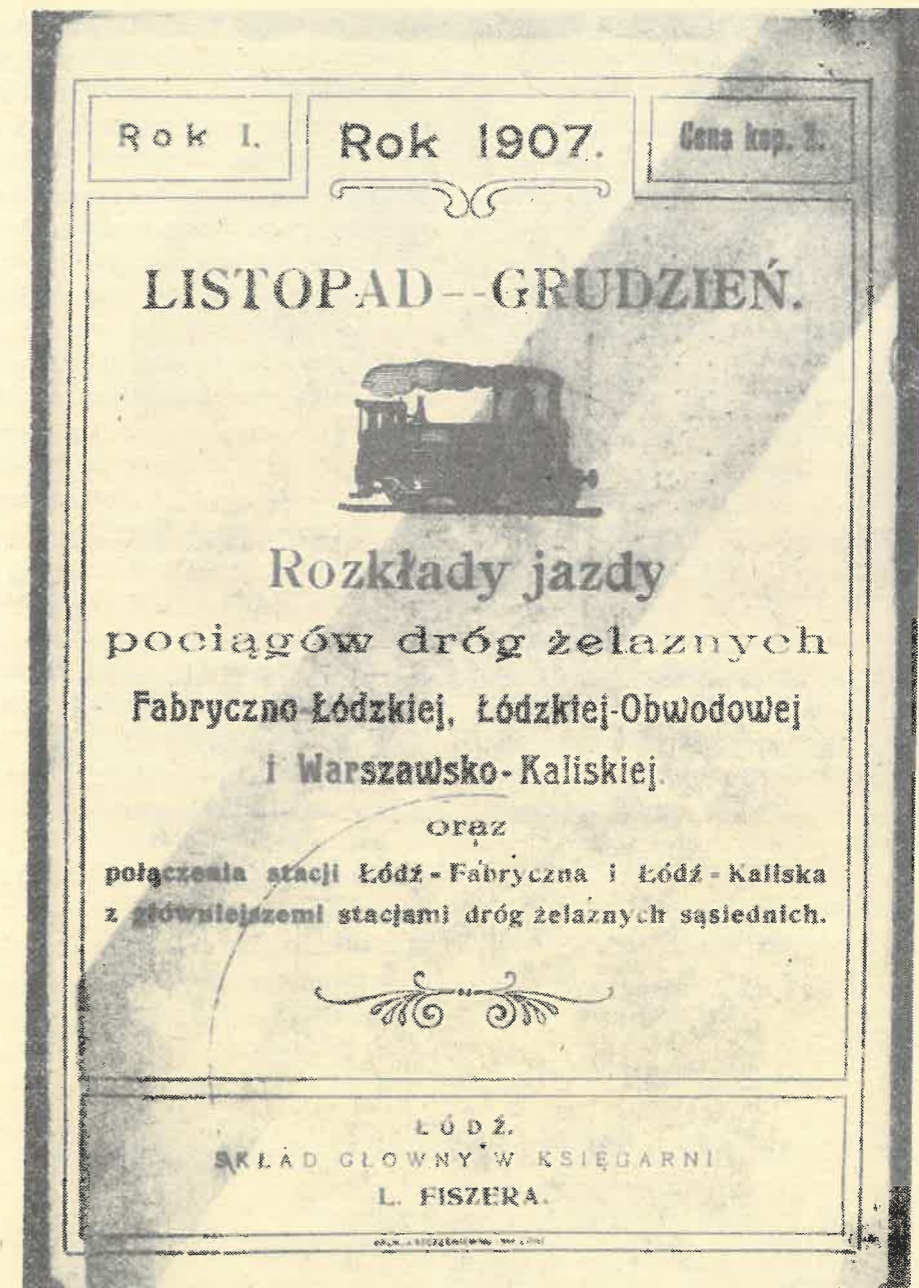
Nowe projekty rozbudowy łódzkiego węzła kolejowego pojawiły się u schyłku lat osiemdziesiątych XIX wieku. Niefortunna lokalizacja stacji towarowej Łódź Fabryczna, praktycznie uniemożliwiająca przeprowadzenie od niej bocznic kolejowych zmuszała miejscowych przemysłowców do poszukiwania innych rozwiązań. Pierwszą bocznicą zakładową zbudował w 1878 roku jeden z głównych akcjonariuszy Drogi Żelaznej Fabryczno-Łódzkiej Karol Scheibler. Inni przemysłowcy łódzcy postanowili wysunąć własną propozycję rozbudowy węzła. Grupa fabrykantów z Juliuszem Heinzlem i Juliuszem Kunitzerem na czele zmierzała do budowy obwodnicy kolejowej wokół granic Łodzi. Projekt inżyniera Weisblata zakładał ułożenie dwóch linii — pierwszej od stacji Łódź Fabryczna do stacji Widzew, Bałuty i Radogoszcz z krańcówką na zachód od zakła-

dów I. K. Poznańskiego; drugiej — od bocznic Scheiblera przez ul. Zarzewską (S. Przybyszewskiego) do ul. Kątnej (W. Wróblewskiego) z odnogą do projektowanej stacji Chojny i połączeniem z zakładami I. K. Poznańskiego. Projektowano również budowę 12 bocznic fabrycznych od linii północnej i południowej. 17-kilometrowa obwodnica miała być linią towarową (głównie dla dostaw węgla).

W obawie przed realizacją konkurencyjnej linii kolejowej zarząd drogi fabryczno-łódzkiej opracował kontrprojekt z dwoma wariantami. Pierwszy z nich był bardzo zbliżony do projektu inż. Weisblata, z tym że bez stacji widzewskiej, natomiast ze stacją na zachód od miasta, w lesie miejskim w pobliżu obecnego

Dworca Łódź Kaliska. W drugim wariantcie proponowano ułożenie od Dworca Łódź Fabryczna trzech linii przewozowych: głównej — od bocznic scheiblerowskiej wzdłuż ul. św. Emilii (ks. bp. W. Tymienieckiego), Placowej (ks. hm I. Skorupki) do fabryki I. K. Poznańskiego; północnej — do fabryki R. Biedermanna (ul. J. Kilińskiego róg Północnej); i podmiejskiej — od stacji fabrycznej w rejon wsi Dąbrowa (zakłady Leonhardta, Woelkera i Girbardta oraz W. Stolarowa), z odgałęzieniami do innych fabryk.

Starania o uzyskanie koncesji obu grup przemysłowców trwały przez kilka lat aż do 1896 roku — przy ogólnej akceptacji budowy obwodnicy łódzkiej żaden z projektów nie zo-



ROZKŁAD JAZDY

fol. B. Szafrńska

stał zatwierdzony. W dwa lata później władze rosyjskie zdecydowały się na wydanie koncesji Towarzystwu Warszawsko-Wiedeńskiej Drogi Żelaznej na budowę linii kolejowej: Warszawa — Łódź — Kalisz. Pierwszy projekt przewidywał omińnięcie Łodzi i skierowanie linii przez Łowicz, Łęczycę, Szadek i Sieradz. Ostateczny wariant przewidywał jednak budowę dworca kolejowego Łódź Kaliska, ale jego lokalizacja stała się przedmiotem wielu dyskusji i sporów.

Koncesjonariusze drogi warszawsko-kaliskiej w końcu 1900 roku zaproponowali wytknięcie linii najkrótszą trasą wiodącą ze Zgierza przez Łódź do Pabianic. Linia miała przeciąć będący własnością przemysłowca Ludwika Meyera majątek Brus, gdzie przewidziano budowę dworca kolejowego.

Projekt tej grupy spotkał się ze zdecydowanym sprzeciwem władz miejskich i mieszkańców miasta, którzy domagali się budowy dworca kolejowego bliżej centrum, to znaczy na wschodnich krańcach lasu miejskiego, a więc tam gdzie dziś się znajduje. W czasie trwania ożywionych dyskusji pojawił się następny projekt autorstwa Juliusza Kunitzera. Zakładał on budowę dworca we wschodniej części miasta, w takim miejscu, by w przyszłości można było wybudować tam stację centralną, z której korzystałaby zarówno linia warszawsko-wiedeńska jak i warszawsko-kaliska.

W sprawie lokalizacji dworca kolejowego zwołano specjalną konferencję (26 I 1901 r.) z udziałem gubernatora piotrkowskiego K. Millera, przedstawicieli łódzkiego magistratu, głównego inżyniera Warszawsko-Kaliskiej Drogi Żelaznej Kazina i 32 obywateli miasta. Trasa wiodąca przez Brus została przez wszystkich jej uczestników, z wyjątkiem dr Alfreda Biedermanna, odrzucona jako najbardziej niekorzystna dla miasta. Powszechne uznanie znalazł projekt linii wiodącej przez wschodni skraj lasu miejskiego, natomiast w celu dokładnego oznaczenia miejsca budowy dworca Łódź Kaliska powołano 7-osobową komisję, w skład której weszli m.in. A. Biedermann, Emil Geyer, Maurycy Poznański, Stanisław Silberstein, Edward Heiman. Po dokonanej dwa dni później wizji lokalnej i na podstawie planu dworca autorstwa inż. Strzeleckiego, komisja postanowiła ustalić dla placu dworcowego teren o długości 850 sążni (około 1,8 km) między drogami prowadzącymi do Konstąntynowa i Karolewa.

Decydujące dla sprawy budowy dworca linii kaliskiej odbyło się 12 II 1901 r. Jeszcze raz zwrócono uwagę na szereg niedogodności lokalizacji stacji w Brusie. Przede wszystkim majątek ten znajdował się w zbyt dużej odległości od miasta, co więcej najkrótsze połączenie wiodło szosą konstąntynowską do Nowego Rynku (Plac Wolności), podczas gdy centrum miasta

i większość fabryk znajdowały się dalej na południe. Przemysłowcom więc łatwiej byłoby korzystać z elektrycznych kolei dojazdowych docierających do dworców kolejowych w Zgierzu lub Pabianicach (konstąntynowskiej kolei dojazdowej jeszcze wtedy nie było). Usytuowanie dworca poza granicami Łodzi było kłopotliwe jeszcze z innych przyczyn: zmuszało władze miejskie do ponoszenia znacznie większych kosztów konserwacji jedynej drogi transportowej (spodziewano się 10 mln pudów rocznie ładunków w jedną stronę i kilkaset pasażerów dziennie) oraz groziło brakiem dostatecznej ochrony policyjnej na przestrzeni od dworca do granic miasta.

Również projekt J. Kunitzera (budowa stacji centralnej przy ul. Dzielnej, dziś ul. J. Tuwima we wschodniej części miasta), mimo początkowego poparcia ze strony członków magistratu i prezydenta W. Pieńkowskiego, ostatecznie został odrzucony.

Po zatwierdzeniu w Petersburgu lokalizacji dworca zarząd drogi warszawsko-kaliskiej przystąpił do realizacji przedsięwzięcia. Dużej

pomocy udzieliło miasto sprzedając koncesjonariuszom ziemię pod budowę toru i stacji po cenach niemal symbolicznych. Broniący interesów kolei J. Kunitzer, Ignacy Poznański i Karol Scheibler odkupili potrzebne tereny za około 8% ich wartości, zyskując na tym ponad 1,5 mln rubli.

Warszawsko-Kaliska Droga Żelazna posiadała szerokie tory rosyjskie co utrudniało połączenie jej z innymi liniami w rejonie Łodzi. Trasę kaliską oddano do użytku 15 XI 1902 roku wraz z dwoma wiaduktami nad szosą konstąntynowską i karolewską. Do 28 X 1906 roku linia ta nie posiadała bezpośredniego połączenia z pruskimi drogami żelaznymi — po stronie rosyjskiej stacją przeładunkową było Szczypiorno, po stronie niemieckiej Skalmierzyce. Secesyjny budynek dworcowy, upiękuszony czterema globusami i wyposażony w zegar na ścianie frontowej, podczas obecnie prowadzonej modernizacji dworca uległ rozbiórce. Jeszcze jeden obiekt związany z dziejami przemysłowego miasta przestał istnieć...

### Warszawa Kal.—Łódź—Kalisz. ⊕ Kalisz—Łódź—Warszawa Kal.

Droga Żel. Warsz. Kaliska	Os. 23		Os. 5		Os. 7		Os. 21	
	1-III	1-III	1-III	1-III	1-III	1-III	1-III	1-III
Warszawa Brzeska . odch.	—	—	—	—	141	—	—	—
Warszawa Kaliska . . .	—	800	145	—	—	405	—	—
Sochaczew . . . . .	—	932	313	—	—	540	—	—
Łowicz . . . . .	1 prz.	1011	351	457	—	—	—	—
Łowicz . . . . .	1 odch.	—	1021	359	507	—	—	—
Główno . . . . .	—	1059	432	—	—	—	—	—
Zgierz . . . . .	—	1157	516	614	—	—	—	—
Łódź Kaliska . . . . .	1 prz.	—	1213	532	630	—	—	—
Łódź Kaliska . . . . .	1 odch.	825	1225	540	638	—	—	—
Pabjanice . . . . .	—	850	1250	600	701	—	—	—
Łask . . . . .	—	915	114	627	—	—	—	—
Zduńska Wola . . . . .	—	939	134	646	—	—	—	—
Sieradz . . . . .	—	1007	206	717	805	—	—	—
Opatówek . . . . .	—	1114	310	814	—	—	—	—
Kalisz . . . . .	prz.	1140	335	840	911	—	—	—
Kalisz . . . . .	odch.	1225	420	953	953	—	—	—
Wrocław . . . . .	prz.	307	835	1251	1251	—	—	—
Poznań . . . . .	—	958	1153	133	138	—	—	—
Berlin p. Poznań . . . . .	—	726	—	699	699	—	—	—
„ p. Żegania . . . . .	—	824	—	526	526	—	—	—

Droga Żel. Warsz. Kaliska	Os. 0		Os. 4		Os. 6		Os. 22		Os. 24	
	1-III	1-III	1-III	1-III	1-III	1-III	1-III	1-III	1-III	
Berlin p. Żegania . . . . .	1131	1131	—	—	—	—	—	—	824	945
„ p. Poznań . . . . .	1106	1106	—	—	—	—	—	—	—	202
Poznań . . . . .	316	316	654	—	—	—	—	—	—	205
Wrocław . . . . .	400	400	800	—	—	—	—	—	—	502
Kalisz . . . . .	700	700	116	—	—	—	—	—	—	—

Droga Żel. Warsz. Kaliska	Os. 0		Os. 4		Os. 6		Os. 22		Os. 24	
	1-III	1-III	1-III	1-III	1-III	1-III	1-III	1-III	1-III	
Kalisz . . . . .	800	800	215	—	—	—	—	—	606	636
Opatówek . . . . .	—	856	241	—	—	—	—	—	—	757
Sieradz . . . . .	914	1000	357	—	—	—	—	—	—	826
Zduńska Wola . . . . .	—	1027	427	—	—	—	—	—	—	842
Łask . . . . .	—	1044	447	—	—	—	—	—	—	909
Pabjanice . . . . .	1013	1109	516	—	—	—	—	—	—	930
Łódź Kaliska . . . . .	1 prz.	1034	1130	537	—	—	—	—	—	—
Łódź Kaliska . . . . .	1 odch.	1042	1140	552	—	—	—	—	—	—
Zgierz . . . . .	—	1059	1158	613	—	—	—	—	—	—
Główno . . . . .	—	—	1235	652	—	—	—	—	—	—
Łowicz . . . . .	1 prz.	1158	105	726	—	—	—	—	—	—
Łowicz . . . . .	1 odch.	1208	113	734	—	—	—	—	—	—
Sochaczew . . . . .	—	—	156	818	740	—	—	—	—	—
Warszawa Kaliska . . . . .	prz.	—	320	945	915	—	—	—	—	—
Warszawa Brzeska . . . . .	—	252	—	—	—	—	—	—	—	—

GRAŻYNA KOBOJEK

## „Łódzka Rodzina Radiowa”

W tym roku mija 60 lat od narodzenia się cennej inicjatywy społecznej zmierzającej do utworzenia „Łódzkiej Rodziny Radiowej”.

Ideę powołania do życia stowarzyszenia słuchaczy radiowych wysunął w lokalnym programie Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia ówczesny redaktor „skrzynki pocztowej” — Jan Piotrowski. Jego odważny, jak na tamte czasy (lata pogłębiającego się kryzysu ekonomicznego), projekt objęcia siłami społecznymi opieką wszystkich sierot w kraju, spotkał się z zainteresowaniem redakcyjnych kolegów, jego przyjaciół i znajomych. Te szerokie plany w konfrontacji ze skromnymi możliwościami niewielkiego grona osób oraz brakiem zainteresowania daną sprawą ze strony władz miejskich, nie stwarzały pomyślnych warunków do rozwoju tej akcji. Wówczas redaktor Piotrowski posta-

nowił wykorzystać do rozpropagowania tej chlubnej idei mikrofon radiowy.

Z początkiem 1931 roku, w jednej z kolejnych „skrzynek pocztowych”, zwrócił się do słuchaczy radiowych z gorącym apelem o udzielenie pomocy opuszczonym i zaniebanym ociemniałym dzieciom z terenu całego województwa łódzkiego. Żeby zrozumieć jak cenna była jego inicjatywa należy przypomnieć, iż w całym naszym województwie nie było wtedy ani jednego internatu i ani jednej szkoły dla niewidomych sierot, których było na tym terenie ponad dwieście pięćdziesiąt.

Wkrótce, pomimo dość ograniczonych możliwości oddziaływania łódzkiego radia — posiadającego bardzo słaby, o niewielkim zasięgu nadajnik i niezbyt wielkiej liczby radiodbiorników (około dwudziestu tysięcy abonentów)



CEGIELKA „ŁÓDZKIEJ RODZINY RADIOWEJ” fot. E. Szkudlarek

można było zauważyć pierwsze efekty rozpoczętej akcji.

Społeczeństwo Łodzi zareagowało bardzo żywo na ten apel o czym świadczyły napływające do rozgłośni liczne listy wyrażające poparcie samej idei, jak i deklarujące konkretną pomoc materialną dla niewidomych dzieci. Propozycje redaktora Piotrowskiego podjęła grupa społeczników łódzkich: Józef Wciśliski, Aleksander Milkner, Czesław Wróblewski oraz Benedykt Stefański.

W niespełna trzy miesiące po wezwaniu radiowym, zebrane fundusze umożliwiły wynajęcie przy jednej ze szkół łódzkich niewielkiego lokalu, gdzie znalazła opiekę i skromne warunki do nauki grupa pierwszych kilkorga niewidomych chłopców.

W zamian za dary pieniężne napływające do rozgłośni z przeznaczeniem na utrzymanie internatu i zakup jego wyposażenia, prowadzący

radiowy koncert życzeń Benedykt Stefański, a później — Marian Lenk, nadawali dla ofiarodawców ich ulubione piosenki. Sam program pozyskał sobie wielu nowych słuchaczy i chociaż jego popularność w okresie późniejszym, po przeniesieniu jego emisji z sobotniego wieczoru do dziennego programu niedzielnego, nieco zmalała, prowadzona akcja dobroczynna rozwijała się pomyślnie.

10 kwietnia 1932 roku w dużej sali Państwowej Szkoły Włókienniczej w Łodzi z wielkim trudem pomieściło się ponad tysiąc przybyłych tam radiosłuchaczy. Efektem tego niecodziennego spotkania było utworzenie i nadanie statutu nowemu łódzkiemu stowarzyszeniu — „Łódzkiej Rodzinie Radiowej”. Jego statut zatwierdzony został 23 maja 1932 roku, a głównym celem stowarzyszenia od samego początku było niesienie pomocy biednym i cierpiącym.

W cztery lata później „Łódzka Rodzina Radiowa” skupiała pięć tysięcy członków i posiadała swoje oddziały regionalne w Zduńskiej Woli, Rudzie Pabianickiej i Zgierzu.

Działalność stowarzyszenia, mającego swą siedzibę w Łodzi przy ulicy Piotrkowskiej 106, nie ograniczała się już tylko do gromadzenia funduszy na budowę internatu dla swych podopiecznych. Jego członkowie, na czele z prezesem pułkownikiem Adamem Haberlingiem i przewodniczącą Sekcji Opiekuńczej K. Hofmanową starali się pomóc dzieciom, poprzez organizowanie licznych spotkań (między innymi z młodzieżą szkolną), wyposażaniem ich pomieszczeń w mapy plastyczne i radioodbiorniki. Starając się stworzyć im choćby namiastkę prawdziwego domu, nie zapominali o dniach świątecznych, organizując między innymi tradycyjne „choinki”.

Mimo wzrastających kosztów utrzymania internatu, liczba objętych opieką niewidomych dzieci stale rosła. I tak z siedmiu podopiecznych w 1932 roku, wzrosła do dwudziestu pięciu dzieci w roku 1937, natomiast w przededniu wybuchu wojny obejmowała już ponad czterdzieścioro sierot.

W tej sytuacji zaistniała konieczność znalezienia nowego, większego lokalu. W roku 1935 otworzono nowy internat posiadający własną jadalnię, salę do nauki, salę gimnastyczną oraz warsztat szrotkarski, gdzie młodzież (w wieku od 7 do 17 lat) pod kierunkiem ociemniałego instruktora miała możliwość zdobycia zawodu.

Z budynku tego, mieszczącego się przy ulicy Żeromskiego 58, jeszcze w tym samym roku przeniesiono internat do obszerniejszego i wygodniejszego lokalu przy ulicy Sienkiewicza 102.

W październiku 1938 roku trzydziestu dziewięciu podopiecznych „Łódzkiej Rodziny Radiowej” mogło przeprowadzić się do specjalnie na ten cel wybudowanego dwupiętrowego gmachu przy ulicy Przyszkole. Stosunkowo wysoki koszt budowy internatu, wynoszący 150 tysięcy złotych, znacznie przekraczał możliwości finansowe członków stowarzyszenia. Wówczas z pomocą przyszło miasto, ofiarując tereny pod budowę, a architekci pomogli wykonując bezinteresownie projekt budynku. Obszernie i dobrze wyposażone sale wykładowe, przestronne sypialnie, kuchnia, jadalnia i warsztaty do nauki rzemiosła, stworzyły niewidomym dzieciom odpowiednie warunki do nauki, zabawy i wypoczynku. Tereny wokół budynku zostały przeznaczone na boisko sportowe, ogród warzywny oraz sad.

Prowadzona siłami społecznymi akcja charytatywna zmierzająca do objęcia opieką wszystkich sierot, przy jednoczesnym niezbyt sprawnym w tej dziedzinie działaniu instytucji państwowych, w szybkim czasie zdobyła rozgłos i szerokie poparcie naszego społeczeństwa.

Podobne zobowiązania społeczne zaczęto podejmować również w innych miastach posiadających rozgłosie radiowe. Po Łodzi, akcję tę zaczęła propagować w sposób skuteczny, rozgłoszając lwowska, gdzie ideę „rodziny radiowej” przenieśli, występujący w naszym mieście w roku 1934, aktorzy radia lwowskiego — popularni Szczepcio i Tońcio (K. Wajda i H. Vogelfänger).

Wkrótce powstały dalsze stowarzyszenia radiosłuchaczy, obejmujące swoim działaniem największe ośrodki miejskie w kraju. Powstały nowe internaty i szkoły, w których otoczono opieką znaczną ilość ociemniałej młodzieży.

Pomyślny rozwój działalności „rodzin radiowych” został przerwany przez wybuch drugiej wojny światowej. Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Łodzi, ociemniałe dzieci zostały wypędzone przez administrację wroga z zajmowanego przez nich budynku. Większość wychowanków „Łódzkiej Rodziny Radiowej” w krótki czas potem zostało bestialsko zamordowanych przez Gestapo w lesie pod Koluszkami, część dzieci zmarło z głodu, a tylko nielicznym udało się przeżyć koszmar okupacji.

Ostatnie zapisy dokumentujące pierwszy okres działalności „Łódzkiej Rodziny Radiowej” pochodzą ze stycznia i kwietnia 1940 roku. Potem jej działalność urywa się.

Drugi etap działalności stowarzyszenia rozpoczyna się w marcu w 1945 roku, czyli już w pierwszych tygodniach po wyzwoleniu Łodzi. Wówczas to pozostali przy życiu członkowie przedwojennego Zarządu Głównego „Łódzkiej Rodziny Radiowej” podjęli decyzję o reaktywowaniu stowarzyszenia. Wkrótce też udało się im odzyskać i wyremontować, mieszczący się przy ulicy Przyszkole, dawny budynek internatu, przeznaczając go na podobny cel.

19 września 1945 roku zatwierdzono, podobny do statutu z 1932 roku, nowy statut stowarzyszenia. Uwzględniając jednakże zupełnie odmienne warunki w jakich przyszło kontynuować działalność, nie rezygnując z opieki nad dziećmi ociemniałymi i głuchoniemymi, odtąd „Łódzka Rodzina Radiowa” postanowiła nieść pomoc przede wszystkim sierotom po rodzinach zamordowanych przez niemieckiego okupanta. Swoją działalnością objęła ona Łódź i województwo łódzkie, a podstawą



CEGIELKA „ŁÓDZKIEJ RODZINY RADIOWEJ”

fol. E. Szkudlarek

działania oddziałów terenowych stał się wspólny statut „Łódzkiej Rodziny Radiowej”.

Władze stowarzyszenia stanowiło Ogólne Zebranie Członków mające prawo podejmowania ostatecznych decyzji we wszystkich jego sprawach oraz Zarząd Główny złożony z prezesa, trzydziestu członków i sześciu zastępców, a także Komisja Rewizyjna. Funkcję prezesa w okresie powojennym powierzono Bolesławowi Jędrzyckiemu.

Fundusz stowarzyszenia stanowiło wpisywanie, opłaty członkowskie, dochody z imprez, koncertów życzeń, audycji radiowych, z zapisów i darowizn instytucji oraz osób prywat-

nych. Zasadniczo więc nie korzystało ono z subwencji państwowych i samorządowych, zdarzały się jednak odstępstwa od tego, jak np. postanowienie z 10 października 1947 roku, kiedy to zdecydowano się skorzystać z opłat przyznanych przez Ministerstwo Oświaty, a wynoszących 2200 zł na dziecko.

Nazwa stowarzyszenia wywodzi się z jego od samego początku ścisłej współpracy z Polskim Radiem. To właśnie radio udostępniło swój czas antenowy potrzebny do prowadzenia licznych audycji, pogadanek, koncertów życzeń oraz tzw. „Podwieczorków przy mikrofonie”. To ono popularyzowało wśród członków radiofonizację kraju i zbliżało radiosłuchaczy w po-

	1947	1948	1949	1950
Styczeń				
Luty				
Marzec				
Kwiecień				
Maj				
Czerwiec				
Lipiec				
Sierpień				
Wrzesień				
Pazdziernik				
Listopad				
Grudzień				

Nazwisko *Andrzej*  
 Imię *Mieczysław*  
 Zawód *Mer. szk. sred.*  
 Miejsce pracy *Agencja 24*  
 Adres prywatny  
**jest członkiem Łódzkiej Rodziny Radiowej**  
 Koło:  
 Oddział:  
 Sekretarz *J. Ciofka* Prezes

LEGITYMACJA ŁÓDZKIEJ RODZINY RADIOWEJ

fol. E. Szkudlarek

dejmowanych wspólnie akcjach kulturalnych i społecznych.

20 lipca 1947 roku wniesiono niewielkie poprawki do statutu „Łódzkiej Rodziny Radiowej” spowodowane między innymi powstaniem Związku Rodzin Radiowych w Polsce, którego współinicjatorem i współorganizatorem oraz członkiem była łódzka organizacja.

W grudniu tegoż roku zmarł nagle, twórca „rodzin radiowych” — redaktor Jan Piotrowski. Odszedł w chwili, gdy hasło, które przyświecało jego życiu: „nie będzie sierot w naszym kraju, bo matką będzie im Polska, a ojcem lud polski”, stało się rzeczywistością. Jednak jego inicjatywa tworzenia domów dziecka nadal była realizowana przez liczne grono jej zwolenników.

Po zmianie statutu stowarzyszenie zaczęło organizować słuchaczy Rozgłośni Łódzkiej, tworząc koła „Łódzkiej Rodziny Radiowej” w zakładach przemysłowych, instytucjach, uczelniach i szkołach, powołując do życia Sekcje Komitetów Domowych.

Członkami „Łódzkiej Rodziny Radiowej” zostawały osoby prywatne, zakłady, instytucje, sklepy, cechy, szkoły, domy. Łącznie ze swoimi oddziałami założonymi w Konstancynie, Pabianicach i Zduńskiej Woli, z początkiem 1947 roku liczyła ona blisko siedemdziesiąt tysięcy

indywidualnych i zbiorowych członków. W jej skład wchodziły różne sekcje, takie jak np. Opieki Koncertów Życzeń, Komitetów Domowych, Propagandy, Imprezowo-Dochodowej oraz Dochodów Niestających. Ilość i nazwy sekcji były zmienne.

Dzięki staraniom członków i udzielaniu przez nich pomocy, tak materialnej, jak i organizacyjnej wkrótce około sto sześćdziesiąt sierot wojennych z województwa łódzkiego i Łodzi zostało objętych opieką.

„Łódzka Rodzina Radiowa” zorganizowała i prowadziła cztery domy dziecka; w Łodzi od 1945 roku tzw. „Sienkiewiczówkę” i od 1947 roku Dom Dziecka Ociemniałego oraz od roku 1946 domy dziecka w Konstancynie i Zduńskiej Woli. W końcowym okresie działalności stowarzyszenia przebywało w nich około 250 dzieci. Domy te prowadzone przez siostry zakonne, wychowywały dzieci w duchu katolickim.

Działalność członków stowarzyszenia nie ograniczała się jedynie do patronatu nad podejmowanymi akcjami, oprócz organizowania i prowadzenia domów dziecka „Łódzka Rodzina Radiowa” dążyła do tworzenia dla swoich podopiecznych Rodzin Zastępczych oraz Komitetów Opiekuńczych, nadal też opiekowała się dziećmi ociemniałymi.

To społeczne stowarzyszenie działało do końca 1950 roku. Dokładna data jego rozwiązania trudna jest do ustalenia. Decyzja o tym zapadła między 20 a 27 listopada 1950 roku na Nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu. Ostatnie zapisy w dzienniku korespondencyjnym, zrobione przez likwidatora „Łódzkiej Rodziny Radiowej”, pochodzą z lutego 1951 roku. Informują one o przejęciu siedziby stowarzyszenia przez Towarzystwo Przyjaźni Polsko-

-Radzieckiej. Likwidacja organizacji zakończyła się w 1955 roku, a w rok później jej nowe akta zostały przejęte przez Archiwum Państwowe. Większość natomiast akt z pierwszego okresu jej działalności prawdopodobnie uległo zniszczeniu podczas okupacji niemieckiej.

Nie zachowały się niestety również jej wydawnictwa, takie jak np. Jednodniówka „Hal-  
lo, mówi Łódź”, albumy ze zdjęciami wychowanków oraz księgi pamiątkowe.

KRZYSZTOF WOŹNIAK

## Z Królem Kurkowym w parku Źródliśka

(Łódzkie Towarzystwo Strzeleckie — Lodzer Bürger Schützengilde)

Znaczna część rzemieślników — włókienników osiedlających się w Łodzi i okolicznych miastach po 1820 r., związana była językiem i zwyczajami z kręgiem kultury niemieckiej. Władze Królestwa Polskiego dostrzegały tę odrębność przybyszy i oprócz wielu przywilejów ekonomicznych prawnie zagwarantowały możliwość zakładania instytucji i stowarzyszeń podobnych do tych, jakie istniały w ich stronach rodzinnych. Panowała opinia, że „dozwolenie między ludnością fabryczną niemiecką zwyczajów w kraju ich upowszechnionych, może ją tym więcej przyzwyczaić do miejsca osiedlenia, a przez to powiększyć liczbę pożytecznych mieszkańców kraju, przemysłowi oddanych”. Towarzystwa strzeleckie miały dawną tradycję nie tylko w krajach niemieckich. Znane były w wielu miastach polskich z silnym mieszczaństwem niemieckim już w czasach Odrodzenia. Do upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej bractwa strzeleckie stanowiły rodzaj szkoły, w której uczono strzelać z łuku, kuszy, później z rusznic i hakownic. W XIX wieku miały one charakter już tylko sportowo-towarzyski, skupiając przedstawicieli zamożnego mieszczaństwa, drobnej burżuazji.

W łódzkim okręgu przemysłowym, jako pierwsze rozpoczęło swą działalność krótko po 1812 r. Towarzystwo Strzeleckie w Ozorkowie. W 1822 r. podobne zgromadzenie powstało w Aleksandrowie, w 1824 r. w Łodzi i Konstan-

tynowie, a w 1836 r. w Zgierzu. Lata pięćdziesiąte XIX w. przyniosły ponowny wzrost zainteresowania organizacjami strzeleckimi. Kolejno powstały stowarzyszenia w: Pabianicach, Turku i Zduńskiej Woli (1853), Tomaszowie (1854), Kaliszu (1858), Gostyninie (1859). Ich statuty, spisane dopiero w pierwszych latach XX w. mówią o różnorodnych formach działalności. W rzeczywistości towarzystwa ograniczały swą aktywność do ćwiczeń i konkursów strzeleckich oraz wieńczących część z nich zabaw tanecznych.

W kalendarzu imprez każdego towarzystwa strzeleckiego najważniejsze miejsce zajmowało strzelanie królewskie, podczas którego najlepszemu strzelcowi nadawano tytuł Króla Kurkowego. Były to zawody o najstarszym rodowodzie, rozgrywane zawsze we wtorek i środę po Zielonych Świątkach, gromadzące wszystkich członków towarzystwa i licznych gości. Nieobecność strzelca usprawiedliwiały tylko choroba lub wyjazd z miasta. Z biegiem lat wytworzył się i utrwalił pełny rytuał strzelania królewskiego. Od połowy XIX w. nie uległ on już większym zmianom. We wtorek po Zielonych Świątkach, w miejscu określonym przez zarząd towarzystwa, zbierali się wszyscy członkowie w uniformach i z bronią. Ubiór strzelca łódzkiego składał się z munduru sukienne-  
go szarego z czarnym kołnierzem, spodni sukien-  
nych luźnych (pantalonów), kapelusza



KSIĄŻECZKA STRZELECKA Z 1899 R., STRONA 1

czarnego z wywiniętą połową runda i zielonym wiszącym piórem. Po przybyciu ubiegłorocznego króla i marszałka prezentowano przed nimi broń, po czym wszyscy udawali się pochodem na miejsce zawodów. Do 1841 r. była to cegielnia miejska z urządzoną tam w 1835 r. prowizoryczną strzelnicą. Od 1842 r. zawody odbywały się w strzelnicy w parku Kwela (obecnie park Źródliśka). Przemarszowi towarzyszyła muzyka, a nad idącymi rozwijano chorągiew towarzystwa. Do 1863 r. strzelcy zbierali się przed ratuszem na Nowym Rynku (obecnie Plac Wolności) i zapraszali do swego orszaku prezydenta miasta. Po przybyciu na

miejsce Król Kurkowy prezentował ufundowaną przez siebie tarczę strzelecką. Była to z reguły tarcza drewniana z namalowaną na niej rodzajową sceną myśliwską. Po umieszczeniu tarczy na strzelnicy następowało śniadanie. Dopiero po nim przystępowano do strzelania konkursowego trwającego do zmierzchu. Wszyscy uczestnicy mieli prawo do trzech strzałów. Zawody kontynuowano w dniu następnym, kiedy każdy strzelec mógł oddać kolejne trzy strzały. Trafienie w tarczę oznaczane było przez zatknięcie w powstały otwór drewnianego kołeczka. Oprócz tego wszystkie trafienia odnotowywane były w specjalnej księdze. Zach-

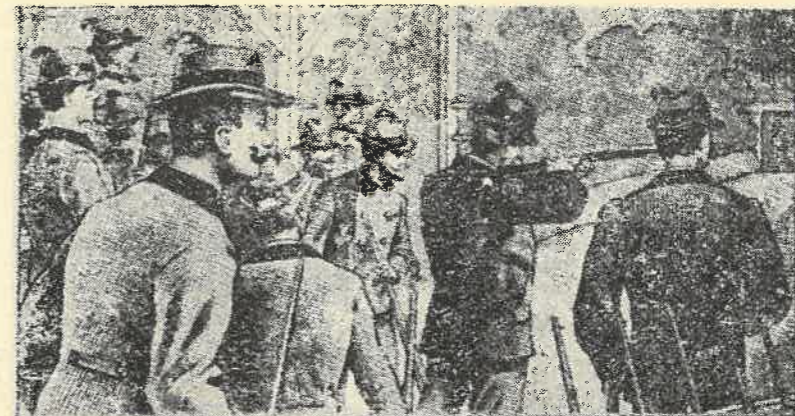
wane rejestry wskazują, że strzelcy nie mogli pochwalić się najlepszymi wynikami. Po zakończeniu strzelania, w środę wieczorem, przenoszono tarczę do budynku strzelnicy, gdzie komisyjnie ustalano, które trafienia były najbliższe środka tarczy. Najcelniejszego strzelca obwoływano królem, zaś drugiego po nim — marszałkiem. Następowo przekazano insygniów królewskich — szarfy noszonej przez ramię, do której każdy kolejny król kurkowy dodawał okolicznościowy żeton. Zarówno Król Kurkowy, jak i marszałek, do czasu najbliższego strzelania królewskiego korzystali z praw członków honorowych i byli zwolnieni z opłacania składki członkowskiej. Nazwisko króla dopisywano do szeregu jego poprzedników uwiecznionych na specjalnej tablicy.

Finałem strzelania królewskiego był bal królewski, jeszcze w latach czterdziestych XIX w. organizowany na koszt Króla Kurkowego, później towarzystwa, zaś od lat dziewięćdziesiątych na koszt uczestników. Statut Łódzkiego Towarzystwa Strzeleckiego wyraźnie zabraniał „żądać od króla i marszałka, żeby ugaszczali obecnych”. Prawo wstępu na bal było zastrzeżone dla członków towarzystwa i ich rodzin. Do 1835 r. zabawy te odbywały się w domach prywatnych. Później, aż pod koniec lat siedemdziesiątych bawiono się w Paradyzu (zajazd z restauracją ogrodową położoną przy ul. Piotrkowskiej między obecnymi ulicami Żwirki i Al. Mickiewicza, sięgał do ul. Wólcząńskiej). Wspomniany już O. Flatt pisał, że na zabawie tej „koniecznym być powinien, kto chce się zapoznać z duchem mieszkańców i głębiej wejrzeć w wewnętrzne życie ludności fabrycznej. Ile tam typów nowych, ile zajmujących obrazków zebrać można, wśród tych ludzi, którzy wyzwoliwszy się na chwilę od jarzma codziennej pracy, korzystają z tego czasu z prawdziwym zapałem i umieją się bawić prawie zapamiętale”. W 1875 r. atmosfera balu była na tyle gorąca, że po jego zakończeniu zobowiązano uczestników do pokrycia kosztów wstawienia wybitych szyb.

W kilka tygodni po strzelaniu królewskim odbywały się zawody „o premię królewską”. Nagrodę dla najlepszego strzelca fundował wówczas aktualny Król Kurkowy, dla drugiego w celności — marszałek. O. Flatt wspomina o odbywającym się corocznie od 1849 r. strzelaniu do „ptaka”. Na szczycie wysokiego drzewa w parku Kwela umieszczano kukłę ptaka. Ten z uczestników zawodów, który zestrzelił ostatnią jej część, ogłaszany był królem, z tym że ranga jego była znacznie mniejsza niż Króla Kurkowego. W latach późniejszych ta zabawa strzelecka nie była kontynu-

owana. Od 1876 r. organizowano jesienne zawody strzeleckie pod nazwą „strzelanie do jelenia” lub „strzelanie o premię św. Michała”. Impreza odbywała się w ostatnią niedzielę września lub pierwszą października i kończyła sezon strzelecki. W parku Kwela rzadko panowała cisza. Od strzelania kółewskiego aż po strzelanie do jelenia, w każdą niedzielę i poniedziałek organizowano strzelanie do tarczy, traktowane jako ćwiczenia.

Powodem do dumy Łódzkiego Towarzystwa Strzeleckiego była strzelnica, już w połowie XIX w. przewyższająca „pod każdym względem wszystkie strzelnice po innych miasteczkach fabrycznych”. Przy regulacji Nowej Dzielnicy w 1840 r. wyznaczono towarzystwu teren pod strzelnicę o powierzchni prawie 4 hektarów, tuż obok parku Kwela. Położenie strzelnicy przy ruchliwym trakcie do Rokicin okazało się w miarę upływu lat i rozwoju miasta bardzo korzystne. Obiekt znalazł się niemal w centrum, co zapewniało frekwencję na wszystkich imprezach strzeleckich. Od 1847 r. systematycznie rozbudowywano stanowiska strzeleckie, choć sama strzelnica jeszcze w 1911 r. nie była obwałowana. Powodowało to skargi okolicznych mieszkańców, narzekających na uciążliwą, cotygodniową palbę. Odnotowano też przypadek trafienia kulą w przejeżdżający ul. Rokicińską (obecnie Al. Marszałka Józefa Piłsudskiego) tramwaj. W 1863 r. zarząd Łódzkiego Towarzystwa Strzeleckiego rozpoczął starania o powiększenie terenu strzelnicy. Cztery lata później Rada Miejska wyraziła zgodę na wydzierżawienie północnej części parku miejskiego Źródlika (nie używano już nazwy Kwela), o powierzchni ok. 1 ha. w 1872 r. towarzystwo nabyło prawo użytkowania dzierżawionego terenu przez okres następnych 25 lat. W 1905 r. część terenu strzelnicy porośniętego rzadkim lasem sosnowo-świerkowym i zaroślami włączono do parku Źródlika. W 1911 r. Łódzkie Rzemieślnicze Towarzystwo Śpiewacze „Lira” zwróciło się do gubernatora piotrkowskiego z prośbą, aby odebrano dzierżawę Towarzystwu Strzeleckiemu i przekazano ją wnioskodawcy. Zarząd „Liry” sformułował pod adresem strzelców wiele zarzutów. Wskazywano na uciążliwość i niebezpieczeństwo wynikające z użytkowania obiektu, skarżono się na wybryki członków Towarzystwa Strzeleckiego (strzelanie do ptaków w parku). Donoszono o bezprawnej sprzedaży spirytualiów przy strzelnicy. Zaproponowano Towarzystwu Strzeleckiemu inne, rzekomo korzystniejsze i bezpieczniejsze miejsce na budowę strzelnicy — przy szosie zgierskiej. Aby rozstrzygnąć problem, Magistrat miasta Łodzi,



Програма празднования 75-ой годовщины су- ществования Лодз. Стрел. Общ.	Program obchodu 75 letniego Jubileuszu Łódzk. Tow. Strzelec.	Programm der Feier des 75. jährigen Jubi- leums der Lodzer Bür- gerschützen-Gilde.
Суббота, 12 (24) Июня 1899 г.	Суббота дня 24 czerwca 1899 г.	Ангелом, ден 24. Јуни 1899.
Сборъ въ 8 часовъ утра въ саду Па- ради́за.	Засѣданіе въ оградѣ „Паради́зъ“ о годинѣ 8-ой часа.	Versammlung im Para- diegarten um 8 Uhr Morgens. Ansprache um 11 Uhr. Frühstück um 12 Uhr. Nach dem Frühstück — Beginn des Schiessens.
Въ 11 часовъ вы- маршируетъ хиръ. Въ 12 часовъ завтракъ, а послѣ завтрака нача- ло стрѣльбы.	О 11-ой вымаршъ до стрелниці, о 12-ой ини- циале а по инциале розыгрыше стреланія.	Abends 10 Uhr Feiern im Tanzkränchen. Die Mitglieder am Schiess- stand „Helenenhof“ Anfang, den 25. Juni 1899.
Въ 10 часовъ вечера танцовальный семей- ный вечеръ въ залѣ Галерея для участ- никовъ стрѣльбы.	О 10-ой ввечеромъ балъ для бисерныхъ удилъ въ стрелниці въ салъ „Helenowa“.	Fortsetzung des Schies- sens von 1 Uhr Nach- mittags. Von 9 Uhr Concert im Quellpark. An beiden Tagen wird bis 7 Uhr Abends ge- schossen.
Воскресенье, 18 (25) Июня 1899 г.	Недѣля дня 25. Очер- веня 1899 г.	Ангелом, ден 25. Јуни 1899.
Продолженіе стрѣль- бы въ 1 часъ поно- удка.	Дальше ciągъ стреланія од години 1-ой по по- уднику, а од години 2-ой концертъ въ Парку.	Fortsetzung des Schies- sens von 1 Uhr Nach- mittags. Von 9 Uhr Concert im Quellpark. An beiden Tagen wird bis 7 Uhr Abends ge- schossen.
Отъ 2 часовъ по по- удка въ паркъ- концертъ.	Стрѣльба въ обонѣ двѣхъ выигрывается въ 7 часъ вечера.	Abends, den 25. Juni 1899.
Срѣдьба въ обонѣ двѣхъ выигрывается въ 7 часъ вечера.	Стреланіе в оба днѣхъ кобой сѣ о 7-ой ввечеромъ.	Von 11 Uhr Morgens an Beendigung des Schiessens. Absch- luss der geschlossenen Schiessung und Verthei- lung der Preisen.
Завтракъ, 14 (25) Июня 1899 г.	Ангеломъ дня 25 Очервеня 1899 г.	Ангеломъ, ден 25. Јуни 1899.
Утромъ въ 11 часовъ оканчваніе стрѣльбы, оттуда по стрѣльбѣ а раздача премій.	Od години 11-ой рана законченіе стреланія Обрѣchnittакъ стреланія и раздѣланіе премій.	

KSIĄŻECZKA STRZELECKA Z 1899 R., STRONA 4

również zainteresowany dochodem z dzierżawy, ogłosił licytację. Uchybienia proceduralne przedstawicieli „Liry” przesądziły o oddaniu dzierżawy Towarzystwu Strzeleckiemu.

W 1874 r., dla uczczenia 50 rocznicy założenia Łódzkiego Towarzystwa Strzeleckiego, postanowiono wybudować dom strzelecki i w tym samym roku obok strzelnicy w parku Źródlika położono kamień węgielny. Do tego czasu strzelcy łódzcy nie posiadali stałej siedziby. Zbierano się w prywatnych mieszkaniach kolejnych komendantów, a po wystawieniu skromnego, drewnianego budynku przy strzelnicy, pod jego dachem. Budowa wymagała dużych nakładów finansowych. Do 1877 r. zebrano 5232 ruble, po czym zdecydowano wy-

dać akcje w biletach o wartości 10 rb każdy, dobrze sprzedawanych wśród członków towarzystwa i poza nim. W 1880 r. budynek został ukończony. Mieścił on obszerną restaurację, bufet wyposażony w 12 stołów i 60 krzeseł, dużą salę i pokój bilardowy. Zlokalizowany był w pobliżu obecnego skrzyżowania ul. Targowej z Aleją Marszałka J. Piłsudskiego. Nie znane bliżej są okoliczności, w których budynek ten przestał istnieć. Stało się to prawdopodobnie wkrótce po 1918 r.

Trudno też znaleźć jednoznaczny odpowiedź na pytanie, jaki rezonans towarzyszył działalności Łódzkiego Towarzystwa Strzeleckiego. W okresie swego szczytowego rozwoju, w latach trzydziestych ubiegłego wieku, nie

przekroczyło liczby 200 członków. Z zachowanych dokumentów wynika, że aktywny udział w życiu towarzystwa brała grupa 40—60 osobowa. Zaznaczała ona jednak swoją obecność w mieście. Wiązało się to z charakterem imprez organizowanych przez strzelców (przemarsze przez miasto, odgłosy strzelania, huczne zabawy), posiadaniem własnego uniformu i własnego budynku. Wspomnieć też warto, że Łódzkie Towarzystwo Strzeleckie było inicjatorem wspólnych spotkań i zawodów strzeleckich z podobnymi towarzystwami w okolicznych miastach (Pabianice, Zgierz, Ozorków, Aleksandrów).

Tuż przed wybuchem I wojny światowej carskie władze administracyjne zainteresowały się działalnością strzelców. Niemieckie pochodzenie większości z nich nasuwało przypuszczenie, że w razie spodziewanego konfliktu,

mogą utworzyć przednią straż armii niemieckiej. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. liczne towarzystwa strzeleckie wznowiły swoją działalność. W Łodzi, podobnie jak w innych miastach okręgu, ruch strzelecki nie odrodził się.

#### Literatura:

O. Flatt, Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym, Warszawa 1853.

T.A. Jakubiak, Kurkowe Bractwa Strzeleckie w Wielkopolsce, Poznań 1986.

K. Woźniak, Towarzystwa Strzeleckie w miastach Polski środkowej w XIX i na początku XX wieku, „Łódzkie Studia Etnograficzne”, t. XXIX, 1987.

ZBIGNIEW LIPOWSKI

### W 100-lecie łódzkiego benefis Heleny Modrzejewskiej

Wieczorem trzeciego marca 1891 roku przyjechała kolejną do fabrycznej Łodzi „wprost z Ameryki” — jak nieścisłe informowała miejscowa prasa „największa aktorka wszechczasów” — Helena Modrzejewska. Pięćdziesięcioletnią już wówczas artystkę powitał dyrektor polskiej sceny w Łodzi — Karol Kopczewski wraz z miejscowym restauratorem Henrykiem Lange (pełniącym również funkcję impresaria) w asyście aktorek i aktorów oraz przedstawicieli prasy. Już następnego dnia, po jednej próbie, Modrzejewska występuje jako Maria Stuart w schillerowskiej tragedii. Aby zapobiec nadużyciom przezorny impresario wydrukował bilety wstępu na przedstawienie w innym kolorze, mimo iż wynajęto największą salę w mieście liczącą około ośmiuset miejsc. Oprócz „Marii Stuart” Modrzejewska wystąpiła w „Dalili” O. Feuilleta, „Odetcie” V. Sardou, „Adriannie Lecouvreur” E. Scribe i E. Legove’a oraz „Damie Kameliowej” A. Dumasa — syna. Jej występy w Łodzi wzbudziły niespotykany tu dotąd entuzjazm. Przywoływana była wielokrotnie na scenę, obdarowywana

kwiatami i ozdabiana wieńcami. Przez pięć dni teatr „Thalia” „pękał w szwach” a sukces finansowy był ogromny. Dość powiedzieć, że dochód z każdego występu przyniósł jej 900 rubli kiedy w Warszawie miała „tylko” po 500 rubli z przedstawienia (Łódź i Warszawa leżące w tzw. „Priwisłanskim kraju” stanowiły część Imperium Rosyjskiego).

Łódzkie występy Heleny Modrzejewskiej (w Ameryce jej nazwisko wymawiano Modejska lub Modeska), choć były niewątpliwie epizodem w jej karierze zawodowej, dla łodzian i rodzącej się miejscowej inteligencji, miały olbrzymie znaczenie zarówno artystyczne, jak i edukacyjne. Wydatnie wzmocniły też poczucie własnej wartości zamieszkałych tu Polaków, którzy w tym mieście egzystowali obok silniejszych ekonomicznie grup żydowskiej i niemieckiej. Pobyt Modrzejewskiej miał więc w Łodzi znaczenie zarówno patriotyczne, co i polityczne i aż dziwnym się wydaje, że zezwoliły na to władze carskie. Zresztą spektakularnych wydarzeń natury artystycznej było w ówczesnej Łodzi dużo więcej. Dość wspom-



MODRZEJEWSKA W ROLI PRAKSEDY W „NAD CZEREMOSZEM”

nieć o wystawieniu w specjalnie zaaranżowanych pomieszczeniach Grand Hotelu „skandalicznego” obrazu Suchorowskiego „Pierwszy dzień w haremie” z piękną, nagą niewolnicą jako postacią tytułową. Z kolei w reprezentatywnej sali koncertowej Vogla (późniejszy budynek Filharmonii Łódzkiej) występuje utalentowany młody mężczyzna — skrzypek Bronisław Huberman — jak pisał ówczesny sprawozdawca muzyczny po występach wiolinisty. Zaś w salo-

nach Rubinsteinów przy Piotrkowskiej zdumiewać zaczyna swą grą młodzieńca Arturka...

A oto fragment recenzji Karola Łaganowskiego, który pod pseudonimem Homonovous tak relacjonował w „Dzienniku Łódzkim” występy rodaczki z Ameryki: „Miałem przyjemność „Interviewować” panią Modrzejewską, zwyczajem więc dziennikarskim popełniam niedyskrecję, komunikując wam, szanowni czytelnicy, parę komplementów pożegnalnych zna-

komitej artystyki pod adresem Łodzi. Przede wszystkim więc pani Modrzejewska zaznacza, że Łódź wydaje jej się bardzo piękna... ze sceny, potem, że umie cenić i wynagradzać sztukę i wielbić talenty nawet lepiej, to jest pozytywniej, niż Warszawa, dalej, że otoczenie jej w „Odetcie” było o wiele lepsze, niż na scenie warszawskiej (...) dalej, że miasto nasze przypomina jej nieco Amerykę, że dziwnie wiele w niej napływowych żywiłów, a mało rdzennych, urodzonych łodzian, gdyż prawie każdy z jej interlokutorów oświadczał, iż przybył skądś do Łodzi za chlebem, że wreszcie, pełna zadowolenia z przyjęcia zajrzy może nie długo td. i td.”

Istotnie. Po występach w Warszawie Modrzejewska na dzień pojawiła się w Łodzi i 25 marca występuje w „Makbecie” Szekspira (oczywiście jako Lady Makbet). Za najciekawszą uznano wówczas scenę lunatycznego transu graną z nieporównanym ponoć mistrzostwem. „Dziennik Łódzki” nr 68 z 1891 roku tak oto oddaje wrażenie: jej gra „Twarz jej śpi, choć oczy otwarte, śpi nie zmieniając wyrazu podczas całej sceny; słychać oddech ciężki, głęboki jak u śpiącej, ruchy pozbawione energii, chwiejne jak we śnie, choć śpiąca powtarza sceny z rzeczywistości, gdzie te same ruchy były gwałtowne, namiętne; głos również stracił swą energię, siłę, zmięknął, z trudnością ni by przechodził przez gardło, jak u śpiącego, a westchnienie... Ileż w nim bólu, jęku, krzyku, rozpacz! A jednak wydziera się na zewnątrz z jakiejś głębi, jak z grobu, przytłumione, z wysiłkiem. Wspaniała ta scena pozostawia niezapomniane wrażenie”.

Ostatni cykl przedstawień Modrzejewskiej w Łodzi przypadł w maju po jej tournée artystycznym w trakcie którego odwiedziła Kraków, Lwów i Poznań. Tym razem artystka występowała w gmachu polskiego teatru „Victoria”, mniejszym od „Thalii”, ale za to w bezpośrednim sąsiedztwie hotelu. Bilety były już nieco tańsze, ale zainteresowanie łodzian do-

pisało. Modrzejewska wystąpiła w dwu sztukach pokazywanych już wcześniej — „Odetcie” i „Marii Stuart” a ponadto w „Księżnej Jerzowej” A. Dumasa — syna i „Nad Czere-moszem” wg „Karpackich Górali” Korzeniowskiego. Cały swój zarobek z ostatniego przedstawienia wielka aktorka przeznaczyła na potrzeby łódzkiego teatru i aktorów, którzy towarzyszyli jej w spektaklach. Byli to Winkler, Trapszo, Gorzkowski, Janowski, Staszewski i inni. Modrzejewska wyjechała z Łodzi 10 maja 1891 roku wydając pożegnalny bankiet.

Występy Heleny Modrzejewskiej na jakiś czas stały się czymś, co podtrzymało istnienie polskiej stałej sceny w Łodzi, były więc ostatnią deską ratunku dla miłośników sztuki i języka polskiego w mieście Lodzermenschów. Nie zmieniło to jednak faktu, że teatr ten niebawem zbankrutował. Funkcjonowało tam później kino „Polonia”. Dziś budynek ten zdewastowany i zapomniany nie zdradza niczym, że nie tak dawno biło tu serce kulturalnej części miasta. Ani Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, ani nawet Towarzystwo Przyjaciół Teatru — jak dotąd nie wpadło na pomysł, aby umieścić tu pamiątkową tablicę, podobną choćby do tej, jak ta na fasadzie budynku przy ul. Piotrkowskiej 78, gdzie w dzieciństwie mieszkał nasz znakomity rodak — Artur Rubinstein. A dziwimy się, że w dalekim Kijowie, w tamtejszym Domu Kontaktowym nie ma śladu po występach sławnych polskich wirtuozów: Szymanowskiej i Lipińskiego... Tak traktują i będą nas traktować w przyszłej zjednoczonej Europie, jak my sami będziemy traktować siebie. Czyżby Modrzejewska nie zasłużyła sobie w Łodzi na jakieś po sobie — choćby drobną — pamiątkę? Czy — będąc Polką i ambasadorem polskości w świecie — nie miała wystarczająco „dobrego pochodzenia”, aby pamiętać i o niej, na równi z Rubinsteinem, Hirszenbergiem czy Trensmannem? A co na to szacowne Muzeum Historii Miasta Łodzi, równocześnie siedziba TPL i TPT?

ZBIGNIEW LIPOWSKI

## Rozmowa z Bożenną Pietraszczyk, z-cą dyrektora Muzeum Historii Miasta Łodzi

Zbigniew Lipowski: W grudniu 1990 roku minęła ósma rocznica śmierci Artura Rubinsteina, w kwietniu zaś minął rok od chwili powołania na terenie Muzeum Historii m. Łodzi Galerii Muzyki jego imienia. Prasa łódzka poświęca sporo uwagi wszystkim wydarzeniom związanym z kultem wielkiego łodzianina podobnie jak periodyki muzyczne. Jednak wiedza o tej unikalnej placówce w środowiskach szkół i uczelni artystycznych, w tym i muzycznych, jest niewielka. Czy — zdaniem Pani — taka placówka jak Wasza Galeria winna gromadzić, badać, dokumentować i eksponować materiały i pamiątki po artyście, czy raczej — idąc z duchem czasu — koncentrować się na wydarzeniach szczególnych, zjawiskach niepospolitych, działaniach kontrowersyjnych i awangardowych?

Bożenna Pietraszczyk: Placówka nasza, a mam na myśli nie tylko Galerię ale całe Muzeum, od lat stara się pogodzić z sobą te dwie — zdawało by się sprzeczne — tendencje. Poprzedni mój szef, dyrektor Antoni Szram, dawał nam, kustoszom poszczególnych działów spory zakres swobody w działaniach innowacyjnych pod warunkiem nie zaniedbywania tego, do czego placówka muzealna w jej klasycznym ujęciu jest zobowiązana: a więc tej często żmudnej, niewdzięcznej i niewidocznej pracy inwentaryzatorskiej, badawczej i dokumentacyjnej. Przykładem eksperymentu i pójścia „z duchem czasu” jest właśnie nasza Galeria Muzyki, której jestem współtwórcą i której problemami nadal żyję. Dotyczą one przede wszystkim przyszłości Muzeum — jako całości, przyszłości jak wiemy dość niepewnej w przeciwieństwie — na przykład — choćby do Muzeum Sztuki, które jest filią Muzeum Narodowego w Warszawie czy nawet nowej placówki muzealnej — Muzeum Wnętrz w dawnym pałacu Herbsta, które z kolei jest filią łódzkiego Muzeum Sztuki. My w całości zależyśmy od gospodarzy naszego miasta i ich zrozumienie problemu wytyczy także i naszą dalszą przyszłość. Póki co gromadzimy pieczołowicie materiały po wybitnych kompozytorach, malarzach i architektach koncentrując się — z różnych zresztą powodów — na końcu XIX i początkach XX wieku.

Z.L.: Prowadzicie też atrakcyjną działalność imprezową...

B.P.: W naszych muzealnych wnętrzach odbywają się koncerty i przedstawienia teatralne, z których czerpiemy pewne korzyści finansowe. Organizowane są też wystawy czasowe, różnorakie spotkania i inicjatywy paramuzealne jak choćby „Hotel Artystów”. Zgodnie z zapotrzebowaniem łodzian dominuje jednak tematyka muzyczna. Do określonego profilu działalności zobowiązują nas również pomieszczenia Muzeum sprzyjające raczej imprezom kameralnym. Wykorzystujemy je jako odpowiednie tło do odpowiednich imprez. Także dokumentacja dzieciństwa i młodości Artura Rubinsteina znakomicie się u nas prezentuje, eksponaty i pamiątki po nim pochodzą bowiem w większości z tej samej epoki i podobnego środowiska. W jakimś stopniu odtwarzają też klimat domu Rubinsteinów przy Avenue Foch w Paryżu.

Z.L.: Jesteście jedyną tego typu placówką w Polsce a może i na świecie. Ale przecież inicjatorem kultu wielkiego pianisty oraz jego sztuki była Filharmonia Łódzka...

B.P.: To fakt, że Filharmonia Łódzka przyjęła imię Artura Rubinsteina w 1984 roku, że w 1987 roku, a więc w stulecie urodzin swego patrona zorganizowała koncert z udziałem jego syna Johna. Prawda jest jednak taka, że zanim ta prestiżowa placówka muzyczna pozyskała przychyłność rodziny i spadkobierców wielkiego artysty, Muzeum nasze już od dawna utrzymywało kontakt z panią Anielą Młynarską-Rubinstein i jej córką Evą. Wbrew pozorom żydowskie pochodzenie Rubinsteinów nie utrudniało nam inicjatyw, a ówczesne władze polityczne nie torpedowały naszych działań. Rozumieliśmy, że kontakt z rodziną artysty daje Łodzi niepowtarzalną szansę a wpływający czas i wiadomości o pobycie Artura Rubinsteina w klinice w Genewie wymuszały pośpiech. Mogły nas bowiem ubiec inne miasta, takie jak chociażby Paryż czy Tel Aviv.

Z.L.: Kto jest autorem scenariusza pierwszej wystawy pamiątek po Rubinsteinie i od kogo pochodzi koncepcja Galerii Muzyki jego imienia?



SALONIK MUZYCZNY GALERII MUZYKI IM. A. RUBINSTEINA

fol. B. Kaczyńska

B.P.: Z chwilą zaistnienia Muzeum Historii m. Łodzi i mojego przejścia do tej placówki z Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego (nota bene mieszczącego się do 1975 roku w obecnym budynku Muzeum a dawnym pałacu I. K. Poznańskiego) dostrzeżone zostały moje zainteresowania muzyką i muzykami. Będąc wówczas dyrektorem tej placówki, wspomniany już w trakcie naszej rozmowy, Antoni Szram, od początku swojego szefowania pragnął, aby Muzeum kipiło różnorodnością działań i pomysłów. To on stworzył mi warunki rozwinięcia zainteresowań i realizacji moich koncepcji. Powierzył mi też opracowanie scenariusza wystawy dotyczącej Rubinsteina.

Z.L.: Co było ideą przewodnią w adaptacji, rekonstrukcji i aranżacji pomieszczeń przeznaczonych na ekspozycje?

B.P.: Odtworzenie charakterystycznego wystroju wnętrza mieszkania zamożnego patrycjatu łódzkiego z przełomu XIX i XX wieku, jak również rekonstrukcja zdewastowanej części pałacu będącego przecież zabytkiem samym w sobie.

Z.L.: Zaistnienie nowego, wydzielonego tematycznie i „ideowo” ciągu ekspozycyjnego w obrębie Muzeum — jak to ma miejsce dzisiaj — musiało zakłócić poprzednie proporcje Muzeum jako całości, zarówno w sensie merytorycznym jak i przestrzennym. Jak to się ma do owych podstawowych, klasycznych założeń naukowo-badawczego profilu Waszej działalności, do obiektywizmu wobec szerokiego spektrum zjawisk społeczno-artystycznych zachodzących w naszym mieście zarówno w przestrzeni historycznej jak i współcześnie?

B.P.: Tak, to trudne pytanie... Odpowiedź może być tak. Wysiłki naszej placówki doprowadzone zostały już do tego punktu, z którego można wyjść w kilku różnych kierunkach po to by je nie tyle badać i rozwijać co raczej, kultywować, pielęgnować. Myślę tu również o działalności popularyzatorskiej wynikającej z wyczucia koniunktury a nawet i o reklamie. Wymaga to nie tylko utrzymania przez nas stałych kontaktów z instytucjami i środowiskami pielęgnującymi kult Artura Rubinsteina w świecie, ze specjalistami różnorodnych agencji artystycznych i twórcami — co w miarę naszych możliwości czynimy — ale odpowiednich środowisk, których nie mamy.

Z.L.: Słyszałem o projekcie powołania fundacji im. A. Rubinsteina...

B.P.: W Wielkiej Brytanii i w Izraelu od lat działają Towarzystwa im. A. Rubinsteina. Pani Nela, wdowa po artyście, sugerowała nawiązanie kontaktów z nimi celem powołania fundacji. Jesteśmy w trakcie pertraktacji — poprzez ambasadę Izraela w Warszawie — z przewodniczącym Towarzystwa z Tel Avivu panem Jasha Bystrzyckim pochodzącym z Łodzi. Spodziewamy się jego wizyty w naszym mieście w tej sprawie...

Z.L.: Ale przecież działali w Łodzi i inni wybitni artyści jak chociażby twórca łódzkiej secesji — Gustaw Landau-Gutenteger, malarz — portrecista — Samuel Hirszenberg, czy — trzymając się już muzyki — chociażby Aleksander Tansman — kompozytor i artysta nie mniejszej rangi co Rubinstein, zresztą jego wieloletni przyjaciel?

B.P.: Pod dostojnym płótnem Samuela Hirszenberga, jak Pan widzi — może trochę źle oświetlonym i nie wyeksponowanym — prowadzimy naszą rozmowę. A Tansmana gościł u nas kilka lat temu. Rozmawiałam z nim również w jego domu w Paryżu. Ustaliliśmy wtedy formę i termin przekazania Łodzi pamiątek, które miały być eksponowane w naszym Muzeum. Niestety nie zdążyliśmy... po śmierci kompozytora cały jego dobytek przejęły córki mieszkające we Francji... Póki co, opiekujemy się grobem jego ojca na cmentarzu żydowskim, a na domu gdzie mieszkał ufundowaliśmy tablicę. Zbieramy jednak pamiątki

i informacje dotyczące Tansmana, publikacje na jego temat, fotografie z pobytu w Polsce, rękopisy kompozycji, nagrania. Fachowo zajmuje się u nas muzykami pani Iwona Żukowska, współpracujemy też z redakcją muzyczną Polskiego Radia w Łodzi, z panią Iloną Grzesiak i Anną Kolasą. Są one częstymi gośćmi naszej placówki i uczestniczą we wszystkich znaczących wydarzeniach muzycznych na naszym terenie. Dzięki temu informacja o Galerii Muzyki im. Artura Rubinsteina w dniu jej uroczystego otwarcia, wywiady z zaproszonymi wówczas osobistościami życia muzycznego, krytykami muzycznymi, historykami muzyki, dziennikarzami i rodziną artysty — poszła, poprzez antenę ogólnopolską — w świat. Dziś, w niespełna rok po otwarciu Galerii, w Muzeum Miasta Łodzi bywają nie tylko goście koronowani, jak chociażby w październiku ub. roku królowa Hiszpani — Zofia, ale i uczestnicy różnych sympozjów, zjazdów, prawdziwie turystycznych wycieczek z całego świata oraz co raz liczniejsi melomani, w tym zarówno nauczyciele jak i studenci, w wielu też przypadkach uczniowie szkół nie tylko muzycznych...

Z.L.: Chciało by się zatem powiedzieć: kulturotwórcza rola placówki — popularyzatorska, naukowa i wychowawcza zostaje spełniona. Czy przez to przybywa Łodzi muzyków, muzykologów i pedagogów?

B.P.: Nikt nie prowadzi takich badań. Promując jednak w jakiś sposób tematykę muzyczną, z pewnością przyczyniamy się — obok instytucji profesjonalnie zajmujących się muzykowaniem do poszerzania kręgu melomanów. Fundujemy też nagrody uzdolnionym pianistom co — jak Pan wie — miało miejsce podczas ostatniego Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina.

Z.L.: Roztaczacie zatem mecenat sami nie mając pewnego mecenasa.

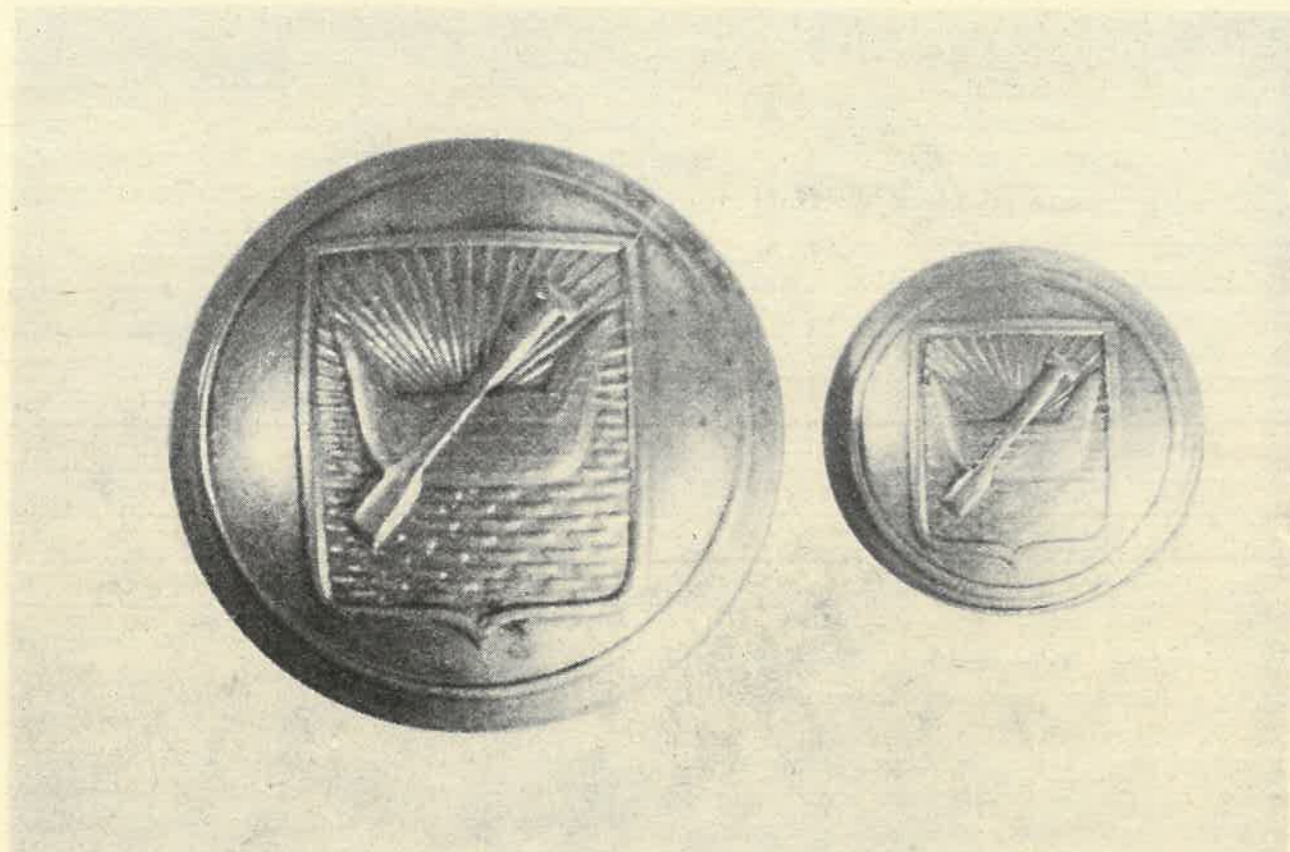
B.P.: Mijmy nadzieję, że nadejdą lepsze lata a władze pomogą nam w przetrwaniu.

Z.L.: Życzę pomyślności i dziękuję za rozmowę.

B.P.: Ja również dziękuję i pozdrawiam czytelników „Wędrownika” — tego tak pożytecznego pisma krajoznawców i miłośników naszego fascynującego miasta.

## Guziki

f-my Bronisława Grabskiego i jego kontynuatorów



GUZIKI MAGISTRACKIE MIASTA ŁODZI

fot. B. Szafrńska,

Historia Łodzi składa się m.in. z dziejów jej poszczególnych zakładów pracy, których wyroby rozślawiały imię naszego miasta nie tylko w Polsce ale nawet i w świecie.

O jednym takim zakładzie produkującym również i guziki, które będą tematem tego artykułu, chciałbym dzisiaj opowiedzieć.

W 1921 roku powstały w Łodzi Zakłady Przemysłowe Bronisława Grabskiego (1891—1969), które mieściły się przy ul. Kpt. Pogonowskiego 59/61. Podjęły one produkcję dla wojska w postaci guzików metalowych, wszelkiego rodzaju i typów (specjalność guziki oficerskie), gwiazdek (dystynkcji), odznak szkół podoficerskich na patki kołnierzy, orzełków do czapek, w tym również jako pierwsze i jedyne orzełków do czapek lotniczych, medali, odznak pułkowych, popularnych i powszechnych odznak P.O.S. (Państwowa Odznaka Sportowa oraz O.S. (Odznaka Strzelecka), żetonów sportowych i

cechowych, głowic do sztandarów, przedmiotów wojskowego uzbrojenia oraz różnego wyposażenia mundurowego i taborowego.

Współpraca ta w dziedzinie zaopatrzenia wojska musiała być poważna i zauważalna, skoro 3 maja 1936 roku Minister Obrony Narodowej udekorował Bronisława Grabskiego — Złotym Krzyżem Zasługi.

Oprócz zaopatrzenia dla wojska przy ul. Zakątnej 59/61 (późniejsza nazwa istniała też Fabryka Fibrów B. Grabskiego, największa w kraju fabryka artykułów podróży, która produkowała różnego rodzaju walizy, kasetki, kufry z obrotami, kufry bagażowe, samochodowe, pudła do kapeluszy, skrzynki transportowe, gary przędzalnicze, daszki do czapek itp. Istniał tam też w Wydziale Metalowym masowy wyrób artykułów metalowych tłoczonych i ciągnionych jak: kolana karbowane, rury do pieców, piecyki kuchenne, patelnie, szufelki do



GUZIK MAGISTRACKI Z HERBEM MIASTA LWOWA fot. B. Szafrńska

śmiecici i węgla, okucia budowlane, oprawy do irygatorów i termofory. Ponadto przy ul. Głównej 13 powstała jeszcze Fabryka Wyrobów Masowych.

W 1939 roku po wkroczeniu Niemców do Łodzi okazało się, że Bronisław Grabski jest z pochodzenia Niemcem. Wobec powyższego nie odebrano mu zakładów i prowadził je dalej pod swoim nazwiskiem tylko jako firmę Industriewerk przy ul. Clausewitzstr. 59/61.

Mieszkając przed wojną przy ul. M. Kopernika 6, w czasie okupacji jako Niemiec nie został z niej wysiedlony, tylko ulica ta zmieniła swoją nazwę, wpierw na Milschstr., a potem na Friedrich-Gossler-Str., z tym samym zawsze Nr 6.

Zakłady jego w dalszym ciągu produkowały — lecz teraz już dla Niemców: walizki, plecaki i inny ekwipunek żołnierski, a Dział Mechaniczny: guziki metalowe dla armii niemieckiej. Z tym, że pod koniec wojny większość urządzeń i maszyn okupant zdemontował i wywiózł do Niemiec.

Po wyzwoleniu miasta powstało nowe przedsiębiorstwo: Zakłady Przemysłowe Bronisław Grabski (Łódź, ul. Kpt. Pogonowskiego 56/58)

Pod Zarządem Państwowywm. Otrzymało ono nową nazwę: Zakłady Przemysłu Guzikarsko-Galanteryjnego. W 1948 r. zakład ten zostaje połączony z byłym Zakładem Ślusarsko-Mechanicznym Braci Gustaw i Herbert Rosner (rok założenia 1929) znajdującym się przy ul. Limanowskiego 129 i otrzymują wspólną nazwę: Łódzkie Zakłady Przemysłu Guzikarsko-Galanteryjnego z siedzibą przy ul. Zakątnej 56/58. Produkowano tam: walizy, klamry, glanterię metalową, plomby, zamki błyskawiczne i w dalszym ciągu guziki metalowe. W 1951 r. zostaje przyłączony kolejny Zakład przy ul. Kopernika 71/73, a w r. 1954 jeszcze jeden Zakład — J. Siemiński i S-ka przy ul. Andrzeja Struga 21. Dalsze lata przynoszą podziały i tak całe to przedsiębiorstwo rozdziela się na dwa samodzielne zakłady:

1) Zakłady Przemysłu Guzikarsko-galanteryjnego im. M. Fornalskiej, z siedzibą przy ul. Limanowskiego 129.

2) Łódzkie Zakłady Przemysłu Guzikarsko-Galanteryjnego, z siedzibą przy ul. Zakątnej 56/58.

W 1959 r. Zakład otrzymuje nową nazwę: Wytwórnia Galanterii Metalowej „Wagmet”. Następuje kolejne połączenie z zakładem przy ul.



STRONA ODWROTNA GUZIKA Z NAPISEM B. GRABSKI  
fot. B. Szafrńska



GUZIK LWEKD (TRAMWAJE PODMIEJSKIE)  
fot. B. Szafrńska



GUZIK Z FILMU POLSKIEGO  
fot. B. Szafrńska



GUZIK PKP  
fot. B. Szafrńska

Limanowskiego 129 — w r. 1963. Produkuje się teraz: stelaże, zamki błyskawiczne tworzywowe, opakowania do plastrów, obcasy, nity, zatrzaski, przewieszki do odzieży, i w dalszym ciągu guziki, oddając jednak część produkcji innym zakładom, w różnych miastach.

Obecnie Zakład mieści się w dzielnicy przemysłowej Dąbrowa, przy ul. Lodowej 101 i ma pełną nazwę — Zakłady Wyrobów Galanteryjnych im. M. Fornalskiej „WAGMET”.

Od początku istnienia zakładu tj. od 1921 r. jednym z podstawowych asortymentów wyrobów, często eksportowych, były GUZIKI METALOWE, różnych typów i rodzaju (produkcja rzędu 40 milionów sztuk). Grabski specjalizował

się w guzikach wojskowych — specjalnie oficerskich, na które miał duży zbyt. Oprócz tego produkowano i inne jeszcze guziki np.:

dla Marynarki Wojennej i prawdopodobnie też handlowej, magistrackie — z herbami miast (Lwów, Łódź i inne), tramwajarskie, harcerskie, dla PKP, P.C.K., Poczty Polskiej, itp. Ktoś mógłby zapytać skąd wiemy, że akurat te a nie inne guziki są produkcji Grabskiego lub jego kontynuatorów. Wynika to z tego, że na odwrocie dużych guzików tego producenta było przeważnie jego nazwisko i miasto, w którym się Zakłady znajdowały, zaś na guzikach małych tylko jego signum. Można z tego dojść do mylnego wniosku, że guziki te są łatwe do



GUZIK WOJSKOWY

fot. B. Szafrńska



GUZIK WOJSKOWY

fot. B. Szafrńska

rozszyfrowania. Nic błędniejszego. Otóż po wojnie tłoczono te guziki rozmaicie: z początku starymi matrycami przedwojennymi, na których robiono różne poprawki (np. m.in. spilo-wywano orłom korony), potem już nowymi, często w ogóle bez napisów a czasami matry-cami, w których napisy były zatarte lub nie-dobite. Trzeba mieć trochę szczęścia żeby szyb-ko i jednoznacznie guzik taki zidentyfikować.

A dlaczego interesujemy się tylko guzikami produkcji Grabskiego skoro produkował on wiele jeszcze i innych przedmiotów użytko-wych? Otóż to! Guziki Grabskiego należą do cenionych i poszukiwanych eksponatów, które znajdują się w większości muzeów polskich. Z uwagi na różnorodność typów i rodzajów są kolekcjonowane przez zbieraczy zarówno pol-skich jak i zagranicznych (szczególnie guziki wojskowe). Guziki te docierały do różnych miast polskich nawet daleko znajdujących się od Łodzi, np. w moim zbiorze posiadam guzik tzw. magistracki z herbem Lwowa — produkcji B. Grabskiego z Łodzi (nb. pierwszy guzik w mojej kolekcji). Być może, że znajdują się inne z jeszcze dalszych rejonów. Niektóre skróty nie wszystkim kolekcjonerom i muzealnikom są znane, wobec powyższego naszym obowiązkiem jest podać to wszystko co wiemy i znamy o tych guzikach dla (i tu może zabrzmi to zbyt szumnie) — potomnych.

Produkcję guzikarską Bronisława Grabskie-go i jego kontynuatorów (udowodnioną na od-wrocie guzików odpowiednimi napisami i skrótami) z okresów: a) przedwojennego, b) okupa-cyjnego, c) powojennego i d) obecnego — mo-

żemy podzielić na poszczególne grupy przyna-leżnościowe, np.:

- 1) guziki wojskowe (oddzielnie Marynarka Wojenna),
- 2) guziki magistrackie (z herbami różnych miast),
- 3) guziki kolejowe,
- 4) guziki tramwajowe (w tym też osobne dla tormistrzów),
- 5) guziki P.C.K.,
- 6) guziki harcerskie,
- 7) guziki „SP” (Org. Służba Polsce),
- 8) guziki szkolne (z literami: „GS”),
- 9) guziki Straży Pożarnej,
- 10) guziki PKS.

Ponadto bez napisów i skrótów na odwrocie: guziki Poczty Polskiej, Filmu Polskiego i dużo innych.

Na odwrocie tych guzików są napisy, skrót-y i gwiazdki oraz rozmaite cyfry (tłoczone w tzw. odbiciu lusterkowym. Liczby te są od jedno do trzy cyfrowych i to nawet nieraz jeszcze w ułamku, z pewnością wskazują one numer i gatunek produkowanego guzika. Jaka szkoda, że nie dochował się do naszych czasów taki firmowy wzornik.

Na zakończenie, dla dobra sprawy, publi-kujemy (z różnych okresów), wykaz znanych nam skrótów firmy Bronisława Grabskiego i Łódzkich (Państwowych) Zakładów Galanteryj-nych:

„B.G.”, „B.G.Ł.”, „B.G.Ł. 1937”, „B.G.Ł. MARS”, „B.G.Ł. SYRENA”, „BG/Ł”, „BRON. GRABSKI”, „B. GRABSKI ŁÓDŹ”, „BRON.

GRABSKI ŁÓDŹ”, „BRON. GRABSKI 1938 ŁÓDŹ”, „B. GRABSKI ŁÓDŹ GAT. MARS”, „LZG”, „L/ZG”, oraz „P.Z.G.”.

Mamy nadzieję, że ten krótki szkic przybliży czytelnikom historię Zakładów Bronisława

ZBIGNIEW LIPOWSKI

## Łódzki epizod prof. Ludwika Tyrowicza

w 90-tą rocznicę urodzin artysty

W książce prof. Mariana Tyrowicza „W poszukiwaniu samego siebie” (Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1988), uroczym pamiętniku spiswanym już pod koniec życia Autora, znajduje się — obok licznych wzmianek rozrzuconych w tekście — osobny rozdział poświęcony bratu Ludwikowi Tyrowiczowi pt. „Dola i niedola artysty”. Ze względu na powiązania tego utalentowanego grafika i pedagoga z Łodzią i jej szkolnictwem artystycznym bezpośrednio po II wojnie światowej i w latach 50-tych, warto przypomnieć jego frapującą i dramatyczną biografię.

Ludwik Tyrowicz, syn Ludwika i Józefy z Irzykiewiczów Tyrowiczowej, urodził się 15.VII.1901 roku we Lwowie w rodzinie pochodzenia ormiańskiego, zbiegłej do Galicji z zaboru rosyjskiego w związku z prześladowaniami Polaków po Powstaniu Styczniowym. Dziadek Ludwika był kowalem, ojciec zaś znanym i cenionym właścicielem zakładu kamieniarskiego przy ul. Piekarskiej nieopodal Cmentarza Łyczakowskiego. Wiele istniejących do dziś tam nagrobków pochodzi właśnie z pracowni Tyrowicza. On także wykonywał marmurową obudowę cokołu pomnika Adama Mickiewicza z Placu Mariackiego, fragmenty elewacji lwowskiego Teatru Wielkiego, Muzeum Przemysłu, Katedry Łacińskiej czy też okazałej, fabrykańskiej kamienicy Sprechera.

Warto również w tym miejscu wspomnieć i o dziadku stryjecznym Ludwika Tyrowicza — Tomaszu Tyrowiczu. Był wychowankiem Akademii Wileńskiej — i przy pomocy finansowej Potockich — Wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych. Spędził również rok na studiach ma-

Grabskiego w naszym mieście, z uwypukleniem specjalistycznej produkcji guzikarskiej, która zawsze była liczącym się asortymentem wyrobów tego zakładu.

larskich w Dreźnie. W zorganizowanej w 1847 roku wystawie obrazów tzw. „malarzy krajowych” we Lwowie, zaprezentował jedenaście swoich prac oryginalnych i dziewięć kopii innych autorów. Był cenionym portrecistą i nauczycielem rysunku.

Po skończeniu szkoły powszechnej, wraz z bratem bliźniakiem Marianem, wstępuje w progi VI Gimnazjum Państwowego przy ulicy Łyczakowskiej. W 1918 roku mundurek szkolny przyszło braciom zamienić na mundury wojskowe. W 1920 roku, jak i wielu innych żołnierzy młodego wojska polskiego, Ludwik Tyrowicz zapada na czerwonkę. Pielęgowany troskliwie przez matkę powraca do zdrowia jednak jego opiekunka zainfekowała chorobę, niebawem umiera. Był to cios dla całej kochającej się rodziny. Wspólna dotąd droga życiowa braci nagle się rozchodzi. Marian wybiera studia uniwersyteckie na uczelni lwowskiej. Ludwik zaś „Wolną Akademię Malarstwa” — prywatną szkołę artystyczną prowadzoną przez przyjaciela domu Tyrowiczów — Leonarda Podhorodeckiego w ustronnej willi u zbiegu ulic Leśnej i Piaskowej. Po roku terminowania pod okiem mistrza, przenosi się Ludwik do pracowni Kazimierza Sichulskiego, wykładowcy malarstwa w Państwowej Szkole Przemysłowej przy ul. Snopkowskiej. Tutaj Tyrowicz nie tylko pogłębia swój warsztat ale i uzupełnia wiedzę plastyczną. Powstają pierwsze jego prace: projekty dekoracji, witraży i fresków, kompozycje rysunkowe i malarskie. W międzyczasie ojciec Ludwika żeni się ponownie. W ten sposób rodzina zostaje w jakimś sensie zrekonstruowana. Jednak Ludwik pragnie „wy-

frunąć” z domu i zmienić środowisko. Postanawia zacząć studia „już na serio” w Akademii Krakowskiej. W 1923 roku opuszcza on Lwów rozstając się z rodziną. Nie udaje mu się jednak zdać egzaminów wstępnych na tę uczelnię. Prosi brata o zachowanie tego faktu w tajemnicy i podejmuje pracę zarobkową przy odnawianiu jednego z kościołów krakowskich. Tego stanu rzeczy nie można było jednak ciągnąć w nieskończoność. Wraca do Lwowa z postanowieniem przymierzenia się tym razem do Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Tu odnosi sukces i zostaje przyjęty na Wydział Grafiki. Studia na tej uczelni zaczęły pochłaniać go coraz bardziej, pojawiły się pierwsze nagrody: w 1924 roku za projekt witraża; w 1925 roku otrzymuje nagrodę za zbiór autolitografii, zaś w 1926 roku za serię drzeworytów. Warszawska Akademia Sztuk Pięknych stworzyła w tym czasie własną szkołę grafiki użytkowej cenioną za granicą a zaprezentowaną po raz pierwszy w Pawilonie Polskim na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu w 1925 roku, oraz na wystawie Dziesięciolecia Odrodzonej Polski w 1928 roku w Poznaniu. W przygotowaniu ekspozycji obu tych wystaw brali udział zarówno profesorowie jak i zdolniejsi studenci Akademii. Znalazł się wśród nich i Ludwik Tyrowicz a do paryskiej ekskursji wciągnął też i swojego brata Mariana. Oprócz przygotowania wystawy było oczywiście i zwiedzanie Luwru, Wersalu, Musée de Clugny, Łasku Bulońskiego(!) i innych osobliwości nadsekwaniańskiej stolicy. Z Paryża droga braci Tyrowiczów nie wiodła bezpośrednio do Polski, ale przez Bretanię, Normandię, następnie Riwierę, Północne Włochy, Szwajcarię, Austrię i Niemcy.

Niebawem losy Ludwika i Mariana sprzęga praca w Gimnazjum im. Marszałka Stanisława Bańdeniego w Radziechowie, gdzie pracują jako nauczyciele. Hrabia Baden — dziedzic dóbr radziechowskich i właściciel pałacu we Lwowie — żywo interesował się twórczością graficzną Ludwika i przysparzał mu wiele intratnych zamówień. Dzięki jego wpływowi zaprezentował Tyrowicz w salach Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie (w 1929 roku) swój dotychczasowy dorobek artystyczny. Baden pomógł także w zorganizowaniu analogicznej wystawy we Lwowie i wielokrotnie przyjmował w swoich lwowskich apartamentach młodego artystę. W tym czasie dawna Szkoła Przemysłowa przemianowana została w Instytut Sztuk Plastycznych. Niebawem Tyrowicz prowadzi tu zajęcia i wykłady a w końcu otrzymuje posadę na Politechnice Lwowskiej jako kierownik pracowni graficznej. Jego dorobek twórczy był

już wówczas tak bogaty, że własnym sumptem zleca w drukarni Hechta wykonanie katalogu swoich prac (z ich tytułami, datą powstania, opisem techniki, rozmiarami, uczestnictwem w wystawach, wzmiankami o recenzjach i zakupach itp.). Ten dokument pracy artystycznej — jako jedyne dzieło źródłowe dotyczące jego twórczości — znajduje się dziś w dziale rękopisów i starodruków Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi. Skąd ono wzięło się w naszym mieście?

Po burzliwych latach 30-tych dwudziestolecia międzywojennego, po koszmarze II wojny światowej, po sukcesach i dramatach życia osobistego (którego koleje czytelnik może prześledzić w cytowanej już książce Mariana Tyrowicza), Ludwik Tyrowicz pod koniec 1945 roku pojawia się w Łodzi powołany na stanowisko dyrektora dawnej Państwowej Szkoły Przemysłowej przemianowanej na Państwową Szkołę Przemysłu Artystycznego zlokalizowaną przy ul. Narutowicza. Tam też otrzymuje mieszkanie służbowe. Niebawem, w wyniku tytanicznej pracy organizacyjnej nowego szefa, w miejsce wspomnianej szkoły Łódź otrzymuje dwie nowe placówki: Liceum Technik Plastycznych i Liceum Sztuk Plastycznych. Jedna z nich miała kształcić młodzież w zakresie rzemiosł artystycznych przydatnych w przemyśle, także i przemyśle filmowym (Wytwórnia Filmów Fabularnych, Oświatowych i inne), druga zaś przygotowywać twórców na poziomie wykształcenia ogólnego szkoły średniej. Z tej szkoły miała w przyszłości powstać łódzka Akademia Sztuk Pięknych. Wpierw jednak Tyrowicz organizuje w Łodzi Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych i sam prowadzi w niej do 1951 roku Zakład Grafiki. Jednocześnie jest wykładowcą w Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej (wykłada kostiumologię) i konsultantem w wytwórniach filmowych. Trzeba pamiętać, że w tych latach Łódź była najbardziej prężnym ośrodkiem życia intelektualnego i artystycznego w Polsce. Nic więc dziwnego, że to właśnie tu organizowano krajowe i międzynarodowe sympozja, konferencje, seminaria i zjazdy, których Tyrowicz był „duszą”. Jednocześnie zdobywa on uznanie w ówczesnym Ministerstwie Kultury i Sztuki i otrzymuje liczne nagrody: za autolitografię w Salonie Oddziału ZPAP w Łodzi (1946 roku), tamże za całokształt pracy powojennej (w 1947 roku) za pracę społeczną w Związku Artystów Plastyków (1950 rok), a w 1952 roku Srebrny Krzyż Zasługi. Taka aktywność po części spowodowana niedoborem kadry naukowej i pedagogicznej w Łodzi, a po trosze poczuciem obowiązku i temperamentem artysty nie mogła ujść uwadze

ówczesnych władz miasta, szczególnie nieufnych wobec przedstawicieli inteligencji, tym bardziej zaś inteligencji lwowskiej. A oto w jak zakamuflowany sposób cytowany już autor pamiętnika „W poszukiwaniu samego siebie” acenia ten fragment życiorysu brata: „Oblicze obyczajowe „polskiego Manchesteru”, dalekie w swej przedwojennej polsko-niemiecko-żydowskiej populacji od kultury szczerze artystycznej zarysowało się grymasem najbardziej wrogim i obleśnym... Wiele zarzutów pada więc pod adresem ówczesnego Oddziału Łódzkiego Związku Artystów Plastyków, zwyczajnej zazdrości młodszych kolegów — członków ZMP a potem PZPR oraz głupoty i podłości podległych Tyrowiczowi w obydwu szkołach artystycznych nauczycieli nierzadko z tzw. „awansu społecznego”.

W 1955 roku Tyrowicz zdobywa wyróżnienie w konkursie grafiki religijnej w Krakowie i fakt ten najprawdopodobniej przesądza ostatecznie o jego dalszej karierze zawodowej. Niebawem urzędnicy NIK-u prowadzący kontrolę działalności administracyjnej i gospodarczej Tyrowicza w łódzkich szkołach plastycznych, stwierdzają cały szereg uchybień (nie stawiając jednak żadnych konkretnych zarzutów). Coraz więcej więc było nieprzyjemnych rozmów i sytuacji zarówno w Ministerstwie jak i Urzędzie Bezpieczeństwa. Kiedy z końcem grudnia 1952 roku zmarł pionier łódzkiej awangardy — Władysław Strzemiński, Tyrowicz jako prezes łódzkiego oddziału ZPAP miał obowiązek wygłoszenia mowy pożegnalnej nad grobem zmarłego. Mowa ta w ocenie (i protokółach) niektórych słuchaczy nie była „po linii i na bazie”... W efekcie piętrzących się nagle niepowodzeń Tyrowicz został karnie zwolniony z pełnionych funkcji służbowych a na domiar złego wytoczono mu proces o niewywiązywanie się z obowiązków dyrektora. Po pół roku sprawę umorzono, podstawy do infa-

KAZIMIERZ HEMPEL

## Legenda wypraw Mieczysława Orłowicza

Rezolucja IV Kongresu Krajoznawstwa Polskiego (Opole 1990) każe nam ponownie rozważyć możliwość pogłębienia wartości wychowawczych turystyki. Dlatego wydaje się celowe ukazywanie różnych wzorców dobrej turystyki, choćby i z czasów dawniejszych. Bo jak to powiedział Władysław Krygowski — nie

mii jednak pozostały. Dopiero po październikowej „odwilży” Główna Komisja Rehabilitacyjna przy Ministerstwie Kultury i Sztuki dokonała oczyszczenia Tyrowicza z zarzutów podkreślając jego wielkie zasługi w organizacji łódzkiego szkolnictwa plastycznego. Niestety, rekompensata ta przyszła za późno. Człowieka, artystę, społecznika i pedagoga zniszczono bowiem nie tylko moralnie, ale i fizycznie. Złamany w swojej godności, sądzony bezpodstawnie, choć oczyszczony z krzywdzących zarzutów, nie był już tą samą osobą co dawniej. Bardziej wegetował niż żył, wykładając od czasu do czasu historię ubioru, trochę pisząc i publikując. Jego podręcznik „Podstawowe wiadomości z dziejów ubioru” (wydany w 1957 roku w formie atlasu z bogatym komentarzem) był pierwszą w powojennej Polsce w pełni profesjonalną publikacją w tym zakresie.

Ludwik Tyrowicz zmarł w wieku 57 lat 17 lutego 1958 roku w czasie gdy Ministerstwo Kultury i Sztuki poleciło ponownie zatrudnić go na utraconym stanowisku. Nad grobem jego przemawiali: prof. Wimmer, Tadeusz Grygiel i inni koledzy plastycy, podkreślając zasługi zmarłego dla kraju i Łodzi, z którą się tak bardzo nieszczęśliwie związał. Jego brat prof. Marian Tyrowicz przeżył go o 32 lata doczekując się licznych wydań swoich wspomnień lwowskich i krakowskich. Po Ludwiku — niestety — słuch jakby zaginął. Nie patronuje on — a szkoda — żadnej łódzkiej szkole artystycznej. Potwierdza się reguła, że nie była (i nie jest) Łódź ziemią obiecaną dla prawdziwych artystów...

Na zakończenie warto przypomnieć, że Ludwik Tyrowicz był też autorem kilkudziesięciu exlibrisów. Dorobkowi artystycznemu w tej dziedzinie poświęciła swoją monografię J. Kilian-Stanisławska („Exlibrisy Ludwika Tyrowicza”, Łódź 1947).

ma turystyki nowoczesnej i turystyki staromodnej, jest albo turystyka dobra albo turystyka zła.

Takim wzorcem ciekawym z wielu względów są wyprawy Orłowicza, który umiejętnie umiał łączyć elementy krajoznawcze z elementami sportowymi.

Szeroko rozstawione, dzięki ich romantyzmowi są tatrzańskie wycieczki dr Tytusa Chałubińskiego, bo z barwną gromadą górali, z muzyką i tańcami przy ognisku. Natomiast mimo, iż osoba dr Mieczysława Orłowicza jest znana w kręgu turystycznym, stosunkowo mało wiadomo o unikalnym charakterze, organizowanych przez niego w ciągu 31 lat wycieczek. A moim zdaniem zasługują one na większą uwagę współczesnych organizatorów turystyki kwalifikowanej, ponieważ dają wzorce bardziej pasujące do naszych czasów, niż wycieczki Chałubińskiego. Na tych ostatnich bowiem inicjatywa wyszukiwania drogi należała do przewodników górala, Orłowicz natomiast samodzielnie prowadził wykazując znakomitą orientację. Ponadto propagował nowy na ówczesne czasy pogląd, że turystyka jest ważną dziedziną gospodarki, co i dziś jest jeszcze niedostatecznie zrozumiane w Polsce. Dowodem tego niefortunna ustawa uchwalona w grudniu 1990 roku przez Sejm, która powołuje jeden Komitet dla Spraw Sportu, Młodzieży i Turystyki. I znowu turystyka będzie uzależniona od działaczy sportowych, którzy jak i dotychczas będą nadawali ton.

Szczególnie ciekawy jest styl wypraw Orłowicza. Otóż ten wręcz pedantyczny w pracy krajoznawczej człowiek, był jednocześnie romantykiem szlaku. Bo czyż nie dla przeżycia przygody przedzierano się przez bezdroża puszczy Karpat Wschodnich, spływano z narażeniem życia huculskimi darabami po wzburzonych wodach Czeremoszu. A ileż noclegów pod gołym niebem albo w niezagospodarowanych stajach pasterskich. Orłowicz tak wspomina nocleg w szałasie pod Gorcem — „jako najmniej wygodny ale za to najbardziej romantyczny, bo w sąsiednim szałasie pokrzykiwali i śpiewali całą noc juhasi dla odstraszenia wilków, których sporo w okolicy”.

Dla organizatorów wycieczek lub rajdów ciekawe będzie prześledzenie całego cyklu organizacyjnego wycieczek Orłowicza, zawsze ściśle przestrzegane.

1) Przed wycieczką opracowywał jej szczegółowy program, a więc komunikacja, noclegi, szlaki turystyczne, zabytki do zwiedzenia, czas trwania, mapy i przewodniki, koszt na osobę, żywność do zabrania.

2) Następnie rozsyłał indywidualne zaproszenia do stałych uczestników, zwłaszcza członków Hnitesa Klubu, wraz z praktycznymi informacjami o kosztach i żywności na drogę.

3) Realizacja programu przebiegała bezwzględnie. Kto nie mógł czy nie chciał iść dalej miał prawo odłączyć się lub dołączyć się w drodze.

4) Obowiązywał regulamin dnia surowo przestrzegany:

- godz. 5.00 — pobudka;
- godz. 6.00 — śniadanie;
- godz. 6.30 — wymarsz;
- godz. 9.00 — drugie śniadanie w uroczym miejscu;
- godz. 11.30 — obiad;
- godz. 20.00 — kolacja w schronisku;
- godz. 21.00 — spać!

Przeciętnie 13 godzin w marszu.

W podchodzeniu na górę z plecakiem obowiązywało następujące tempo: co 15 minut marszu odpoczynek 5 minut, a bez plecaka odpoczynek co 30 minut, w równym terenie lub w dół bez plecaka co 55 minut. Na widokowych szczytach postój 20 minut. Przerwa obiadowa 90 minut, a na drugie śniadanie 30 minut.

O poziomie sportowym tych wypraw świadczą na przykład: w Karpatach Wschodnich w jeden dzień przebyto 32 km i 1500 m wzniesień. W powojennej wycieczce w Sudety przebyto ogółem 508 km i 1100 m wzniesień. Zdarzyło się, że po przebyciu 30 km i pokonaniu 1800 m wzniesień uczestnicy, dobrnąwszy do celu po północy, padli zasypiając bez kolacji.

Wycieczki cechował wysoki poziom towarzyski, albowiem uczestnikami ich była inteligencja pracująca. Najlepiej obrazuje to wierszyk napisany przez Orłowicza:

*„Profesorskie ciało najliczniej się zebrato...  
Mecenasy tylko dwa, ale asy...  
Trzej inżynierowie (fotografowanie im w głowie)...  
Bez biurokracji wycieczka nie miała by racji,  
będzie naczelnik z radcą, aplikant z asesorem...  
Handel, przemysł i finanse mają w górach dobre szanse...*

*Niemowlęta (któż o nich nie pamięta)...  
Goście niespodziewani — mile widziani”.*

Do koleżeńskiej atmosfery przyczyniał się mocno fakt, że skład osobowy wycieczek był latami przeważnie ten sam. Przede wszystkim jednak atmosferę tę stwarzał sam Orłowicz, zawsze pogodny, uśmiechnięty i życzliwy ludziom.

Do stylu wypraw należała również kultura jedzenia i picia. Orłowicz pochodzący z Galicji, wzorującej się na dystyngowanym Wiedniu lubił smacznie zjeść i umiarkowanie wypić. Cenił wino i nieraz na południowej granicy kupowano wina węgierskie, które uroczyście pito, przeważnie na zakończenie wędrówki. Lubiał też piwo i wiśniówkę.

Jedzenie było więc na wyprawach elementem nie tylko koniecznym dla ciała, ale i obyczajowym. W czasie samej wędrówki żyło się

skromnie, ale gdy natrafiono na dobrą restaurację, to chętnie „uczutowano”, czasem nawet z cygańską muzyką. Tak na przykład Orłowicz odnotował w jednym sprawozdaniu — u Kurpiela w Czorsztynie, 18 uczestników jadło rosół i pieczone kury, rydze smażone na maśle, słodczyce, herbatę i wino. Orłowicz był też zagorzałym zwolennikiem czarnej kawy i ciastek.

Na szlaku spożywano jednak przeważnie własne zapasy. Czasem musiał starczyć kubek mleka, woda z sokiem, zebrane leśne jagody. W czasie pięciodniowego uwięzienia przez deszcz w dolinie Sużcy w Gorganach zjedzono najpierw wszystko, co posiadało małe schronisko, na drugi dzień wykończono własne zapasy, na trzeci spożyto kury z sąsiedniej gajówki, a na czwarty i piąty zarżnięto w schronisku barana i to musiało starczyć dla 14 uczestników wycieczki.

Orłowicz sam nie fotografował ale dbał bardzo, aby uczestnicy fotografujący robili obszerną dokumentację fotograficzną każdej wyprawy. Szczególne zasługi położył tu Tadeusz Duhnalik, obecnie członek honorowy PTTK, którego zdjęcia utrwaliły nie tylko osobiste wspomnienia, ale utworzyły całe archiwum, z którego korzystano przy wydawaniu pocztówek, wydawnictw turystycznych, wystaw itp. Zdołał on ocalić w czasie wojny swoje zbiory i niedawno ofiarował je Centrum Fotografii Krajoznawczej PTTK w Łodzi.

Nie wszyscy przewodnicy Górskiej Odznaki Turystyki PTTK (GOT) wiedzą, skąd się wzięła punktacja wycieczek dla zdobycia GOT. Otóż zamiłowany w dokładności Orłowicz pierwszy wprowadził obiektywną miarę trudności pokonywanych w jego wycieczkach górskich i miarę tę nazwał „km wysiłku”. Ich ilość równała się ilości przebytych km plus każde 100 m pokonanych wzniesień. I tak powstała w 1935 roku punktacja do GOT Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Inspiratorem działania był i wiele pracy włożył w koncepcję GOT, Orlo-

wicz, który też był pierwszym przewodniczącym Komisji GOT w PTTK.

Celem zachęcenia do wypraw w mało jeszcze znane Karpaty Wschodnie punktowano je wyżej. Uczestnicy wycieczki Orłowicza w 1935 roku byli pierwszymi zdobywcami GOT.

Sukcesy krajoznawcze i sportowe Orłowicza oraz serdeczną pamięć o nim wśród uczestników tych wycieczek zawdzięczać należy wyjątkowej osobowości ich kierownika. Zasługą jego jest kształtowanie nowego wzorca kulturowego w polskim społeczeństwie mało wdrożonym do turystyki oraz jego olbrzymi dorobek krajoznawczy w postaci artykułów, przewodników i innych materiałów, które stanowiły podkład do działań władz państwowych w dziedzinie turystyki. Orłowicz był bowiem nie tylko zapalonym wędrowcem, ale i zawodowcem, jako pierwszy w Polsce niepodległej urzędnik państwowy do spraw turystyki w Ministerstwie Komunikacji.

Miał też odpowiednie do podjętych licznych zadań, cechy charakteru. Potrafił znakomicie wykorzystać czas, był dobrze zorganizowany, dokładny i systematyczny, miał swoją ideę, której służył przez całe życie.

Ostatnią wycieczkę swojej grupy poprowadził Orłowicz w roku 1959, mając już 78 lat! Przebyto razem ze wzniesieniami 440 km wysiłku. W sprawozdaniu z wycieczki Orłowicz zanotował: „Za dużo zwiedzania i uczucie senności wynikało z tego stale. W przyszłym roku trzeba tempo zwolnić i odpoczynków dawać więcej”. Nie chciał zrozumieć, że takie wysiłki, to nie na ten wiek. W dwa miesiące po wycieczce zmarł — 4 października 1959 r. W zakończeniu sprawozdania napisał: „Wszyscy szliśmy w jednej grupie i mamy wspólne wspomnienia”.

Wspomnienia przetrwały śmierć Orłowicza. Grupa uczestników sierpniowych wycieczek dalej chodzi razem. Tworzą w Warszawie pod przewodnictwem Tadeusza Dohnalika „Hnietessa Klub”.

Przedtem zasięgnięto opinii czyjejs rodziny z Kielc i dowiedziano się, że już można spokojnie tam wędrować, ale są trudności z transportem. Dla wszelkiej pewności uzyskano pis-

mo wojewody z ważnymi pieczęciami, polecające nas władzom bezpieczeństwa w Kielcach.

14 sierpnia zapaleńcy w dziwacznych strojach, z plecakami, z teczkami i wojskowymi rekwizytami z demobilu wpakowali się do brudnych wagonów austriackich, zadymionych i ciemnych, co nam jednak nie odebrało dobrych humorów.

W Kielcach wylądowaliśmy zegnani śpiewami przez współtowarzyszy podróży, którym nasze zachowanie jak najbardziej odpowiadało. Nocleg mieliśmy zabezpieczony w schronisku Czerwonego Krzyża, w którym z braku światła elektrycznego musieliśmy posługiwać się świeczkami.

Pobudka o 5-tej rano w przewidywaniu trudności komunikacyjnych. Wizyta na posterunku milicji z tak ważnymi dokumentami odniosła doskonały skutek. Komendant posterunku zadzwonił do władz transportu i nasza grupa została zabrana do samochodu przed podstawieniem na normalny przystanek. Przy akompaniamencie głośnych protestów, klątw, wiązanek kwiatowo-mięsnych ze strony pasażerów, którym tego dnia nie udało się odjechać, samochód został uzupełniony po brzegi i wyruszyliśmy. Podróż trwająca 1,5 godz. należała do makabrycznych. Temperatura wewnątrz wozu ok. 25°C, okien nie można otworzyć, dzieci płaczą, kobiety bluźnią. Szosa z kocimi łbami a samochód z demobilu. Przy wysiadaniu doszło do rękoczynów, ponieważ czekający chcieli wsiadać a nam trudno było się wydostać.

Nareszcie na świeżym powietrzu przebraliśmy się w lżejsze ubranie i ruszyliśmy. Po 2-ch godzinach doszliśmy do szczytu Łysej Polany i kompleksu zabudowań klasztornych na Świętym Krzyżu. Po drodze witali nas wieśniacy zdążający do kościoła na święto Matki Bożej Zielnej. Piękne były ich stroje, a szczególnie zapaski naramienne w wąskie paski o ciemnych barwach, głównie czerwonej i czarnej. Na postojach byliśmy przedmiotem zainteresowania tamtejszej ludności, a jak się dowiedzieli, że jesteśmy z Łodzi, nie mogli wyjść z podziwu, że przyjechaliśmy aż z tak daleka.

Korzystając z uprzejmości braciszka zakonnego, zwiedziliśmy wnętrze kościoła barokowo-klasycystycznego z ogromnymi, ciekawymi obrazami Smuglewicza. Zostaliśmy oprowadzeni po starszych częściach opactwa z XIV i XV wieku oraz po pomieszczeniach słynnego byłego więźnia, czynnego do 1939 roku. Ciekawostką była informacja, że przebywał tam człowiek skazany na dożywocie, którego ułaskawiono za wykonanie w drzewie ołtarza. Inny więzień o nazwisku S. Piasecki napisał po-

wieść o życiu więziennym pt. „Szlakiem Wielkiej Niedźwiedzicy”, która wydana w 1938 roku stała się bestsellerem. W latach 1941—42 hitlerowcy zamordowali tam głodem ok. 5000 jeńców wojennych.

Po odpoczynku ruszyliśmy dalej. W czasie postoju jeden z kolegów postawił na obrzeżu kamiennej studni otwartą puszkę z proszkiem gaszącym pragnienie, pochodzącym z amerykańskiej pomocy UNRA. Puszka wpadła do studni i proszek zafarbował wodę na fioletowo. Inna koleżanka nie wiedząc o tym wyciągnęła wiadro i zdumiała się. Przybiegł gospodarz i zrobiło się wielkie hallo. Sprawca przyznał się dopiero w drodze powrotnej.

Minęliśmy hutę szkła i weszliśmy na znakowaną ścieżkę wiodącą na Łysicę poprzez Puszcę Jodłową. Uczestnicy wycieczki urzeczeni pięknem otaczającej przyrody, umilkli. Nikt bowiem nie może przejść obojętnie przez puszczańskie odstępki na kamienistych zboczach głównego pasma Łysogór. Poszycie lasu stanowi prawdziwy gąszcz malin, jeżyn i wielkie płaty różnych gatunków bujnych paproci. I wiele innych rzadkich roślin.

Późnym popołudniem zauważyliśmy na horyzoncie podejrzanie, ciemne chmury. Słychać było pomruki zwiastujące burzę. Ponieważ do schroniska we Wzorkach było jeszcze 8 km, kol. Arędzki wysunął się na czoło i nadał tempo marszu, ja zamykałem pochód, poganiając maruderów — amatorów owoców leśnych. Po minięciu kapliczki św. Mikołaja pod Łysicą podziwialiśmy widok z gołoborza. W tempie bardzo przyśpieszonym zeszliśmy do Świętej Katarzyny i około godz. 20-tej rozgościliśmy się w małym drewnianym schronisku PTK we Wzorkach, nie mogąc ruszać kończynami ze zmęczenia.

Sympatyczni gospodarze zakrzętneli się szybko i po chwili na stole postawiono wrzątek, mleko zsiadłe i słodkie. Było gwarno, rozprawiano o wrażeniach dnia. Po posiłku niewiasty rozłokowały się na dole, a mężczyźni na pięterku.

Deszcz padał ulewny a błyskawice co chwile rozświecały naszą izbę. Około godz. 1-szej w nocy obudził nas gospodarz oznajmiając, że lepiej abyśmy się ubrali i zeszli na dół, ponieważ burza z tak silnymi piorunami może spowodować pożar. Po zejściu na parter wchodzimy do izby koleżanek i zastajemy taki oto widok: zastraszone bidulki w koszulinach siedzą na łózkach z zapalonymi świecami i śpią wając „Pod Twoją obronę”. Nad ranem żywioł zaczął się uspakajać i położyliśmy się spać.

O ósmej rano obudził mnie kol. Arędzki z wiadomością że na dworze silna mgła a wo-

TEODOR ZIEGLER

### *Pierwsza powojenna wycieczka Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Góry Świętokrzyskie w 1948 roku*

W drugim roku po wznowieniu działalności Oddziału Łódzkiego PTK piętnastoosobowa grupa pod przewodnictwem piszącego te słowa, wybrała się w Góry Świętokrzyskie.

da pod schroniskiem sięga do kolan. Rada w radę ustalamy, że z dalszej wycieczki nici i po śniadaniu gospodarz odprowadził nas do szosy. Około godz. 13-tej dobrnęliśmy przygodnym

wozem do Kielc. Po zwiedzeniu zabytków wróciliśmy do Łodzi.

Tę wspominkę poświęcam tym, którzy razem ze mną wspólnie przeżywali piękne chwile na Ziemi Kieleckiej.

STANISŁAW BULKIEWICZ

## Jeszcze o bonach z Sulejowa

Pisząc w „Wędrowniku”<sup>1)</sup> o super rzadkich nieznanych dotąd papierowych bonach z Sulejowa — M. Rozenbluma, właścicielka sklepu spożywczego i Stowarzyszenia Spożywczego „JUTRZENKA”, pozwoliłem sobie na umieszczenie następującego akapitu: „... Moja pospieszna i niepełna kwerenda zarówno w dostępnych mi muzeach, jak i bibliotekach doprowadziła do konkluzji, że do tej pory bony Sulejowa nie były znane. Być może, znajdują się jeszcze głęboko schowane w przepastnych zbiorach muzealnych, czy też kolekcjach prywatnych i czekają na swego odkrywcę. Może właśnie moja notatka przyczyni się do ich odnalezienia...”

Jakaż więc była moja radość kiedy na ten odzew skontaktował się ze mną znany war-

szawski kolekcjoner p. Andrzej Podczaski<sup>2)</sup> informując mnie, że posiada serię niewydanych (niewypełnionych) bonów papierowych Stow. Spoż. „Jutrzenka” z Sulejowa o nominałach: 10, 15, 25, 30 i 40 kopiejek.

Równoległe i moje prowadzone w tym kierunku badania dopomogły do odnalezienia w Zapiskach Numizmatycznych<sup>3)</sup> małej wzmianki, że w Sulejowie Stow. Spoż. „Jutrzenka” wydało serię bonów, bez daty, o nominałach: 25, 30 i 50 kopiejek. Ponieważ jest to ta sama seria znana mi od p. Podczaskiego, a niektóre nominały z niej dublują się, podczas gdy innych brak — dlatego też po porównaniu możemy ostatecznie ustalić, że seria ta składała się z następujących wartości: 10, 15, 25, 30, 40



BON STOWARZYSZENIA SPOŻ. „JUTRZENKA” W SULEJOWIE Z I WOJNY ŚWIATOWEJ fot. B. Szafrńska



BON STOWARZYSZENIA SPOŻ. „JUTRZENKA” W SULEJOWIE Z I WOJNY ŚWIATOWEJ fot. B. Szafrńska

i 50 kopiejek. Być może nawet, że były też i inne jeszcze nominały, szczególnie o mniejszej wartości np.: 1, 3 oraz 5 kopiejek.

A oto ich opis (bez nominału 50 kop., którego nie widziałem): Stowarzyszenie Spożywcze „Jutrzenka” w Sulejowie. Bez daty, kwit jednostronny. W prostokątnej, falistej ramce, z małymi kwadracikami w rogach, czarne napisy i cyfry w siedmiu wierszach, jednakowe dla wszystkich nominałów:

KWIT NA... KOP. (Stow. Spoż. „Jutrzenka” w Sulejowie) wypłaci okazicielowi niniejszego (kop. ...) Członkowie Zarządu i Nr (1 ... 2 ...) Kasjer ...). Nominały i napisy w ozdobnikach (przy kopiejkach w miejsce kropek podstawione są odpowiednie nominały). Papier cienki, przezroczysty, podobny do pergaminu, bez znaków wodnych, w kolorze kremowym. Poddruk w nominałach 10 i 15 kop. — niebieski, w pozostałych nominałach — brązowy. Druk we wszystkich nominałach — czarny. Bony ręcznie cięte z arkusza, o jednakowych wymiarach ramki: 74×38 mm, z niewielkimi odchyłkami marginesów, przeciętne wymiary: ca 89×47 mm. W lewym dolnym rogu bonu mała liczba 9240, we wszystkich nominałach — w kolorze poddruku. Czyżby numer zamówienia? Dodatkowo tylko na nominale 30 kop. — odbity numeratorem w czarnym kolorze, trzy cyfrowy numer: 401, w innych nominałach puste miejsca. Poza tym na wszystkich bonach znajduje się nieduża pieczęć kauczukowa, koloru fioletowego, o  $\phi$  ca 18 mm z częściowo

rozszyfrowanym napisem: DOBRZAŃSKI PIOTRKÓW. Moje dalsze badania wykazały, że Tadeusz Dobrzański figuruje w Księdze Adresowej Polski z lat 1926/27<sup>4)</sup> jako właściciel drukarni w Piotrkowie przy ul. Kaliskiej 9. A więc zostało udowodnione moje przypuszczenie co do druku bonów sulejowskich, o których napisałem w „Wędrowniku” Nr IV/316/88: „... możemy domyślać się, że bony te były drukowane... być może w pobliskim Piotrkowie Trybunalskim, gdzie egzystowało kilka drukarni i zakładów graficznych...”. Wynika z tego, że odnaleziona seria niewydanych bonów sulejowskich pochodzi z archiwum drukarni p. Tadeusza Dobrzańskiego, właściciela drukarni w Piotrkowie, stąd też egz. niewydane i tam też była głęboko ukryta przez tyle lat, dopiero teraz wychodząc na światło dzienne ku ucieście kolekcjonerów — bonistów i profesjonalnych numizmatyków. W związku z tą pieczęcią nasuwa się tu jeszcze mała uwaga. Chociaż pieczęć ta jest mało czytelna, z dużą dozą prawdopodobieństwa można odczytać, że literka imienia znajdująca się tam przy nazwisku, to litera „H”. Czyli bony te pochodzące z czasów I wojny światowej były drukowane z pewnością przez ojca p. T. Dobrzańskiego, który dopiero po wojnie przejął tę drukarnię. Skoro mamy więc odcyfrowaną otokową legendę pieczętki: H. DOBRZAŃSKI — PIOTRKÓW, to możemy zaryzykować hipotezę, że znajdujący się w niej poziomy wyraz to: „Drukarnia” i wtedy wszystko ma logiczną całość.



BON STOWARZYSZENIA SPOŻ. „JUTRZENKA” W SULEJOWIE Z I WOJNY ŚWIATOWEJ

fol. B. Szafrńska



BON STOWARZYSZENIA SPOŻ. „JUTRZENKA” W SULEJOWIE Z I WOJNY ŚWIATOWEJ

fol. B. Szafrńska

Reasumując wydaje mi się, że opisana dzisiaj seria bonów sulejowskich z okresu I wojny światowej, jest późniejszą od pokazywanej poprzednio — tegoż samego Stow. Spół. „Jutrzenka”. Wskazuje na to wiele istotnych szczegółów: papier, poddruki, sam druk itp. Bony są staranniejsze, ładniejsze, i mają cechy nowo-

czesności w stosunku do I wydanej serii tegoż towarzystwa.

Warto jeszcze dodać, że jak wynika z cytowanej już Księgi Adresowej Polski z lat 1926/27, w tym czasie Stow. Spół. „Jutrzenka” już nie było. Stowarzyszenie Spożywcze posiadało wtedy nową spółdzielnię o nazwie „Sulejowia-

nin”, oprócz niej były jeszcze: Spółdz. Stow. Wytw. Handlowe „Pomoc” i kooperatywa „Jedność” Robotniczej Spół. Spoż. Oddział III.

Na koniec wyjaśnienie, artykuł ten jest kontynuacją mego poprzedniego artykułu w „Wędrowniku” o nieznanach bonach papierowych z Sulejowa i dlatego aby się nie powtarzać, dane o samym Sulejowie, o tym co to są bony i kto je i po co wydawał, znajdzie czytelnik w Nr IV/316/88.

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

## Ze Strykowa przez Dobrą do Imielnika Satrego

Trasa biegnie odcinkiem starego — nie istniejącego, turystycznego szlaku pieszego, który był wyznaczony i oznakowany kolorem czerwonym w 1976 roku. Szlak ten prowadził od Strykowa, przez Dobrą, Moskule Nowe, Modrzew i dalej łączył się z czerwonym szlakiem prowadzącym przez las łagiewnicki.

Przebieg tej trasy został opracowany „ku pamięci”, ze względu na poznanie ciekawego terenu turystycznego leżącego w strefie krawędziowej Wzniesień Łódzkich oraz Dobrej — wsi związanej z powstaniem 1863 roku.

Przebieg trasy wynoszącej około 13 km jest następujący:

Stryków Brzeziński, PKP — Stryków — Sosnowiec Pieński — Młynek — Dobra, PKS — Dobra Nowiny — skraj Moskule Nowe — Imielnik Stary, autobus 60.

### STRYKÓW

Miasto położone na prawym brzegu Moszczownicy, która na tym odcinku stanowi granicę krajobrazową; równiną na północy i na południe silnie pofałdowaną, o widocznych różnicach wysokości — strefa krawędziowa Wzniesień Łódzkich.

Pierwsza wzmianka o Strykowie pochodzi z 1387 roku. Prawa miejskie otrzymał w 1394 roku. Jego założycielami i przez długie lata właścicielami, była rodzina Strykowski, którzy posiadali w XIV—XV wieku rozległe dobra w ziemi brzezińskiej. Miasto znane było

### Przypisy:

- 1) Stanisław Bulkiewicz — „Nieznane bony papierowe z Sulejowa”, „Wędrownik” Nr IV/316/88, str. 25—27.
- 2) któremu na tym miejscu za dostarczone informacje serdecznie dziękuję.
- 3) T. S. (Tadeusz Solski) — „Inwentaryzacja”, „Zapiski Numizmatyczne” (Lwowskie) Nr 1, styczeń—marzec 1928 r., str. 4—6.
- 4) Księga Adresowa Polski 1926/27, Tow. Reklamy Międzynarodowej Warszawa, str. 383 i 387.

z rzemiosła — także z wyrobów sukienniczych. Po zniszczeniach w czasie najazdu szwedzkiego Stryków odradza się dopiero w końcu wieku XVIII, dzięki rozwojowi produkcji tekstylnej. Pierwsza manufaktura powstała w 1790 roku — właścicielem miasta był wtedy Feliks Czarniecki; zwolennik reform gospodarczych epoki Oświecenia. Ze Strykowa pochodzili znani w XVI w. na polu piśmiennictwa: pierwszy drukarz polskiego pochodzenia Łazarz Andryśowicz, założyciel słynnej oficyny Łazarzowej w Krakowie oraz kronikarz Maciej Strykowski. W 1923 roku Stryków otrzymał ponownie prawa miejskie.

Neobarokowy kościół p.w. św. Marcina, został zbudowany w latach 1912—25; zachował wiele elementów z wyposażenia dawnego XVII-wiecznego kościoła.

Na miejscowym cmentarzu znajdują się zbiorowe mogiły: 17 żołnierzy Armii „Łódź” poległych we wrześniu 1939 roku, 186 żołnierzy rosyjskich i 93 żołnierzy niemieckich z I wojny światowej oraz pomnik z napisem: „Bohaterom powstania styczniowego w setną rocznicę — Młodzież Strykowa”.

Przy budynku „Pod Jeleniem”, w którym mieści się szkoła, znajduje się pomnik symbolizujący dwie zamknięte książki i jedną otwartą — wystawiony sławnym strykowianom przez rzemieślników Strykowa w 1979 roku. Napisy na pomniku:

Dersław Tłuk  
prawa miejskie 1394

Tulk de Stryków  
 Pakt Brzeski 1496  
 Łazarz Andrysowicz  
 zm. 1547 historyk i poeta  
 Mateusz Szymański  
 powstaniec 1863  
 Paweł Radziszewski  
 1890—1931 mineralog

#### PRZEBIEG TRASY

Od stacji kolejowej S t r y k ó w B r z e z i ń s k i, na linii kolejowej Łódź — Łowicz, kierujemy się na prawo ulicami Batorego, Reymonta, Kolejową, Kościuszki do placu Łukasińskiego, przy którym stoi kościół i obok przystanek PKS. Tutaj skręcamy w prawo na szosę E 12 w kierunku Łodzi. Po lewej mijamy restaurację „Nad Zalewem”, zbudowaną na miejscu wyburzonej karczmy. Dalej mijamy zalew na Moszczenicy i kościół marjawicki. Przy kościele rosną dwa piękne modrzewie. Za kościołem skręcamy w lewo w ulicę Legionów. Po lewej rozciąga się dolina Moszczenicy z wysokim przeciwległym brzegiem. Dochodzimy do cmentarza po prawej — tutaj kończy się asfalt ulicy Legionów i zaczyna się polna droga, która biegnie krawędzią doliny rzeki. W dalszym swym biegu droga skręca w prawo i prowadzi dalej wśród rozległych pól i niezamieszkałego terenu. Następnie droga zaczyna wznosić się w terenie, by doprowadzić do zabudowań wsi Sosnowiec Pieńki i triangulu po prawej. Stąd rozciąga się widok na wzgórze Dąbrowa koło Nowosolnej i krawędź Wzniesień Łódzkich. Droga zaczyna opadać — osiągamy dolinę dopływu Moszczenicy, który płynie tutaj wśród wysokich drzew. Spotykamy się z tą rzeczką w Dobrej. Po przecięciu rzeczki — po chwili — dochodzimy do poprzecznej, polnej drogi. Skręcamy na nią w prawo w kierunku tego samego dopływu Moszczenicy. Przed strugą droga skręca w lewo. Po prawej, przy skrócie drogi, rośnie okazały dąb o obwodzie 2,7 m (mierzony w 1989 r.). Po skrócie drogi idziemy dalej wzdłuż rzeczki. Mijamy miejsce, w którym w prawo odchodzi droga na drugą stronę rzeczki. Droga, którą idziemy, w dalszym swym biegu skręca w lewo — my idziemy dalej z biegiem rzeczki do następnego skrótu drogi w lewo. Skręcamy na tą drogę i po chwili spotykamy ścieżkę, która w prawo prowadzi krawędzią doliny rzeczki. Z tego miejsca, po prawej za rzeczką, widoczny jest staw. Następny odcinek trasy prowadzi ścieżką, biegnącą nad rzeczką, do szosy E 12, na którą

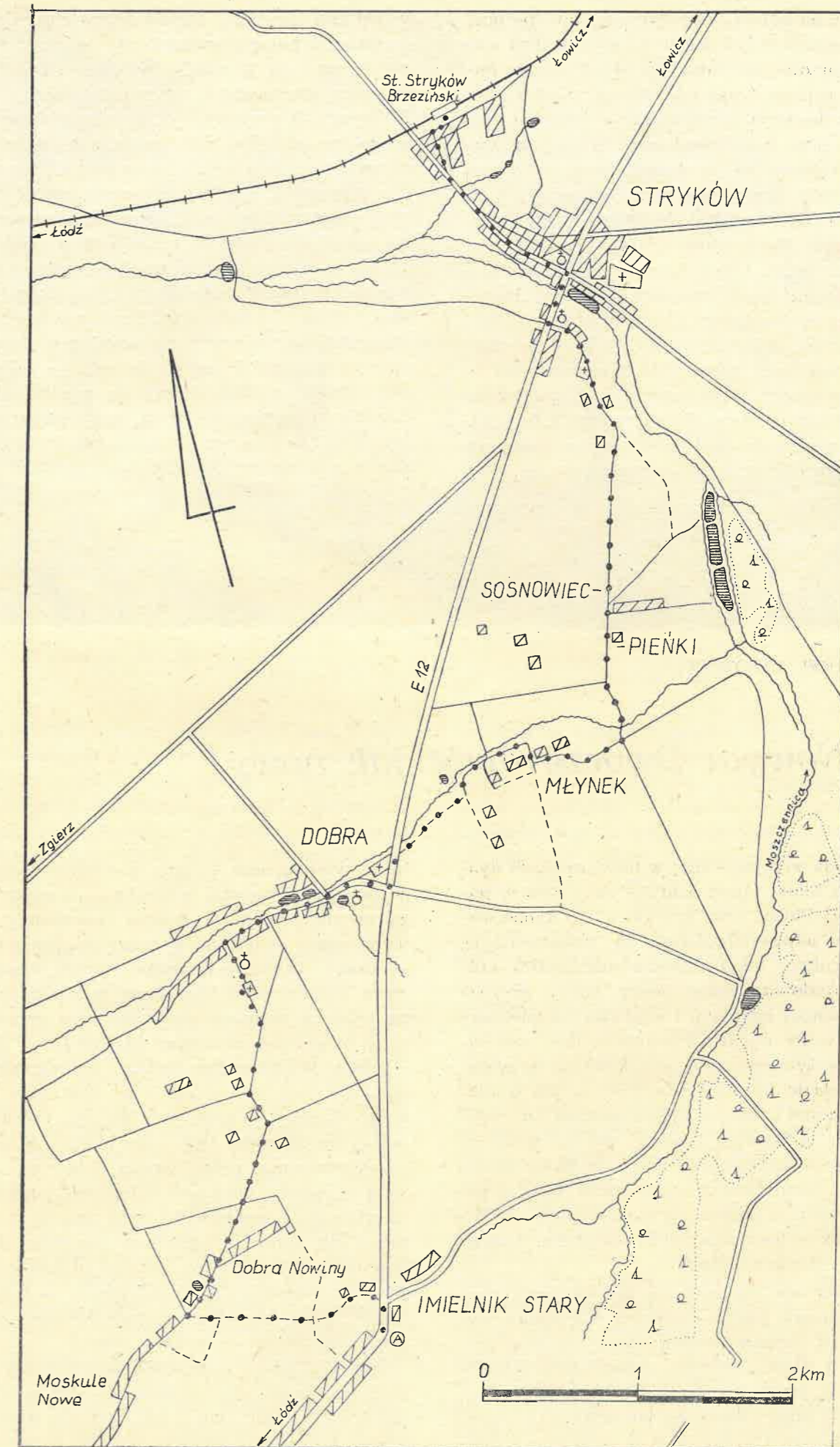
skręcamy w lewo. Docieramy do przystanku PKS i asfaltowej drogi odchodzącej w prawo z drogowiskiem „Dobra 1”.

#### DOBRA

Wieś znana od 1386 roku. Przez wieś przepływa rzeczka — dopływ Moszczenicy, zasilająca dwa stawy. Kościół p.w. św. Jana Chrzciciela i św. Doroty pochodzi z przelomu XIX i XX wieku, na miejscu starego, drewnianego, jednonawowego, fundowanego w 1514 roku przez Jana i Dorotę Dobrskich. Kościół drewniany przebudowano i rozbudowano na obecny mury. Na wewnętrznej ścianie kościoła umieszczona jest tablica z napisem: „Bohaterom poległym pod Dobrą 24.II.1863 r. oraz w Dobieszkowie 25.IX.1863 r. w setną rocznicę powstania styczniowego. Parafianie”. Obok kościoła rośnie piękna lipa o obwodzie 4,7 m (mierzona 1989 r.). Na miejscowym cmentarzu znajduje się zbiorowa mogiła powstańców 1863 roku, poległych w okolicy tej wsi. Spoczywa tu 68 powstańców 1863 roku, poległych w okolicy tej wsi. Spoczywa tu 68 powstańców w tym 16 ułanów poległych na grobli w Dobieszkowie — tak podaje napis na tablicy umieszczonej w kościele. W hołdzie poległym wzniesiono w 1933 roku — w 70 rocznicę powstania styczniowego — pomnik, obelisk, zwieńczony orłem z napisem: „Niewolnym bohaterom 1863 roku wolni rodacy 1933 roku”. Pomnik szczęśliwie przetrwał okres okupacji niemieckiej. W dniu 24 lutego 1863 roku w lasach pod Dobrą, partia łączycy pod wodzą doktora Józefa Dworzaczka — lekarza szpitala św. Mikołaja z Łęczycy — i Józefa Sawickiego, stoczyła bitwę z wojskami carskimi. Była to najkrwawsza bitwa powstania styczniowego na ziemiach Polski środkowej. Na polu bitwy pozostało blisko 70 zabitych powstańców, a drugie tyle odniosło rany. Wśród poległych znalazła się młoda kobieta — Maria Piotrowiczowa oraz jej mąż Konstanty Piotrowicz — nauczyciel z ówczesnej podlódzkiej wsi Chocianowic. Małżeństwo zostało pochowane w Łodzi. Na Starym Cmentarzu Katolickim przy ul. Ogrodowej znajduje się ich grób — obecnie zabytek. Na pomniku wyryto napis: „Konstanty i Maria z Rogońskich Piotrowiczowie polegli śmiercią Polaka w boju pod Dobrą w lutym 1863 roku. Chwała zwyciężonym!”.

#### DALSZY PRZEBIEG TRASY

Następny odcinek trasy prowadzi przez wieś Dobra. Mijamy kolejno: kościół po lewej,



TRASA DLA CIEBIE

rys. Z. Parafianowicz

cmentarz po prawej, za kościołem staw, po prawej „Bar nad strumykiem”, a za nim dwa stawy utworzone na dopływie Moszczenicy. Następnie mijamy drogę odchodzącą w lewo i docieramy do drogi prowadzącej w lewo do kościoła — przy kasztanowcach i krzyżu po prawej. Skręcamy na tą drogę, która po jednej stronie jest wysadzana kasztanowcami i lipami. Po lewej mijamy budynek starokatolickiej parafii Mariawitów i osiągamy kościół na małym wzgórzu. Obchodzimy go z prawej strony i zbliżamy się do cmentarnej bramy. Obchodzimy mur cmentarny z prawej strony i dalej pełną drogą dochodzimy do skośnej szerokiej drogi, biegnącej przez pole. Skręcamy na tą drogę w prawo. Przy rozwidleniu dróg skręcamy w lewo, zostawiając po prawej kilka działek. Po przebyciu około 300 metrów następuje nowe rozwidlenie. Skręcamy w prawo na drogę

wysadzaną akacjami (grochodrzewiem). Droga zaczyna stopniowo wznosić się w terenie — znajdujemy się w strefie Wzniesień Łódzkich. Osiągamy wzniesienie z zabudowaniami wsi Dobra Nowiny. Dalej droga zaczyna opadać w terenie — dochodzimy do stawu po prawej i skraju wsi Moskule Nowe. Przed krzyżem z 1931 roku skręcamy z wiejskiej drogi w lewo na ścieżkę odchodzącą skośnie od drogi. Ścieżka biegnie dalej skrajem małego lasu, następnie wzdłuż grupy dębów sprowadza do pięknej doliny, której dnem prowadzi droga. Idziemy wśród rozciągających się wzniesień — wyższych po lewej porośniętych małymi laskami i łagodniejszych — po prawej. Drogą tą dochodzimy do szosy Łódź — Stryków i asfaltowej drogi, przy której leży Imielnik Stary. Tutaj znajduje się przystanek autobusowy linii 60.

ZBIGNIEW LIPOWSKI

## W Nowym Dworze dwór jak nowy!

W co rusz podejmowanej w mass-mediach dyskusji na temat stanu ochrony zabytków w powojennej Polsce oraz krytyki służb konserwatorskich odpowiedzialnych za dokumentację, rekonstrukcję i konserwację dziedzictwa kultury narodowej, jakże cieszy każdy przypadek rozumnej adaptacji i właściwej eksploatacji zabytkowego obiektu. Pomimo ogólnie złej sytuacji w tym zakresie, chwalebnych przykładów znalazło by się sporo, choć — jak wiadomo — są one kroplą w morzu potrzeb. Ot, choćby dwór w Nowym Dworze, wsi na trasie ze Skierniewic przez Starą Rawę do Rawy Mazowieckiej, usytuowany malowniczo wraz z pobliską wsią w dolinie Rawki nieopodal sadów i poletek doświadczalnych Instytutu Sadownictwa i Kwiaciarstwa.

Nazwa wsi pochodzi od murowanego, okazałego dworu jaki w I ćwierci XX wieku wystawił na terenie swoich włości dziedzic nazwiska i części fortuny ziemiańskiej rodziny Okęckich, przybyłej w okolicy Białej Rawskiej, Babska i Starej Rawy na początku XIX stulecia — Stefan Okęcki. Był on jedynym i osta-

tnim właścicielem klucza nowodworskiego a gospodarował na nim wzorowo — o czym mogą zaświadczyć liczni jeszcze mieszkańcy wsi, pamiętający — nie tak w końcu odległe jeszcze — czasy. Także w przedwojennych czasopiśmie fachowych i literaturze specjalistycznej za jeden z najlepiej prowadzonych mazowieckich folwarków uznawano właśnie Nowy Dwór i Babsk. Właścicielami Babska byli Glinkowie (spokrewnieni z Okęckimi) do 1945 roku. Mikołaj Glinka — rotmistrz Wojska Polskiego, poległ we wrześniu 1939 roku w obronie Grodna zajmowanego przez wojska radzieckie. Jego żona — Anna z Okęckich Glinczyńska, pozbawiona majątku i środków do życia zmarła w 1946 roku. Ich skromne epitafium znajduje się w kościele parafialnym w Babsku ufundowanym przez Mariannę i Józefa Okęckich — realizujących fundację biskupa poznańskiego Antoniego Okęckiego — w 1811 roku.

Stefan Okęcki — dziedzic nowodworski, nie czuł się ponoć zbyt dobrze w wystawionym nieco na wyrost domu, był bowiem samotnikiem i nie założył własnej rodziny, przeważnie



DWÓR W NOWYM DWORZE

fol. Sł. Burzyński

zamieszkiwał w skromnym domku obok dworu wybudowanym równolegle z całym szeregiem obiektów gospodarskich, takich jak obory, stajnie, chlewnie, spichlerze czy stodoły. Niebawem jednak zleca jednemu z bardziej cenionych wówczas architektów zieleni — profesorowi Wyższej Szkoły Ogrodniczej w Warszawie — Stefanowi Celichowskiemu, zaprojektowanie i założenie parku. Projekt powstał już w 1926 roku i niebawem zaczął być realizowany. Celichowski — znany wśród mazowieckiego ziemiaństwa z udanych realizacji w Dębowej Górze, Żelaznej oraz przebudowy parku dworskiego w Strobowie, jako zasadniczy element rozwiązania przestrzennego w Nowym Dworze używa naturalny układ terenu na skarpie rzecznej tworząc reprezentacyjny ogród w stylu angielskim. Do parkowej kompozycji wykorzystuje też wiele już tam wcześniej istniejących drzew i krzewów (będących pozostałością roślinności puszczańskiej) przed piętrową bryłą dworu zostawiając sporo pustej przestrzeni ograniczonej jedynie łukiem alei lipowej, tak, by budynek posiadał właściwą ekspozycję i by docierało do niego jak najdłużej światło dnia.

Zarówno dwór jak i park podzieliły los wielu tego typu obiektów w Polsce. Nietknięty w czasie II wojny światowej, niebawem przejęty na rzecz Skarbu Państwa, rozkradzony i za-

siedlony w sposób bezmyślny, stał się domem mieszkalnym szeregu przypadkowych rodzin, przeważnie pracowników, utworzonego tu na bazie gospodarczej folwarku — Państwowego Gospodarstwa Rolnego. Także park, pozbawiony fachowej opieki i konserwacji, częściowo rozparcelowany i zabudowany w bezmyślny sposób, w szybkim tempie ulegał dewastacji. Niebawem dwór i park wykorzystany był jako obiekt szkolny a po wybudowaniu nowego gmachu szkoły mieścił m.in. Klub Prasy i Książki „Ruch”, który to użytkownik dopełnił dzieła zniszczenia. Niepotrzebną już miejscowym administratorom ruinę przejmuje w latach 80-tych Instytut Sadownictwa i Kwiaciarstwa ze Skierniewic, mający już pewną rutynę w zagospodarowywaniu zdewastowanych i niechcianych przez nikogo obiektów. Jest on bowiem od kilku lat w posiadaniu na terenie miasta zabytkowej willi — ogniś własności wybitnego architekta polskiego klasycyzmu oraz czołowego twórcy i propagatora neogotyku — Adama Idźkowskiego, nazywanej potocznie „pałacykiem myśliwskim” zapewne od położenia w pobliżu cesarskiego zwierzyńca. Trzeba bowiem pamiętać, że dom petersburski posiadał w Skierniewicach aż do końca I wojny światowej swoją reprezentacyjną siedzibę słynną zarówno ze spotkań o znaczeniu politycznym jak

i sukcesów łowieckich. Instytut — który nota bene — zawiadnął sporym kawałkiem parku miejscowego i przekształcił go w swoje poletka doświadczalne, remont budynku dworskiego w Nowym Dworze zlecił polonijnej firmie „Jugopol” która roboty budowlane oraz wystrój wnętrz ukończyła jesienią 1989 roku. Od tego czasu dwór wygląda jak nowy i tylko resztki parku przypominają przebyłą tu gehennę. Istniał, a może istnieje nadal projekt rekonstrukcji zieleni — przynajmniej w najbliższym otoczeniu, nie da się bowiem, tak jak na przykład na terenie dawnego folwarku w Ossie (niedaleko Babska) odtworzyć całości. Byłoby to z pewnością z pożytkiem dla miejscowości, która z powodzeniem może pełnić funkcję atrakcyjnej wsi letniskowej, jednak obecna sytuacja ekonomiczna Instytutu nie pozwala już na tak kosztowne inwestycje. Ponadto nie wykluczone, czy na przykład wzorem choćby Kruszyny koło Radomska nie odnajdą się prawowici spadkobiercy i nie upomną o swoją własność... Co wtedy? Póki co — ze względu na uznanie zarówno budynków jak i otoczenia, a więc całego zespołu urbanistycznego — za typowy przykład architektury wzorcowego gospodarstwa ziemiańskiego z początków naszego stulecia i wpisania go do rejestru zabytków, dwór w Nowym Dworze podlega już dziś ochronie prawnej i nadzorowi konserwatorskiemu.

Zwiedzającym wieś i okolice turystom warto też polecić pobliski Radusz, gdzie od 1834 do 1879 roku mieszkała Konstancja Gładkowska — zamężna Grabowska, „młodzieńcze natchnienie Fryderyka Chopina” — jak głosi inskrypcja na jej grobie w Babsku. W Raduczu przyszedł na świat jej córki Zofia i Maria wydane za mąż za braci stryjecznych Antoniego i Zygmunta Karpińskich — pochodzących z Wielkiego Księstwa Poznańskiego a zatrudnionych jako zarządcy w dobrach Okęckich. Ślady ich działalności handlowej prowadzą aż do Symferopola na Krymie gdzie pochowana jest Zofia z Grabowskich Karpińska. Także w Raduczu przyszedł na świat w 1870 roku wnuk Konstancji — Stanisław Karpiński, przyszedł bankowiec i ekonomista, minister skarbu w gabinecie Ignacego Paderewskiego senator z województwa łódzkiego, wreszcie prezes Banku Polskiego w okresie międzywojennym. Jego podpisy widnieją na ówczesnych banknotach, na banknocie zaś 100 złotych umieścił on jeden z dębów babskich — jako symbol siły i długowieczności. Zadziwiające, że nic na ten temat nie można dowiedzieć się w Muzeum Okręgowym w Rawie Mazowieckiej szczytującym się okazałą kolekcją numizmatów. Muzeum to „przespało” także obchodzoną w ubie-

głym roku setną rocznicę śmierci Gładkowskiej po której pamięć pielęgnuje jedynie Towarzystwo Przyjaciół Skierniewic i kilka osób z Łodzi bliżej zainteresowanych tym tematem. Tymczasem patronat nad grobem „narzeczonej Chopina” — jak o Konstancji powiadano (i co powtarzają niektórzy nierzetelni biografowie) przejmuje szkoła podstawowa w Babsku zainspirowana tegorocznymi obchodami 180 rocznicy urodzin romantycznej „muzy” naszego genialnego kompozytora i wielkiego Polaka, którą to rocznicę uświęcił recital wokalny światowej sławy śpiewaczki — Stefanii Woytowicz w kościele św. Jakuba w Skierniewicach. Niestety w przeciwieństwie do Wołuczy — miejsca narodzin Marii Grzegorzewskiej, twórczyni polskiej pedagogiki społecznej — gdzie wystawiono skromniutki obelisk, Raducz o Konstancji i Nowy Dwór o Okęckim nie posiadają życzliwej pamięci. Czyżbyśmy w Polsce mieli aż tak wiele pamiątek po wielkich Polakach lub choćby przykładowych obywatelach? Niewielu ludzi z Raduczu pamięta gdzie stał modrzewiowy dwór Grabowskich a są tacy, którzy twierdzą, że dziedzie Okęcki odważył się ponoć kilkanaście lat temu zobaczyć swój dom, przybył jednak dla niepoznaki z pielgrzymką udającą się do Częstochowy. Rozpoznano go gdy przyklęknął przy bramie do parku i... zapłakał!

Przez Nowy Dwór przechodzi znakowany szlak żółty którym można po około dwu godzinach spaceru dojść do rezerwatu nieopodal Babska a potem do samej miejscowości. Tutaj obok zabytkowego zespołu dworskiego (wspomnianego w wielu leksykonach jako przykład klasycznej kompozycji przestrzennej z XIX stulecia) znajduje się niewielkie kąpielisko, restauracja i przystanek autobusuowy skąd dogodnie połączenia ze Skierniewicami, Żyrardowem, Rawą Mazowiecką, Warszawą i Łodzią. Jednodniową marszrutę wspomnianą już Ossy (gdzie resztki parku podworskiego stanowią interesujący rezerwat przyrody) a stamtąd do Białej Rawskiej, skąd autobusy i kolejka wąskotorowa którą można dotrzeć do Rogowa k/Koluszek. W Białej Rawskiej — niewielkim miasteczku, dawnej siedzibie kasztelanii — warto zajrzeć na zabytkowy cmentarz gdzie powtarzają się nazwiska Sułowskich, Okęckich, Morawskich czy Rębowskich — byłych powstańców, ziemian, żołnierzy Wojska Polskiego, rzemieślników, kupców i obywateli przekształcających przez stulecia dawne rubieże Rzeczypospolitej w centralny fragment naszego dzisiejszego państwa.

## Kościół Świętego Ducha w Łęczycy

Zapomniano już zupełnie o nieistniejącej od dawna innej świątyni łęczycyckiej. Ten niewielki — zbudowany w 1521 roku — drewniany kościółek pod wezwaniem Świętego Ducha znajdował się poza murami średniowiecznego miasta Łęczycy na tak zwanym Przedmieściu Krakowskim, co zgodne jest z lokalizacją kościołów pod tym wezwaniem w innych miastach.

Niewiele też niestety zachowało się o nim wiadomości. W księgach grodu łęczycyckiego z 1396 roku znajdujemy wzmiankę o kościele Świętego Krzyża na starym mieście, ale więcej danych o nim nie ma. Wiadomo jedynie, że przy kościele istniał szpital przeznaczony dla uboższych mieszczan.

Według księgi nadań Jana Łaskiego („Liber Beneficiorum Joanni a Lasco”), wiadomo, że jedyne uposażenie kościoła stanowiło 17 ogrodów, a kapłan stały za zgodą proboszcza łęczycyckiego administrował udzielaniem Świętych Sakramentów.

Wkrótce po swoim powstaniu, kościół znalazł się pod opieką królewską. I tak w lustracji dochodów starostwa łęczycyckiego z roku 1569 można znaleźć wzmiankę, że z dwóch włók folwarku Ostoją, należącego do tego starostwa nie odprowadzano dochodu do zamku królewskiego, ponieważ zobowiązano się dostarczać do szpitala pod wezwaniem Świętego Ducha corocznie: 2 korce żyta, 4 korce jęczmienia, 2 korce grochu oraz 2 korce jagieł.

Wraz z rozwojem instytucji dobroczynnych, zgodnie z ówczesnymi zwyczajami, opiekę nad chorymi powierzano na ogół duchowieństwu zwanemu duchakami. Byli to przeważnie kanonicy de Saxia lub Lateraneńscy, którzy po raz pierwszy sprowadzeni do Krakowa za czasów panowania Leszka Białego (żyjącego od roku około 1188 do roku 1227), przyjęli na

siebie obowiązek opieki nad chorymi i cierpiącymi, a także zajęli się wychowaniem podrzutek. Osiedliwszy się przy kościołach Świętego Ducha, od nich przyjęli przezwisko Duchaków, rozciągając tę nazwę na najdawniejsze w kraju szpitale.

Uposażenie kościoła Świętego Ducha w Łęczycy zwiększyło na skutek darowizn od osób pobożnych. W lustracji starostwa łęczycyckiego z 1765 roku znalazła się wzmianka, że proboszcz tego kościoła „na przedmieściu dzierży folwark, ogród, tudzież na Waleszewie drugi ogród”, w mieście natomiast lustratorzy zanotowali: „rola składowa do kościółka św. Ducha, który jest na przedmieściu, przy niej proboszcz ma plac z domostwem i ogród i propinacją w tym domu”, a dalej istnieje wzmianka: „rola do Ducha św., składow 30 i stay 15”. Stopniowo jednak, wraz z powiększaniem się majątku, duchowieństwo coraz mniej zajmowało się niesieniem pomocy chorym.

Zesłana do Łęczycy w 1787 roku komisja „Boni Ordinis” zanotowała w swoim sprawozdaniu wzmiankę o całkowitym opuszczeniu tak potrzebnego i pożytecznego zakładu: „Jest proboszcz i szpital, ale w nim żaden nie mieści się podupały obywatel, taki właśnie, który nie ma sposobności siebie ani potomstwa swego wyżywić, lepiej nierównomiernie byłoby, żeby zwierzchność duchowna na takowym funduszu albo dwóch Bonifratrów albo dwie panny Miłosierdzia osadziła” (Raport Świętozreckiego).

Stopniowo i kościółek Świętego Ducha zaczął podupadać i w roku 1825, liczący ponad 300 lat obiekt został rozebrany. Szpital natomiast, zgodnie z zamiarem pierwotnych fundatorów, został zamieniony na ochronę dla starców i kalek służąc potrzebującym jeszcze w początkach XX wieku.

## Dawny kościół i klasztor dominikanów w Łęczycy

Do mniej znanych zabytków architektonicznych wytyczających granice średniowiecznego miasta Łęczycy należy położony w jej północno-wschodnim narożniku dawny klasztor i kościół dominikanów. Pozostałe punkty wyznaczające obszar średniowiecznej Łęczycy stanowi zamek królewski położony w południowo-wschodnim narożniku, dawny klasztor norbertanek zbudowany na murach miejskich w narożniku południowo-zachodnim, linia plant (obecnie Aleje 1 Maja) założonych na fosach od zachodniej strony oraz leżący już poza murami miasta od strony północnej klasztor bernardynów i szpital.

Zakon Dominikanów założony został przed 1215 rokiem w Prouille koło Tuluzy przez Dominika Guzmana żyjącego w latach około 1170—1221, kanonizowanego w 1234 — kaznodzieję hiszpańskiego działającego w południowej Francji. Jego głównym celem było zapobieżenie szerzącym się zgubnym wpływom sekty albigensów. Organizacja zakonna dominikanów zbliżona była do franciszkańskiej. Podobnie jak franciszkanie mieli również zakon żeński (dominikanki) i świecki (tercjarze i tercjarki). Przyjęli oni zasadę ubóstwa i mieli być zakonem zebrzącym. Bulla papieża Mikołaja III z roku 1220 zasadę tę złagodziła.

Przyjąwszy regułę świętego Augustyna, zakonnicy głosili „nieustanne dążenie do popierania duchownego dobra bliźnich”. Toteż papież Honoriusz III zatwierdzając w 1216 roku nowe zgromadzenie, wyznaczył im jako jedno z ważniejszych zadań obowiązek nauczania, stąd też później nazwano ten zakon kaznodziejskim „Ordo Fratrum Praedicatorum”. Z tą działalnością łączyli pracę naukową, kładąc duży nacisk na opanowanie dyscyplin teologicznych i filozoficznych. W XIII wieku odegrali poważną rolę w życiu wielu uniwersytetów, między innymi w Paryżu, Bolonii oraz w Padwie.

Z ich szeregów wymienić można takich filozofów jak Albert Wielki oraz Tomasz z Akwinu, kaznodziejów Girotzmo Savonarole oraz Jakuba de Voragine, a także mistyków Johanesa Eckharta i Taulera.

Zakon mając, jako spowiednicy feudałów a często i monarchów, bezpośredni dostęp do wyższych warstw średniowiecznego społeczeństwa, odegrał dużą rolę polityczną, zwłaszcza

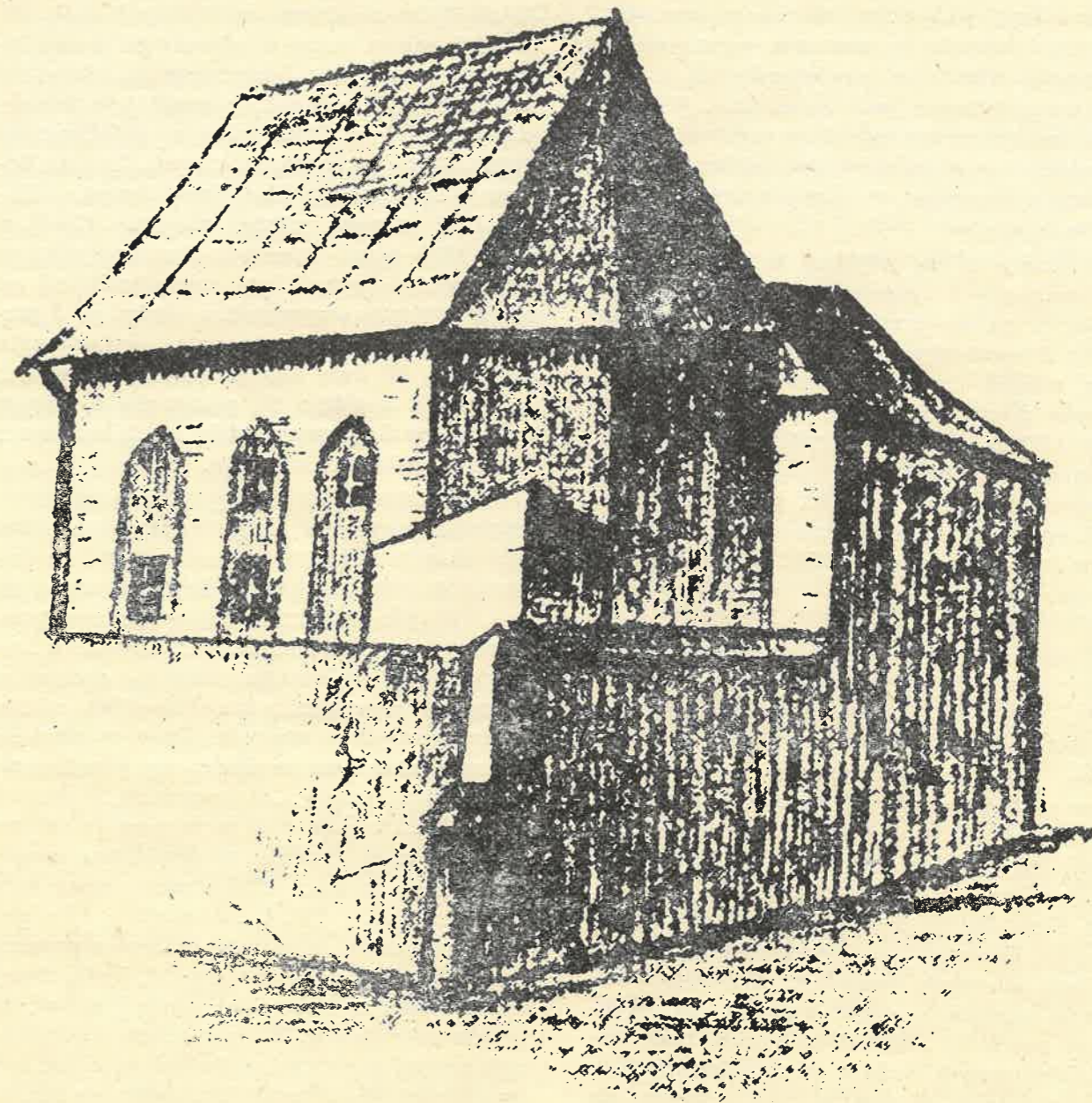
w okresie inkwizycji przekazanej im przez papieża Grzegorza IX w 1232 roku. Był to początek „Trybunału inkwizycyjnego”, na czele którego stali odtąd dominikanie, którzy w tej roli odznaczali się szczególnym okrucieństwem w tępieniu wszelkich przejawów postępowej myśli. Między innymi wymienić tu można pełniącego funkcję inkwizytora dominikanina Juan de Torquemada (żyjącego w latach 1388—1468).

Wkrótce po swoim powstaniu zakon rozprzestrzenił się po świecie, a w 10 lat po śmierci jego założyciela sięgał swoimi wpływami Ziemi Świętej. Do czasów reformacji posiadał około 150 000 członków we wszystkich częściach świata, potem ich rola zaczęła maleć.

Jednym z pierwszych krajów, które przyjęły gościnnie ten zakon była Polska. Jeszcze za życia Dominika do Rzymu, gdzie ten wówczas nauczał, przybył wraz z kilkoma kapłanami biskup krakowski Iwo Odrowąż. Podziwiając sławę świętobliwego żywota oraz dokonywane przez Dominika liczne cuda, poprosił o przysłanie kilku zakonników do Polski. Jednakże żaden z uczniów Dominika nie znał ani języka ani obyczajów polskich. Wówczas dwaj krewniacy biskupa — kanonik sandomierski Czesław i krakowski kanonik Jacek wyrazili chęć złożenia ślubów zakonnych i z rąk Dominika przyjęli habit zakonny.

Jako pierwszy przyjął ich Kraków, a w dzień Zwiastowania Najświętszej Marii Panny 25.03.1223 roku, biskup Iwo Odrowąż w obecności książęcego dworu, duchowieństwa i licznie zebranego ludu, oddał Jackowi Odrowążowi i jego towarzyszący kościół Trójcy Świętej wraz z klasztorem przy nim zbudowanym. W późniejszym zaś czasie zakon rozprzestrzenił się po całej Polsce. W roku 1318 istniała osobna prowincja polska licząca około 200 klasztorów.

Do Łęczycy natomiast przybyli dominikanie już w latach siedemdziesiątych XIII stulecia. Nie wiadomo dokładnie, czy od razu otrzymali tę część miasta, w której widzimy ich później. W każdym bądź razie od czasów wybudowania im klasztoru i kościoła przez Kazimierza Wielkiego zajmowali znaczną przestrzeń między murami w północno-wschodnim narożniku miasta.



KOŚCIÓŁ I KLASZTOR OJCÓW DOMINIKANÓW

(przed ostateczną przebudową) repr. E. Szkudlarek

Fundację tę część źródeł odnosi do roku 1341 inne źródła uważają ją za przedśmiertne dzieło monarchy — założenie obiektu odnosząc do roku 1370. Trudno też obecnie ustalić kiedy, przez kogo i pod jakim wezwaniem został poświęcony kościół. Ojciec Sadok Barącz — historyk zakonu kaznodziejskiego w Polsce, uważa, że pod wezwaniem świętego Dominika, inny natomiast historyk Swiejkowski twierdzi, że kościół był pod wezwaniem świętego Jacka.

Murowany kościół wzniesiony został w stylu gotyckim, według zwyczaju panującego wówczas u Krzyżaków, od których sztuki budownictwa uczył się nasz król Kazimierz Wielki. Pierwotnie orientowany, z prezbiterium zamkniętym wielobocznie, o ostrołukowych sklepieniach, pomimo wielokrotnych przeróbek, w gotyckim zakończeniu okien (obecnie zamu-

rowanych) do dziś nosi ślady właściwego porządku. Od północy przylegał do niego murywany, piętrowy klasztor.

Obiekt ten charakteryzujący się grubymi, ceglany murami, miał spełniać, obok zamku, ważną rolę w obronie dostępu do miasta od strony rzeki Bzury. W celu wspólnej obrony połączony był dawniej z zamkiem, krytym krużgankiem biegnącym po murze miejskim. Przekopy wypełnione wodą, a dalej Bzura o niskich, bagnistych brzegach, utrudniały dostęp. Wejście główne natomiast znajdowało się od strony miasta, frontem do tak zwanej ulicy Dominikańskiej (obecnie ulica Pocztowa).

O uposażeniu świątyni przez jej królewskiego fundatora wiadomo, że monarcha zapatrzył hojnie kościół w drogocenne kielichy, krzyże, księgi oraz inne sprzęty liturgiczne.

Ze skargi łęczyckich mieszczan, wniesionej przed lustratorów starostw, wiadomo, że majątkości klasztorne powiększyły się z czasem dzięki ofiarom osób pobożnych. Większa część spustoszonych po pierwszym najeździe szwedzkim gruntów miejskich oddana została kościołom łęczyckim, w tym również kościołowi dominikanów.

Lustracje te są jedynym źródłem podającym szczegóły o uposażeniu klasztoru dominikanów. I tak np. przysłani, w wyniku uchwał sejmiku konwokacyjnego, w roku 1765 lustratorzy ustalili: „na przedmieściu poznańskim chłopów dominikańskich 8, placów z ogrodami mają 14”, natomiast roli miejskiej posiadają dominikanie „składów 31, stay 19”. Lustracja przeprowadzona w parę lat później w roku 1789, oprócz tej samej wzmianki o uposażeniu ziemskim, zawiera wiadomość o znajdującym się na przedmieściu browarze należącym do dominikanów.

Znane są często skargi mieszczan na duchowieństwo, które mając znaczne obszary ziemi, uchylało się od świadczeń miejskich. Spowodowało to przedłożenie przez konwent ojców dominikanów supozycji: „że grunta i plac na którym folwark konwencki przy kościele zostaje — jest własny i dziedziczny klasztoru naszego, jak transakcja autentyczna w księgach grodu łęczyckiego, pod datą Fra 4-ta, post Fest. Solen. Sacri Pentacostem 1620 r. dowodzi. Konwent nasz łęczycki mając szczupły fundusz swych dochodów, otrzymywał co roku wsparcie z nadanego prawa i przywileju od posesorów starostwa, w odbieraniu tygodniowo miarki siodu z młyna starościńskiego oraz i innej daniny, których z dawna nie otrzymuje, z młyna prowentu starostwa bonifikacji żadnej nie odbierał i niema sobie nagrodzonej” (lustracja starostwa łęczyckiego z 1791 roku).

Czternastowieczna fundacja Kazimierza Wielkiego także w późniejszych czasach znajdowała się pod opieką królów polskich. W metryce koronnej wymieniony został przywilej z roku 1456 na mocy, którego Kazimierz Jagiellończyk pozwolił dominikanom korzystać z łąni miejskiej bezpłatnie. Natomiast Jan Kazimierz w roku 1655, Jan III w roku 1685 oraz August II w roku 1726 oddzielnymi przywilejami zagwarantowali dominikanom spokojne posiadanie gruntów i placów klasztornych.

Klasztor, przeznaczony na mieszkanie zakonników, gościł niejednokrotnie szlachtę, która zgromadziwszy się licznie na wspólne narady do stolicy województwa, odbywała je najczęściej w obszernym, dominikańskim refektarzu. Stąd też klasztor miał zapewnioną opie-

kę nie tylko ze strony pojedynczych osób, ale również całego stanu szlacheckiego. I tak lustratorom starostwa łęczyckiego w roku 1569 dominikanie przedstawili przywilej (datowany w Krakowie) z 1528. roku, a zatwierdzony przez króla Zygmunta, w którym Elżbieta Bolewska przyznała klasztorowi świętego Dominika 2 grzywny z łąni miejskiej. Kiedy w roku 1616 pożar zniszczył klasztor, szlachta województwa łęczyckiego zobowiązała się na sejmie walnym warszawskim, złożyć po 5 groszy z włóki na odbudowanie zrujnowanych gmachów. W dwa lata później w uchwałach sejmowych znajduje się wzmianka o nowym poborze po 5 groszy z włóki na dobudowanie kościoła ojców dominikanów.

W klasztorze, gdzie odbywała się większość łęczyckich sejmików, znalazły schronienie również akta grodzkie, przeniesione tutaj ze zniszczonego zamku, który według lustracji z roku 1791 nie zapewniał odpowiedniego przechowywania tym dokumentom. Dbałość o bezpieczeństwo podobnego rodzaju archiwum, zgodnie z uchwałami z lat 1740—1784, należała do obowiązków starosty. Toteż w ostatniej lustracji starostwa znalazło się przedłożenie ojców dominikanów: „iż utrzymują w murach swego klasztoru na dole w miejscu refektarza akta publiczne grodzkie województwa łęczyckiego, a to od roku 1785 z mocy opisu kontraktu z niegdy JW. Łuszczewskim, jako starostą łęczyckim, za co miał opłacać z prowentów swych rocznie czerw. złp. 14; bydła dwoje i żyta miary warszawskiej korcy 4 dawać, po zejściu zaś tego JW. Starosty, chcąc mieć pewność swojej należności, z dochodów, niesie swe przełożenie do lustracji teraźniejszego skarbu koronnego, prowentów starostwa łęczyckiego, likwidując, żeby opłata należna konwentowi do utrzymania aktów tychże grodzkich w brzmieniu lustracji skarbowi koronnemu została doniesiona”.

Niewiele zachowało się ze wspomnień dotyczących klasztoru dominikańskiego, jednego z najstarszych w Polsce. Z zasobnej biblioteki i archiwum klasztornego nie zostało ani śladu. Prawdopodobnie te ważne dokumenty zaginęły podczas kasaty zakonu dominikańskiego w Łęczycy dokonanej przez władze pruskie w roku 1796.

Z bardziej znanych wydarzeń związanych z kościołem dominikańskim w Łęczycy wymienić można celebrowaną przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Wojciecha Jastrzębca konsekrację biskupią Władysława Oporowskiego herbu Sulima (późniejszego ordynariusza diecezji kujawskiej) — 19.09.1434 roku. W uroczystości tej uczestniczyli krakowski biskup Zbigniew

Oleśnicki oraz biskup chełmski Jan Biskupiec z Opatowca.

W kilkadziesiąt lat później — 17.06.1459 roku — gotyckie wnętrze świątyni gościło szereg dostojników kościelnych, którzy pod przewodnictwem prymasa Jana Sprowskiego odbywali synod gnieźnieńskiej metropolii. Podczas jego trwania podjęto uchwały dotyczące podniesienia poziomu moralnego kleru. Zastrzeżono wówczas, aby kanoników, doktorów świętej teologii i prawa kanonicznego, dopuszczać do wszelkich praw i korzyści przynależnych stopniowi ich bez względu na pochodzenie. Drugą ważną uchwałą tego synodu było zatwierdzenie nowych podatków na przedłużającą się wojnę pruską.

Zakon Dominikański gorliwie dbający o dobro wiary świętej, wydał wielu ludzi wielkich. Również zgromadzenie łęczyckie starało się dążyć do naśladowania chlubnych wzorów.

Z licznego grona przeorów tutejszego klasztoru, na uwagę zasługuje Mikołaj z Łęczycy — świętej teologii bakałarz, a zarazem inkwizytor na archidiecezję gnieźnieńską i diecezję poznańską, któremu przypisuje się zażegnanie „wiszącej” nad Polską „burzy” hussyckiej.

Inny przeor klasztoru ojciec Jakub Woroniecki z polecenia prymasa Jakuba Uchańskiego podjął się w 1573 roku poselstwa do Siedmiogrodu, aby w imieniu stronnictwa Maksymilianów przedłożyć Stefanowi Batoremu, że jego wybór na tron Jagiellonów był nieważny. Mimo to, doceniając jego prawdziwą pobożność i głęboką naukę, Batory zostawszy królem, mianował go swoim kapelanem.

W roku 1694 przeorem dominikanów w Łęczycy został ojciec Jan Adam Bardziński herbu Habdank, doktor świętej teologii, w roku

1704 przeor w Elblągu, w latach 1705—1706 w Warszawie. Jego zasługą są liczne tłumaczenia na język polski, takie jak: rozmowy Lucjana pt. „Tragedja o Pedogrze”, przekład Lukana „Odrodzona w ojczystym języku Farsalia” (wydano w Oliwie w 1691 roku), „Pociecha filozofji Boecjusza” oraz „Tragedje Seneki” (wydano w Toruniu w 1696 roku). Znane są też jego wydania w języku łacińskim: „Suma teolog. S. Tom.” (Warszawa, 1705 rok) oraz „Ordo ac series summorum pontificum Romanorum” (Kraków, 1707 rok).

Inny przeor klasztoru łęczyckiego to ojciec Ambroży Zagajewski, doktor świętej teologii, teolog prymasa Stanisława Szembeka. Sprawował on również funkcję przeora klasztoru w Łowiczu, Gidlach i Sieradzu. Jest on autorem „Cudu obrazu Maryi Gidelskiej”, wydrukowanego w roku 1724.

Do zakonników łęczyckiego konwentu należał też uczony dominikanin Jan z Łęczycy — doktor świętej teologii, autor „Elenchui scriptorum Dominicanorum”.

Zbyt mało zachowało się wiadomości z dziejów dominikańskiej rodziny zakonnej w Łęczycy, a także o należących do nich budynkach klasztornych i kościele.

Kilkakrotnie zdobywany i niszczony zespół zabudowań dominikańskich u schyłku XVIII wieku, po drugim rozbiórce (1793 rok), został przez władze pruskie przerobiony na więzienie. Mimo gruntownej przebudowy w końcu XIX wieku do dzisiejszego dnia zachował się czytelny układ kościoła i budynku klasztornego, nadbudowanego z końcem XIX wieku o jedną kondygnację.

Obecnie w tym starym, zabytkowym obiekcie znajduje się, podobnie jak dawniej, zakład karny.

RAFAŁ LESZCZYŃSKI

## Szkoła Akademicka w Widawie

Położona w południowej części województwa sieradzkiego Widawa jest teraz niewielką osadą, ale w swojej wielowiekowej historii miała lepsze i chlubne czasy. Prawa miejskie nadał jej w 1388 r. król Władysław Jagiełło, a roz-

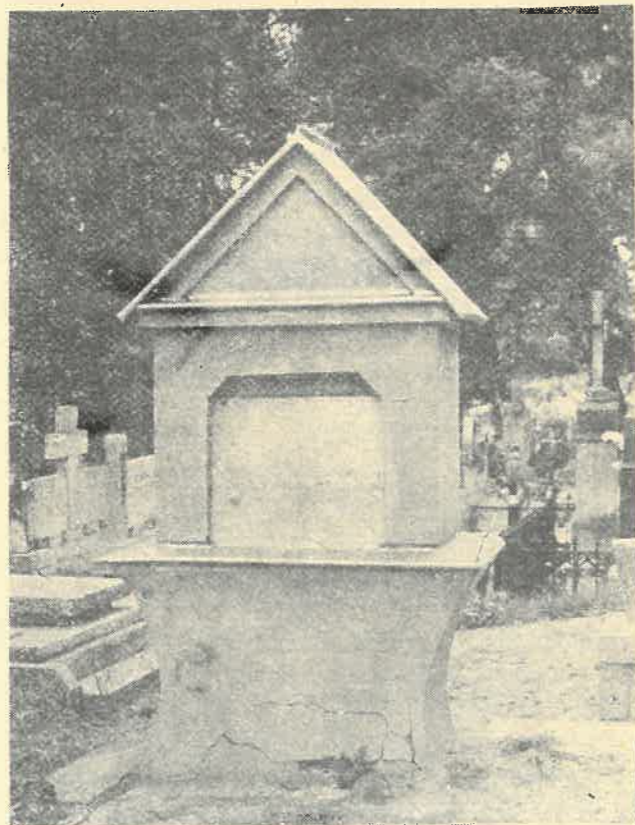
wijające się stopniowo miasto stało się z czasem znaczącym ośrodkiem handlu końmi i siedzibą niemal osiemdziesięciu warsztatów rzemieślniczych (w 1563 roku) różnych specjalności, pracujących na potrzeby okolicy. Czynn-

nikiem miastotwórczym była również widawska szkoła, która miastu i województwu dostarczała wykształconych w miarę możliwości i potrzeb obywateli i przyczyniała się do ugruntowania prestiżu Widawy na rozległym obszarze. Nic więc dziwnego, że miłośnicy miasta i regionu, którzy w ciągu dziewiętnastego i pierwszej połowy naszego stulecia chętnie kreślili piórem obrazy świetnej przeszłości Widawy, nie pomijali jej szkoły. Historyczny obraz widawskiego szkolnictwa nie miał jednakże wyrazistych konturów, a brak solidnie udokumentowanych faktów zastępowano spekulacjami, na które z kolei powoływali się autorzy z młodszych generacji. A przecież istniały wtedy jeszcze akta o podstawowym dla dziejów widawskiej szkoły znaczeniu, akta zapisane w księgach grodzkich i ziemskich piotrkowskich i w aktach Trybunału Koronnego. Nie zdążono ich ewakuować przed wybuchem drugiej wojny światowej, pozostały w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie, gdzie po upadku powstania wydzielony specjalnie oddział wojska niemieckiego uzbrojony w miotacze ognia spalił wszystko, co się jeszcze znajdowało w gmachu Archiwum. Razem z innymi materiałami przepadły bezpowrotnie dokumenty o istotnym znaczeniu dla dziejów Akademii Widawskiej, do których nie pokwapili się zajrzeć — dopóki istniały — autorzy piszący o Akademii. Dlatego prof. Leszek Hajdukiewicz, dyrektor Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego i zarazem najlepszy dziś znawca problematyki tzw. kolonii akademickich, pisze o Akademii Widawskiej jako o „szkole bez historii”, ciągle czekającej na swego autora<sup>1</sup>. Kto jednak teraz przystępuje do pracy nad dziejami Akademii Widawskiej, do dyspozycji ma zaledwie szczątki materiałów źródłowych. Na ich podstawie można następująco zrekonstruować dzieje widawskiego szkolnictwa.

Kronika parafialna podaje, zapewne w oparciu o zaginione dzisiaj materiały, że szkołę parafialną, dającą elementarne wykształcenie założono w Widawie w 1504 roku, a w roku 1545 miała jakoby powstać kolonia Akademii Krakowskiej. Do takiego wniosku doszedł badacz widawskiego archiwum kościelnego: „istniała już od dawna kolonia akademicka w Widawie, skoro poziom szkoły widawskiej był już dość wysoki w połowie XVI wieku, kiedy tutaj szlachta znaczniejsza wysyłała swoich synów na naukę”<sup>2</sup>. Natomiast wspomniany już prof. Hajdukiewicz założenie kolonii akademickiej w Widawie datuje dopiero na 1637 rok, zapewne za starym a niedokładnym opracowaniem J. Łukaszczyka<sup>3</sup>.

Z formalnego punktu widzenia ani pierwsza, ani druga data nie jest prawdziwa. Hajdukiewicz we wspomnianej pracy słusznie przypomniał, że po raz pierwszy nazwa kolonia pojawiła się w Akademii Krakowskiej w 1588 r. podczas dyskusji nad organizacją Kolegium Nowodworskiego w Krakowie. W ciągu następnych dziesięcioleci powstawały kolejne szkoły związane organizacyjnie, personalnie i merytorycznie z Akademią Krakowską, a naliczono ich wszystkiego 31. Powstały one w takich miastach jak Poznań, Gniezno, Lwów, Bochnia, Nowy Sącz, Tarnów, Kielce... W tym dość ekskluzywnym gronie stosunkowo wcześniej znalazła się też Widawa. Dzieje innych szkół — kolonii akademickich każą mówić z dużą ostrożnością o datach ich założenia. Większość z nich „miała za sobą długą, sięgającą w głąb wieków średnich tradycję, a do rangi szkoły akademickiej awansowała często niepostrzeżenie”<sup>4</sup>. I tutaj Hajdukiewicz podał jako przykład szkołę w Tarnowie, która formalnie stała się kolonią akademicką dopiero w 1760 r., ale faktycznie była nią już od założenia tamtejszej kolegiaty w 1400 r. Podobnie i dla Widawy nie sposób wskazać na ścisłą datę powstania szkoły akademickiej.

Pierwszym widomym znakiem widawskiej oświaty są imiona tamtejszych młodzieńców



POMNIK NAGROBNY MICHAŁA PŁACZKOWSKIEGO — REKTORA AKADEMII WIDAWSKIEJ

fol. J. Lewandowicz

wpisujących się jako studenci do Akademii Krakowskiej. Był zwyczaj podawania przy wpisie oprócz swojego imienia, imienia ojca, a później i nazwiska, miejscowości, skąd student się wywodził. Wiemy więc, że w roku 1410, w roku bitwy grunwaldzkiej, pierwszy widawianin wpisał się do metryki uniwersyteckiej. Na następnego trzeba było czekać dziesięć lat, ale potem widawianie częściej pojawiali się w krakowskiej uczelni, a w semestrze letnim 1470 r. zapisało się nawet dwóch. O siedemnaście lat możemy przesunąć dotację H. Rybusa, który pisał, że Widawa była reprezentowana w Akademii Krakowskiej od 1427 r.<sup>5</sup> Tymczasem w roku 1427 pierwszy widawianin imieniem Piotr otrzymał tytuł naukowego bakałarza po siedmiu latach studiów w Krakowie.<sup>6</sup>

Jest oczywiste, że młodzi ludzie wstępujący na studia musieli wcześniej posiadać rudymenta wiedzy, w tym także znajomość języka łacińskiego, w którym odbywały się wykłady. Gdzie te umiejętności zdobyli?

Skazani jesteśmy na domysły, zwłaszcza gdy chodzi o dwóch pierwszych widawian, jacy przez pierwsze ćwierćwiecze XV stulecia przewinęli się przez mury krakowskiej wszechnicy. Ale w drugim ćwierćwieczu przybyło na studia do Krakowa już sześciu widawian, zatem w stosunku do pierwszego ćwierćwiecza frekwencja widawian wzrosła o 300%. Nasuwa się przypuszczenie, że w Widawie działała wówczas szkoła, która dawała początki wykształcenia, rozwijanego może w innych pobliskich ośrodkach, zanim młodzi ludzie nie znaleźli się w Krakowie. Rozumie się, że ta szóstka wpisanych do metryki akademickiej (z nie wpisanymi mogło być ich więcej), to ludzie najzdolniejsi i najambitniejsi spośród rozpoczynających naukę elementarną widawian. Stanowili najwyżej kilka procent z liczby tych, którzy w szkole parafialnej podejmowali naukę. Zatem w latach 1425—1450 od 200 do 300 widawskich dzieci przewinęło się przez szkołę parafialną. Nie było to mało przy ówczesnej gęstości zaludnienia i wielkości miast, osiągnięcie zaś tej wielkości byłoby trudne albo zgoła niemożliwe bez funkcjonującej na miejscu szkoły parafialnej.

Jeśli przyszłoby sądzić po ilości wpisanych studentów, to szkoła widawska przechodziła pewien kryzys w połowie stulecia, gdy przez 13 lat nie dostarczyła żadnego swojego wychowanka do Akademii Krakowskiej. Podobny okres upadku trwałby od początku lat siedemdziesiątych. Wydzwignęła się z niego szkoła pod koniec stulecia, gdyż w ostatniej jego

dekadzie trzech widawian znów pojawiło się na studiach.

Dla XVI wieku sytuacja nie jest tak czytelna, gdyż brakuje indeksu wpisanych do metryki studentów, bez czego opublikowane wpisy są mało użyteczne. Można się wszakże domyślać, że szkoła w Widawie pracowała ciągle, gdy w całym kraju podnosił się poziom zamożności i poziom cywilizacyjny. Chlubą miasta stał się Walenty z Widawy, profesor Akademii Krakowskiej i u schyłku życia jej rektor. Zapewne on także podstawy wiedzy zdobywał w rodzinnym mieście. Wywdzięczył mu się zapisem w testamencie w 1598 r. stu złotych na wybrukowanie ulic Widawy i studa dla tamtejszego kościoła, któremu ponadto zapisał 10 kobierców i swój księgozbiór. Kwotę 16 złp. zapisał Walenty dla bakałarza Andrzeja z Widawy, przygotowującego się do promocji na magistra. Jan Golszowski, sekretarz widawskiego magistratu, egzekwujący w 1602 r. zapis Walentego Widawczyka na rzecz miasta, nosił tytuł bakałarza zdobyty w krakowskiej wszechnicy. W sumie 33 widawian studiowało przez wiek XVI w Krakowie przyczyniając się do utrwalenia związku Akademii z tym miastem i jego szkołą.

W odczuciu właścicieli Widawy, Wężyków Widawskich, szkoła ta nie zaspokajała potrzeb edukacyjnych pańskich dzieci. Piotr Wężyk Widawski, który sam otrzymał modne wykształcenie humanistyczne, skorzystał z okazji, gdy w niedalekim Wieruszowie po zgonie Jana Tomickiego można było pozyskać domowego nauczyciela w osobie wrocławianina Andrzeja Callagiusa. Ten humanistyczny pedagog i pisarz opuścił Widawę w 1576 r. pozostawiając po sobie wdzięczną pamięć u wychowanków. Jego zaangażowanie świadczy, że rodzina Wężyków pragnęła podnieść na wyższy poziom nauczanie w Widawie.

Znany heraldyk jezuicki, Kasper Niesiecki, napisał w Herbarzu przy Macieju Wężyku Widawskim, że ten „1623 chciał nam fundować kolegium w Piotrkowie, ale to do skutku dla różnych trudności przyjść nie mogło”. Z jezuitami od szeregu lat zacięty spór o prawo wyłączności na nauczanie w Krakowie wiodła Akademia. W walkę wciągnięty został król Zygmunta III, episkopat polski, sejm, kuria rzymska. Akademia zaczęła rozszerzać swoje wpływy w kraju poprzez tworzenie kolonii akademickich, w których zapewniała ona obsadę nauczycieli spośród swoich wychowanków i młodych pracowników, ustalała programy nauczania, dbała o jednolite podręczniki. Zniechęcony do jezuitów Maciej Widawski skierował się do ich antagonistów. Stało się to około

1629 roku. Akademia przyjęła dar, który nie pociągał jezuitów. Była to kwota 7000 złp. ulokowana na 8% rocznie w dobrach Żuchowice i Gorzkowiczki, położonych między Piotrkowem a Radomskiem, zatem względnie daleko od Widawy, ale blisko w stosunku do pierwotnie planowanego kolegium w Piotrkowie. Dawało to szkole akademickiej w Widawie 560 złp. rocznie, było więc solidną podstawą jej egzystencji. Powstało w Widawie kolegium profesorskie, a ponieważ według starej zasady tres faciunt collegium, przewidywano trzyosobową obsadę nauczycielską. Formalny zapis fundacji uczynił Maciej Widawski na przedwiośniu 1635 r. Z tego samego roku pochodzi druczek pt. *Academia Widawska Jęgo Mości P. Macieja Wężyka Widawskiego...* zachowany w bezcennym, bo jedynym egzemplarzu w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie. Oby spełnił się zamiar wykonania reprintu z tego unikatku i zachowania dla potomnych jego treści. Większą część druczku zajmują łacińskie popisy uczniów szkoły akademickiej w Widawie, w których słusznie wychwala się hojność fundatora. Znać, że nauka w tej szkole szła intensywnie przynajmniej od kilku lat, a jej plonem była owa publikacja. Można przypuszczać, że charakter kolonii akademickiej szkoła widawska zaczęła przyjmować po załamaniu się rozmów Macieja Widawskiego z jezuitami, nie później jednak jak w 1629 r. Starowolski spisał tekst na nieistniejącym teraz nagrobku Macieja Widawskiego zmarłego na początku 1636 r. w wieku niemal 70 lat (urodził się więc w 1567 lub 1566 r.). Czytamy tam, że fundacją widawskiego kolegium akademickiego osiągnął Maciej Widawski nieśmiertelną sławę<sup>7</sup>.

Niestety, dobra, na których był zabezpieczony kapitał szkoły widawskiej rychło wyszły z rąk jego synów do Śladkowskiego, kasztelana rozpierskiego. Jako właściciele lub dzierżawców spotykamy następnie Karczewskiego, Gidzielską, Trzebińskiego, Boguckich, Bierzyńskiego. Nie czuli się oni moralnie związani wolą Macieja Widawskiego, w dodatku w latach po „potopie”, rokoszu Lubomirskiego oraz innych katastrofach zbiedniali właściciele rzeczywiście znajdowali się w kłopotach i nie było im łatwo wypłacać Akademii przewidzianą kwotę. Sejmik województwa sieradzkiego doceniając rolę Akademii Widawskiej uchwalił w 1711 r. zasiłek 300 złp. na jej restaurowanie. Wreszcie kapitał został przeniesiony na dobra Dąbrowa, ale tylko na 5% czyli 350 złp. rocznie. Zamiast trzech czy dwóch nauczycieli spo-

tykamy tylko jednego, a szkolny budynek długo czekał na naprawę. Komisja Edukacji Narodowej zdegradowała kolonię do poziomu szkoły parafialnej i odnotowała w swoich aktach, że otrzymuje ona już tylko 3% od owych 7000 złp. Jednakże szkoła walczyła o utrzymanie charakteru placówki edukacyjnej na średnim poziomie, zatem z nauką języków obcych, logiką itd. Pozostawiona sama sobie, bo nawet wizytatorzy Komisji Edukacyjnej poza jednym do Widawy nie docierali a to dla braku czasu, a to dla złych dróg, szkoła akademicka w Widawie lub dokładniej mówiąc: jej nauczyciele trwali na posterunku do 1802 r., gdy wielki pożar zniszczył całe niemal miasto, a w tym również szkołę i bibliotekę zapisaną niegdyś przez Walentego Widawczyka. Z materialnych śladów na miejscu nie pozostało nic po kolonii akademickiej poza nagrobkiem Michała Płaczkowskiego, jej rektora zmarłego w 1769 r. pochowanego na widawskim cmentarzu. W Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego można odszukać nieco dokumentów odnoszących się do owej kolonii, a w Warszawie unikatowy druczek, tak obiecująco — zda się zapowiadający przyszłość Akademii Widawskiej. Najtrwalszy jednak ślad egzystencji Akademii pozostała w pamięci kolejnych pokoleń mieszkańców Widawy, gdyż nie tylko wyjątkowi miłośnicy historii, ale ogół mieszkańców jest tam świadomy, że w ich mieście istniała szkoła, jakich w całej Rzeczypospolitej naliczyć można tylko kilkadziesiąt. Może przyszłość znów okaże się łaskawa dla tej miejscowości i da jej szkołę o poziomie ponadpodstawowym.

1. L. Hajdukiewicz, Podstawy ideowe i organizacyjne kolonii akademickich Uniwersytetu Krakowskiego (1588—1773), „Przegląd Historyczno-Oświatowy”, R. 6: 1963, s. 145.
2. H. Rybus, Widawskie archiwum kościelne, Łódź 1939, s. 19.
3. J. Łukaszewicz, Historia szkół w Koronie i w Wielkim Księstwie Litewskim, Poznań 1851, t. 3 s. 515; Hajdukiewicz, l.c. (ze znakiem zapytania przy dacie).
4. Hajdukiewicz, op. cit. s. 150.
5. Rybus, op. cit., s. 11.
6. J. Muczkowski, Statuta..., s. 19.
7. S. Starowolski, Monumenta Sarmatarum, Kraków 1655, s. 598.

BOHDAN SUTARSKI  
MAREK SEKIETA

## Legends widawskie

*Czasem o późnej porze wieczoru,  
gdy jesień za oknem,  
lub zima w bezlistnej pustce,  
przez drzwi zamknięte — bo wieje ze dworu,  
wchodzą legendy, siadają pospołu  
i opowiadają „od założenia miasta”  
o widawskim grodzie  
i protoplastów — braci Widawskich  
i Wężyków „na Kopcu”  
owym sławnym rodzie,  
o „Akademiji” i chórze żaczków  
przypisanych do niej,  
— i łamią tajemne tamtych dni pieczęcie,  
lecz bliżej północy  
już czarodziejskiej poddają się mocy  
— i słyszę to o Południcy, co błądzi po polu,  
to o jeździe kozackiej, która w bagna upada,  
to o duchu zakonnika, którego — aż przejmują  
dreszcze,  
widziano — o zgrozo! — bez twarzy.*

*A co kryją jeszcze  
podziemia klasztoru?*

*Lecz tu usnęły owe legendy  
i na stronach tychże śnią,  
by powieści swoich tobie  
dalszy opowiedzieć ciąg.*

1989

Juliusz Kotlicki

Gdy byłem małym chłopcem, bardzo chętnie słuchałem opowiadań mojego dziadka Józefa Sutarskiego. Zapamiętałem między innymi historię figury św. Rocha, która do dziś znajduje się w ołtarzu kaplicy cmentarnej w Widawie.

Otóż dawno, dawno temu na cmentarzu stała drewniana kaplica, a w niej czczona była figura św. Rocha powszechnie uważana za cudowną. Zwłaszcza podczas dorocznego odpustu (16 sierpnia) bardzo licznie przybywali tu ludzie nie tylko z parafii, lecz nawet oddalonych miejscowości, aby gorliwie zanosić modły do św. Rocha, który wysłuchiwał tych błagań i nieszczęśliwym kalekom oraz cierpią-

cym z powodu różnych schorzeń przychodził z pomocą. Ten święty zaliczany między czterem nastu możliwych wspomoczeni, uważany nie tylko w Polsce za patrona chroniącego przed zarazą, oddalił od Widawy epidemię cholery, podczas której w 1714 roku śmierć zbierała straszliwe żniwo wśród ludności. Uchronił też od zagłady zwierzęta w czasie szerzącego się pomoru bydła i domowego ptactwa. Widawianie, którzy otaczali wielkim szacunkiem figurę św. Rocha, przekazując legendę o uzdrowieniach z pokolenia na pokolenie pamiętali o zwyczaju przyprowadzania przed kaplicę, w przededniu odpustu, bydła oraz domowego ptactwa, które kapłan pokrapiał wodą święconą i z ludem odprawiał błagalne modły, aby św. Roch chronił je przed wszelką zarazą. Tak było przez wiele lat. Przyszło jednak nieszczęście. Kościelny pozostawił w kaplicy niedogażoną świecę, która spowodowała pożar. Zdolano uratować jedynie figurę św. Rocha. Została ona przeniesiona do parafialnego kościoła św. Marcina. Tu jednak św. Roch nie chciał przebywać, jak głosi legenda — sam podczas nocy zawędrował dróżką przez pola na pogorzelsko spalonej kaplicy.

Parafianie ponownie przenieśli figurę do kościoła i umieścili ją na jednym z ołtarzy, gdyż nie chcieli dopuścić, aby narażona na wpływy warunków atmosferycznych uległa zniszczeniu. Takie przeniesienie i powroty figury na cmentarz powtarzały się kilkakrotnie. W związku z powyższymi wydarzeniami widawianie wysnuli wniosek, że św. Roch upodobał sobie pobyt na cmentarzu i w 1893 roku na pogorzelsku modrzewiowej kaplicy wybudowali mu nową, neogotycką z cegły, po czym figurę św. Rocha w uroczystej procesji przeniesiono z farnego kościoła i umieszczono ją w nowym ołtarzu z czarnego dębu. Tutaj nadal św. Roch wysłuchuje modłów ludzi cierpiących na różne choroby i przynosi im ulgę w ich utrapieniach. Doroczny jego odpust obchodzony współcześnie również bardzo licznie gromadzi na cmentarzu nie tylko tutejszych mieszkańców, ale i wiernych nawet z bardzo odległych stron Polski.

\* \* \*

Po powrocie z wojennej tułaczki we wrześniu 1939 roku zastałem ze swoimi rodzicami w miejscu naszego domu tylko zgłiszczą. Ksiądz kanonik Józef Pełczyński, przyjaciel naszego domu przyjął nas między innymi rodzinami do siebie na plebanię, którą stanowił pobernardynski klasztor w Widawie. Zamieszkaliśmy w dużym pomieszczeniu dawnego refektarza, czyli jadalni klasztornej.

Pewnego zimowego wieczoru 1942 roku matka moja siedziała przy dużym stole zajęta reperacją mojego ubrania, a ojciec czytał książkę. W pewnej chwili oboje podnieśli głowy i spojrzeli jednocześnie w tym samym kierunku. Od drzwi wychodzących na korytarz klasztorny usłyszeli wyraźnie czyjeś kroki, które powoli przybliżyły się w ich stronę. Patrzyli na siebie nic nie mówiąc. Wtedy ten ktoś, którego kroki słyszeli, zatrzymał się za mamą, tak jakby chciał zobaczyć przez jej ramię co ona robi. Matka moja, ponieważ z natury swojej była osobą odważną powiedziała „no, jak to coś mnie teraz zdzieli”, ale wypowiadała to z pewnym przerażeniem, bowiem w głębi duszy najbardziej obawiała się, aby to „coś” nie położyło zimnej ręki na jej ramieniu. Po chwili słyszeli jakby „ktoś” obszedł stół do okna, skierował się w stronę drzwi i powędrował korytarzem. Gdy kroki ucichły rodzice zaczęli ze sobą na ten temat rozmawiać, a następnego dnia opowiadali o tym swoim znajomym. Kiedy to się zdarzyło byłem nieobecny w domu, wiem o tym z wielokrotnych opowiadań moich rodziców.

Rodzice opowiadali też, że w czasie zamieszkiwania w tym refektarzu, często zdarzało się im słyszeć jakieś podejrzanego stukania, jakby przy grze w kości. Zazwyczaj takie odgłosy słyszeć było można w późnych godzinach wieczornych, kiedy mieszkańcy klasztoru już dawno udali się na spoczynek. Mama mówiła, że wyraźnie słyszała, jak kości wrzucane były do jakiegoś blaszanego pojemnika, mieszane, a potem wyrzucane na stół. Były również inne szmery, tak jakby ktoś liczył, lub z kimś przemawiał się.

\* \* \*

Widawskie legendy zarówno przez autentyczność, jaki ciekawą fabułę wywierają ogromny wpływ na wyobraźnię tutejszych mieszkańców. Oto jeden z przykładów podświadomego oddziaływania. Jan Owczarek — mistrz malarstwa pokojowego opowiadał, iż wiele razy śniło mu się w nocy, że przebywając w podziemiach klasztoru odkuł fragment zamurowanego przejścia i wówczas jego oczom ukazały

się żelazne drzwi kunsztownej kowalskiej roboty prowadzące do niezbadanych, niedostępnych pomieszczeń. Na podstawie tych snów przypuszczał, że w tychże podziemiach kryją się drogie skarby.

Kierując się odkrywczą pasją pragnął zrealizować swoje sennie marzenia. Stosowna okazja nadarzyła się, gdy go zatrudniono do malowania pomieszczeń klasztornych. Pewnego wieczoru, po zakończeniu roboty, poprosił o pomoc pracującą wówczas na plebanii Annę Ścipień i oboje zeszli włazem do piwnicy oświetlając sobie drogę elektryczną latarką. Był przekonany, że pod refektarzem, podobnie jak pod innymi skrzydłami klasztoru znajduje się dotychczas niedostępna, murowana krypta, która zawiera intrygującą go tajemnicę. Po dotarciu do muru podziemi refektarza wykuł w nim otwór i długą tyczką gruntował tajemnicze pomieszczenie. Raptem od strony wejścia dobiegł ich łoskot, jakby ktoś łańcuchem silnie uderzył w dekiel odkrytego włazu. Jednocześnie zgasła im latarka. Przestraszeni tym zjawiskiem pośpiesznie opuścili piwnicę i zaniechali dalszych poszukiwań.

Pan Owczarek opowiadając o tej przygodzie snuł przypuszczenia, że nastraszył ich duch pokutującego zakonnika, który nadal strzeże tajemnicy podziemi klasztoru.

\* \* \*

Siostra felicjanka Nikodema Kłobuszewska opowiadała, że w latach pięćdziesiątych, podczas wakacji przyjechała z Wawra do nich do Widawy na wypoczynek katechetka, siostra Cherubina Frankowska i zamieszkała w celi na piętrze klasztoru zajmowanej wówczas przez siostry. Pierwszego dnia pobytu, o zachodzie słońca, wyszła na łąkę położoną w ogrodzie plebańskim i odmawiała różaniec spacerując po ścieżce wydeptanej wzdłuż burzowego kanału odprowadzającego wodę z rynku do Niecieczy. Po odmówieniu paru dziesiątków zauważyła, że tą samą dróżką od klasztoru w jej stronę zmierza jakiś kapłan. Pomyślała, że jest on zapewne mieszkańcem klasztoru, gdyż jeszcze nie zapoznała księży pracujących wówczas w parafii. Postać ta odziana w strój zakonnika przybliżyła się do niej coraz bardziej. 1) Nastąpiła chwila w której we-

1) Ian Wilson w książce „Życie po śmierci” wydanej przez wyd. Pelikan w W-wie 1988 roku na str. 115 pisze: „Wbrew powszechnemu mniemaniu, duchy zwykle ukazują się w postaci materialnej, nie są przezroczyście. Innym paradoksem jest fakt, że w tych relacjach duchy prawie zawsze pojawiają się w ubraniach, co zresztą często ułatwia określenie okresu lub osoby, z którymi należy je kojarzyć”.

dług zasad grzeczności ów nieznajomy powinien pierwszy do siostry wypowiedzieć chrześcijańskie pozdrowienie. Ponieważ tego nie uczynił ona do niego powiedziała: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Jakże na niego była oburzona, gdy przeszedł obok niej w milczeniu i na pozdrowienie nie zareagował. Sądziła, że może jest głuchy więc słów nie do słyszał. Zaintrygowana jego zachowaniem obejrzała się wstecz, by mu przyjrzeć się dokładnie. Wtedy z przerażeniem stwierdziła, że na ścieżce za nią nie było... nikogo. Bardzo zaniepokoiło ją to niezwykle spotkanie. Przejęta strachem, przyspieszonym krokiem powróciła do zajmowanego pokoju.

Siostra Cherubina była osobą zrównoważoną, daleką od egzaltacji. Następnego dnia z wielkim przejęciem opowiadała o tym zajściu siostrze mieszkającej w Widawie. Twierdziła, że podczas dalszego pobytu, za żadne skarby nie wybierze się na plebańską łąkę, gdyż tam znów mogłaby napotkać zjawę zakonnika.

\* \* \*

W dziecięcych latach mojego życia dość często zachodziłem na religię i zbiórki ministrantów do widawskiego klasztoru. Przed wejściem do niego, zwłaszcza w lecie, często na ławce wysiadywała Michalina Michalczykówna, wdowa po kościelnym. Przypominam sobie jej opowiadanie, któremu z zainteresowaniem przysłuchiwało się również kilku chórzystów oczekujących na lekcję śpiewu. Pewnej nocy bodajże 1948 roku, gdy żył jeszcze jej mąż Józef, zbudziło ich gwałtowne uderzenie w okno mieszkania położonego na parterze klasztoru. Po otworzeniu frontowych drzwi mąż jej zobaczył kilku obcych uzbrojonych ludzi. Jeden z tej grupy rozkazał mu, aby ich zaprowadził do podziemi kościoła. Nieznajomi przybysze jednocześnie wnieśli na korytarz trumnę. Jak się potem okazało mieli wśród siebie murarza, który w jednej ze ścian podziemia wykuł otwór i przy pomocy towarzyszących mężczyzn przygotował w ziemi komorę. Do tego pomieszczenia wsunięto ową trumnę przywiezioną potajemnie przed klasztor. Po czym murarz posługując się dostarczoną mu zaprawą otwór starannie zamurował. Następnie usunięto ślady prowadzonych robót. Podczas tych prac jeden z uzbrojonych mężczyzn pilnował kościelnego, aby ten nawet na krok się od nich nie oddalał. Po zakończeniu akcji, prawdopodobnie dowódca uzbrojonej grupy, grożąc trzymany w rękę rewolwerem, zapowiedział Michalczykowi, aby jeżeli mu życie miłe

o tym co w tę noc widział nikomu nie wspominał ani słowa.

Domyślać się można, że ówczesny proboszcz ksiądz Stefan Pawłowski był uprzedzony o tej akcji, lecz ze względu na własne bezpieczeństwo, na ten temat z nikim nie rozmawiał, gdyż było to wydarzenie za czasów stalinowskich.

Staruszka prowadząc dalej swą opowieść snuła przypuszczenia, że wtedy w nocy po-grzebano jakiegoś wysokiego rangą dowódcę Armii Krajowej, który został zamęczony w więzieniu podczas śledztwa, albo poległ w potyczce partyzanckiej. Być może pochodził on z zamożnego rodu tych, którzy grzebali swych przodków pod klasztorem. Towarzysze walki wypełnili ostatnią wolę składając jego zwłoki w tym miejscu.

Mąż Michalczykowej podejrzewał, że to zapewne jakiś oddział partyzancki, przed rozwiązaniem się, ukrył broń lub cenne dokumenty w tej trumnie, gdyż według jego oceny wydawała się znacznie cięższa, niż z ciałem nieboszczyka. Kończąc swą opowieść staruszka twierdziła, że podziemia klasztoru kryją niejedną, podobną do tej, tajemnicę. W stosownym czasie wszystkie zostaną ujawnione.

\* \* \*

Do przeprowadzenia w 1976 roku remontu kościoła i klasztoru potrzebne były drabiny do wznoszenia wysokich rusztowań. Przy ich wykonywaniu zatrudniono między innymi Zdzisława Musiałowicza, cieślę zamieszkałego w Łodzi. W związku ze zleconą mu pracą przebywał w widawskim klasztorze. Któregoś dnia znajdował się w pomieszczeniu położonym od wschodniej strony na parterze (w dawnym szpitaliku zakonnym), gdzie znajdował się warsztat stolarski. Przy pomocy struga obrabiał szczeble do drabin. W pewnym momencie spojrzął w otwarte drzwi i zobaczył przesuwającą się korytarzem postać człowieka w długim stroju. Pomyślał, że to któryś z miejscowych księży — jednak tego nie był pewien. Zaintrygowany wyszedł na korytarz i przyspieszył kroku. Chciał przybliżyć się do tej postaci, by zorientować się kto korytarzem idzie.

Trudno opisać jego przeżycia, gdy stwierdził, iż obserwowana przez niego postać nie ma twarzy. Przerażony wbiegł po schodach na korytarz położony na piętrze. Czuł jak oblewa go zimny pot i przejmują dreszcze. Jego podniecenie i pełen lęku niepokój obserwowała z kuchni gospośnia Władysława Sieradzka, która w pierwszej chwili przypuszczała, że są to objawy mającego nastąpić ataku apopleksji.

Nie potrafił on wydobyć słowa, by odpowiedzieć na postawione przez nią pytanie, co mu dolega. Trzeba było dłuższego czasu, by ochłonął z tego stanu. Wtedy opowiedział jej o tym tak szokującym go wydarzeniu. Niezwykle spotkanie z duchem spowodowało w nim uraz. Nie chciał bowiem od tej pory za żadną cenę sam wieczorem zejść do pomieszczeń, w których napotkał zjawę.<sup>1)</sup>

Pan Zdzisław nocował w celi położonej nad dawnym szpitalikiem. Opowiadał, że późną nocą niejednokrotnie budziły go odgłosy tajemniczego stukania w ścianę z przyległej do jego pokoju łazienki wikariusza przebywającego wówczas na urlopie.



EPITAFIUM W KOŚCIELE POBERNARDYŃSKIM  
 fot. B. Pastusiak

<sup>1)</sup> W cytowanej wyżej książce „Życie po śmierci” I. Wilson pisze na str. 114: „W archiwach Towarzystwa Badań Parapsychologicznych oraz innych zbiorach tego rodzaju znajduje się mnóstwo opisów podobnych wydarzeń, toteż można naszkicować typowe cechy takiego zjawiska. Na przykład według oksfordzkiej badaczki Celi Green w 84 procentach zgłoszonych „spotkań” z duchami zjawy jest widoczna, w 37 procentach powoduje jakiś hałas lub mowi, w 18 procentach następuje zjawisko zmiany temperatury, prawie zawsze ochłodzenie, w 15 procentach pojawia się uczucie, że ktoś nas dotyka. Niektóre zetknięcia z duchem ograniczają się do silnego odczuwania czyjejs „obecności”.

Innym razem podczas nocy zbudził go dźwięk monet rozsypywanych na podłogę. Zaczął nasłuchiwać i zastanawiać się w jaki sposób ktoś niepożądany mógł wejść do jego sypialni. Było to niemożliwe, gdyż pamiętał, że przed położeniem się do łóżka drzwi, od wewnątrz zamknął na zasuwkę. Gdy ochłonął ze strachu nasunęła mu się myśl, że zapewne monety wysunęły się z kieszeni jego spodni przewieszonych przez poręcz krzesła. Zapalił więc zapalniczkę. W pokoju poza nim nie było nikogo. Po zaświeceniu żarówki nie znalazł też śladu rozspanych monet. Co sądzić o tych akustycznych doznaniach? Były złudzeniem, czy tajemniczym, nadnaturalnym zjawiskiem?

Opowiadał też, że pewnej nocy poczuł jak mu na nogi powoli nasuwało się coś potwornie ciężkiego. To odczucie potęgowało się i ciężar przemieścił się na jego klatkę piersiową. Ucisk stawał się coraz większy i powodował uczucie duszenia. Nie mógł poruszyć ręką ani nogą i brakowało mu tchu. Kiedy ten nieprzyjemny stan po chwili ustąpił stwierdził, że jest potwornie spocony.

O doznaniu podobnego odczucia duszenia opowiadała również gospośnia Władysława Sieredzka. Jej też to przydarzyło się nocą. Za którymś razem udało się jej uwolnić od ucisku i w tej chwili chwyciła ludzką dłoń, która według jej oceny była drobną kobiecą dłonią — być może Zmory,<sup>1)</sup> lub Południcy.

Żona pana Zdzisława podczas odwiedzin męża w Widawie spała z nim w opisanej sypialni. W nocy przebudziła się i stwierdziła, że męża nie ma w łóżku. Jakież było jej zdziwienie, gdy po chwili odnalazła go w łazience ułożonego w wannie. On sam nie potrafił wyjaśnić jakim sposobem w niej się znalazł. Twierdził, że coś go tam zaprowadziło. Przeżyte w klasztorze niezwykle przygody pan Zdzisław przyczynowo wiązał z napotkaną zjawą pokutującego zakonnika. Pod wpływem tych doznań utwierdził się w przekonaniu, że w klasztorze straszy i z tego powodu nie chciał w nim nocować. Od tej pory wracał na noc do Łodzi i codziennie dojeżdżał do pracy.

#### WIDAWSKA POŁUDNICA

Starsi widawianie potrafią wskazać uroczysko aptekarzowskie położone za lasem otaczającym cmentarz grzebalny, po prawej stronie rzeki Niecieczy. Mój dziadek Andrzej Bedna-

<sup>1)</sup> Zmora — widziadło senne paraliżujące odruchy ciała i powodujące stan duszenia; zjawy widziane rzekomo na jawie.

rek opowiadał, iż w pogańskich czasach na tym miejscu znajdowało się słowiańskie cmentarzysko. Zdarzało się, że podczas prac rolnych wyorywaną tu wypełnioną prochami urną, świadczącą o pochówkach całopalnych. Według opowieści dziadka, później to miejsce upodobała sobie Południca<sup>1)</sup>, która wiele zła wyrządzała mieszkańcom pobliskich okolic. Najczęściej w upalne południa przybierała postać, którejś urodziwej widawskiej dziewczyny i swym powabem kusila napotkanych w polu dorastających chłopaków. Ci co ją widzieli opowiadali, że odziana w spódnice ze żdźbła słomy ze zwisającymi kłosami patrzyła na nich przenikliwym wabiącym wzrokiem i odsłaniała płócienną białą płachtę obnażając ramiona i piersi.

Biada temu parobkowi, który w porę południa nie zszedł z pola. Spotkany przez nią ślepo ulegał jej urokowi. Doznawszy z nią zmysłowych rozkoszy na zawsze stawał się bezpłodnym. Od tej pory nie nęciły go dziewczęta, zostawał starym kawalerem, a niejedni skończyli życie umierając na suchoty. Za chwilę rozkoszy z Południcą płacił tak wysoką cenę.

Południca rzucała także uroki na dziewczęta. Niech tylko jaka szła przez pola w południe zbyt obnażona, lub za swą potrzebą przykucnęła między łanami zboża na miedzy, wnet taką zauroczyła by była nieplodną i nekaly ją kłopotliwe krwotoki. Bywało też, że do tej dziewczyny przychodziła potem nocą pod postaćią Zmory by ją dusić i splecać jej włosy w poczochrane warkocze, których nie sposób było rozczesać.

Ta legendarna zjawy potrafiła również szkodzić bydłu. Zdarzało się, że dojnym krowom odbierała mleko, lub z krwią mieszała, a wtedy mleko z udoju miało barwę różową. Trzeba było przestrzegać, by w południe krow nie pozostawiać na pastwisku i nie wypasać na polnych miedzach.

Najczęściej w lipcu na okolicę sprowadzała gwałtowne burze gradowe, a podczas tych nawałnic urządzała harce, tarzając się z biesiami po łanach dojrzewającego zboża. Po takich burzach gospodarze ze zgrozą stwierdzali, że zboże leżało pokotem długimi pasami, jak uwalcowane. Były to najczęstsze zemsty Południcy za to, że przez dłuższy okres czasu z żadnym parobkiem randki nie odbyła.

Ludność tutejsza w upalne lata, poczynając od wykłoszenia się zboża, aż do jego zżęcia, żyła w nieustannym niepokoju. Pracują-

<sup>1)</sup> Południca — według dawnych wierzeń ludowych: upiór w postaci kobiety odzianej w płachtę, ukazujący się na polach w upalne dni.

cy przed południem na polu raz po raz spozierali na słońce, by w porę do wsi powrócić. Na dźwięk kościelnego dzwonu wszyscy bezwzględnie przerywali pracę i z podręcznymi narzędziami podążali do zagród. Nie tylko starsi, ale również dziewczęta i co przezorniejsi parobkowie, w taką chwilę nabożnie się zegnali i szepcząc „Anioł pański...” bez oglądania się wstecz, przyspieszali kroku.

Wykształceni ludzie tym ludowym baśniom niedowierzali. Do nich należał widawski aptekarz Julian Komorowski. Naśmiewał się z tych opowiadań i twierdził, że „w zabobony nie trzeba wierzyć”. Mimo ostrzeżeń wybrał się w upalne popołudnie na swoje pole położone na uroczysku. Chciał się w słońcu opalić podczas wycinania ostu w zbożu. Po pewnym czasie spotkało go, wiele losowych doświadczeń, które miejscowa ludność wiązała z zemstą Południcy. Jego żona do swych kum się uskarżała, że mąż ją zaniedbuje unikając stosunków. Wkrótce tak poważnie się rozchorował, że na nic zdały się znane mu najskuteczniejsze leki. Sechł w oczach, krew w żyłach w wodę się obracała i po paru tygodniach zmarł w 45 roku życia. Jego żona ku przestrodze innym ufundowała mu epitafium, które umieszczono na jednym z filarów pod chórem pobernardyńskiego kościoła. Snując dalej tę opowieść dziadek twierdził, że od tego wydarzenia ówczesna ludność uroczysko zaczęła nazywać aptekarzowskim i jednocześnie ostrzegał, że Południca w okolicach Widawy nadal mści się na chłopakach, dlatego spotyka się tu sporo starych kawalerów.

#### POGRZEB KAŚKI

W opracowanym przez siebie studium historyczno-urbanistycznym o Widawie Janusz Kubiak pisze, że „przy głównych wylotowych drogach z miasta stały dworskie karczmy”. Z opowiadań mojego dziadka wiem, że jedna z nich znajdowała się na Tumidaju przy drodze do Świerczowa. W dawnych czasach wszystkie uroczystości rodzinne od chrzcina poczynając przeważnie obchodzono w karczmie. Zakręcano do niej jadąc po chrzcie z kościoła, żeby dziecko miało w przyszłości wesołe życie, a dopiero potem przenoszono się z biesiadą do domu rodzicielskiego. Pierwszy kielišek wypijano za pomyślność dziecka, a następne przepijano do niego, ciesząc się, że z diabełką zrobiono w kościele aniołka, bo tak właśnie powiadano.

Skoro na jarmarku targ został dłonią dobity i to przy świadkach, po wypłatach przychodziła najmilsza chwila litkupu — i podobnie jak się to teraz w Widawie zdarza (nie-

stety!) — godziło się targ w karczmie oblać. Pić należało w karczmie swego pana. Zachował się dokument z 1629 roku wpisany do księgi sądowej, z którego wynika, że za picie piwa lub gorzałki w karczmie innego dziedzica, chłop pańszczyźniany karany był chłostą dwunastu kijów. Podobnymi zarządzeniami dziedzice, właściciele ziemscy zapewniali zbyt napojów alkoholowych wyprodukowanych we własnych gorzelniach. Rozpijając zaś poddanych im chłopów, czerpali zyski z wydzierżawianych karczm.

Słyszałem od dziadka, że dzierżawcy, najczęściej Żydzi prowadzący karczmy, chcąc zwać chłopów do siebie uciekali się do takich — wielce skutecznych sposobów! — jak zawieszanie nad szynkwasem sznura po wisielcu, polewanie strzechy karczmy wywarem z ziół spod miotły czarownicy, czy kropienie izby karczemnej eliksirem z mrówek, żeby pijacy przychodzili zewsząd jak mrówki do mrowiska.

Życie w tych czasach toczyło się powoli, według swoiście pojmovanej filozofii. Lud wyznający wiarę w Sąd Boży, życie wieczne i ciała zmartwychwstanie nie lękał się śmierci. Była ona wyprawą w świat wolny, lepszy i sprawiedliwszy, wyprawą przygotowaną, oczekiwaną i naturalną. Ludzie traktowali śmierć zwyczajnie, jak urodziny, zabawy młodości, ożenek czy starość. Nie widzieli w niej niczego, co należałoby ukrywać, zakłamywać. Umierającemu jeśli zachowywał jeszcze przytomność umysłu, mówiono wprost, że pogrzeb będzie miał taki a taki, zbijano niemal na jego oczach trumnę (chyba, że sam już o nią przedtem się postarał). Ciało nieboszczyka, gromadnie z udziałem księdza sprowadzano do kościoła. Po egzekwiach wprowadzano na cmentarz, który dawniej otaczał kościół św. Marcina. Trumnę grzebano przodem na wschód, a wszyscy obecni, wyjąwszy rodzinę, rzucali na nią grudki ziemi. Pogrzeb nierzadko kończył się w karczmie stypą, którą nazywano Bożym obiadem lub poczęsem.

Dziadek w jednej z legend opowiadał o pogrzebie jaki swojej żonie Kaśce wyprawił Marcin Gała — mieszkaniec z pól świerczowskich. Gospodarz ten znany z nawyków trunkowych, w karczmie na Tumidaju napotkał kumotra, przed którym chwalił się jaki to wspomniały pogrzeb wyprawił zmarłej żonie. Jednocześnie tęsknotę za utraconą Kaśką zalewał niejedną kwartą gorzałki, która coraz bardziej mąciła przytomność jego umysłu. Marcin wodził błędnym wzrokiem po karczemnej izbie i głośno prawił:

Słuchajcie kumotse! Takigo pogzebu jak moja Kaśka miała nik nimioł i nie bydzie mioł!

To było tak. Na pocuntku sed chłopceok i niós krzyż. Za chłopceokim sed ksiunc probosc i załośnie spiwoł. Za ksindzym proboscym sły styry kare kunie i ciungły karaban. Na karabanie w trumnie leżała moja nieboscka Kaśka, a za karabanym z dzieciokami sedym jo i rozpacnie płakołym.

Panie starsy! Dwa głymbse! Po wspólnym wychyleniu kieliszków dalej opowiadał: Słuchajcie kumotse! Takigo pogzebu jak moja Kaśka miała nik nimioł i nie bydzie mioł! To było tak: Na pocuntku sed ksiunc probosc i niós krzyż. Za ksindzym proboscym sed chłopceok i załośnie spiwoł. Za chłopceokim sły styry kare kunie i ciungły karaban. Na karabanie leżała moja nieboscka Kaśka, a za karabanym sedym jo i rozpacnie płakołym.

Panie starsy! Dwa głymbse! Po opróżnieniu kieliszków ciągnął dalej: Słuchajcie kumotse! Takigo pogzebu jak moja Kaśka miała nik nimioł i nie bydzie mioł! Słuchajcie to było tak: na pocuntku sły styry kare kunie i niesły krzyż. Za kuniami sedym jo i załośnie spiwołym. Za mną sed chłopceok i ciungnył karaban. Na karabanie leżała moja nieboscka Kaśka, a za karabanym sed ksiunc probosc i rozpacnie płakoł.

Panie starsy! Dwa głymbse! Wraz z ilością opróżnianych kieliszków coraz bardziej słabła jego przytomność.

Słuchajcie kumotse! Takigo pogzebu jak moja Kaśka miała nik nimioł i nie bydzie mioł! To było tak: Na pocuntku sedym jo i niuzym krzyż. Za mną sła moja nieboscka Kaśka i załośnie spiwała. Za nieboscką Kaśką sed ksiunc probosc i ciungnył karaban. Na karabanie leżały styry kare kunie, a za karabanym sed chłopceok i rozpacnie płakoł.

Panie starsy! Dwa głymbse! Wypili nie przekazując. Marcin zaś dalej ciągnął swą opowieść: Słuchajcie kumotse! Takigo pogzebu jak moja Kaśka miała nik nimioł i nie bydzie mioł! To było tak: Na pocuntku sed chłopceok i niós krzyż. Za chłopceokim sed ksiunc probosc i dwa kare kunie i we trójke głośno, załośnie spiwali. Za nimi sła drugo pora kuni i ciungła karaban. Na karabanie leżałym jo, a za karabanym sła moja nieboscka Kaśka i rozpacnie lzy loła.

Panie starsy! Dwa głymbse! Słuchajcie kumotse! Takigo pogzebu jak moja Kaśka miała nik nimioł i nie bedzie mioł! Posłuchajcie to było tak: Na pocuntku sła moja nieboscka Kaśka i niesła krzyż. Za nieboscką Kaśką sed ksiunc probosc i załośnie spiwoł. Za ksindzym proboscym sedym jo i ciungłym karaban. Na karabanie leżał chłopceok, a za karabanym sły styry kare kunie i rozpacnie płakały.

Panie starszy! Nalijcie dwa głymbse! Obydwaj kumotrowie mieli już wystarczająco w czubach, a Marcinowi mocno chwiała się głowa i niesamowicie płał język.

Takigo pogzebu jak moja Kaśka miała nik nimioł i nie bydzie mioł! Słuchajcie kumotse to było tak: Na pocuntku sed chłopceok i niós krzyż. Za chłopceokim sły styry kare kunie i ciungły karaban. Na karabanie leżał ksiunc probosc z moją nieboscką Kaśką, a za karabanym z ludem sedym jo i rozpacnie płakołym! Kiej doszlim tu na Tumidaj do karcmy, zol me tak ścisnył za gordziel, zem nie mógł zdzierzyć boleści. Z ty rozpacy wdeplym na głymbysygo. Dozwólcie kumotse wyzolić się przed woma, bo muse w tym niescynściu serce pokrzepić gozałką.

Panie starsy! Dejcie jescce dwa głymbse! Słuchajcie kumotse! Takigo pogzebu jak moja Kaśka miała nik nimioł i nie bydzie mioł! To było tak: I zaczął opowieść od początku...

Po dziś dzień zdarza się, że pogrzeby ze wsi odległych od kościoła (nieraz od 8—12 km), kończą się stypą w restauracji „Widawianka”, lub poczęsem urządzanym w domu któregoś widawiaka mieszkającego pod cmentarzem. Natomiast Marcin Gała, co z zażenowaniem odtować trzeba, ma licznych naśladowców wśród współcześnie żyjących mężczyzn zarówno w Widawie jak i w jej okolicach.

## CZARODZIEJSKI GRAJEK

Naogół potrafimy docenić dobrą muzykę, zachwycać się jej pięknem i wydaje się wprost niewiarygodnym, by jej słuchanie było przyczyną nieszczęść lub ludzkich tragedii. Pewnego razu z ust mojego dziadka słyszałem opowieść, jak to czar muzyki wiodł ludzi na nieuniknioną śmierć.

Opodał Widawy, nad świerczowskim lasem rozciąga się podmokły teren. Dawniej wydobywano stąd torf potrzebny na opał. W tych czasach obrzeżem bagna polną drogą — na skróty podróżowano do Kalinowej. Dziadek opowiadał, że po zapadnięciu zmroku, wędrujący tędy niejednokrotnie widzieli przesuujące się po polach świetliste słupy „Świetlików”, niekiedy zaś słyszeć było można dochodzące z bagien dźwięki przepięknej muzyki. Jedni mówili, że im wydawało się jakby ktoś grał na flecie, inni twierdzili, że wyraźnie słyszeć było grę skrzypiec, a jeszcze inni utożsamiali tę muzykę z grą na okarynie,<sup>1)</sup> czy podobnym do niej instrumencie, którego słucha się z wielkim upodobaniem.

<sup>1)</sup> Okaryna — gliniany instrument muzyczny, dęty, przypominający kształtem tułów ptaka.

Jednak nie słyszano, aby ktokolwiek opowiadał jak wyglądał ten tajemniczy grajek. Jeśli bowiem ktoś wędrując tędy ujrzał go na własne oczy i wsłuchał się w dźwięki przepięknych melodii zostawał urzeczoną ich czarem, a uległszy wpływowi podniosłego wzruszenia, zamykał oczy i na oślep podążał w kierunku grającego instrumentu. W ten sposób czarodziejski muzykant wiodł zasłuchanego wędrowca w najniebezpieczniejsze rejony trzęsawisk, aż ten pogrążył się w torfowym błocie i zatonał w głębinach bagna. Wielu tak zwiedzionych na zawsze rozstało się z życiem. Zaledwie nieliczni w porę zdołali wyrwać się mocy czaru muzyki i zawrócić z niebezpiecznych manowców, na którą wbrew woli zawędrowali. Potem opowiadali, że ów tajemniczy muzykant, podobnie jak horyzont, zwiewnie unosząc się nad bagnami oddalał się im w miarę jak do niego się przybliżali i z tego dystansu, nawet podczas księżycowej nocy, nie sposób było określić jego wyglądu. Wspominając tę niezwykłą przygodę czuli się szczęśliwi, iż udało się im ująć z opresji groźnego czaru.

Według starej tradycji, podobno wiosną 1864 roku, podczas pościgu za powstańcami najechał na bagno konny oddział Kozaków nieznających dobrze terenu i wtedy niemal wszyscy z nich tam potonęli. Dziadek twierdził, że od tego wydarzenia „złe” prowadzi na bagno. Ówczesni okoliczni mieszkańcy snuli przypuszczenia, że to dusze potępieńców, być może muzykantów kozackich, błakające się po świecie zwodzą wędrujących tutaj ludzi.

Po dziś dzień na opisanych torfowiskach utrzymują się niezbyt głębokie rozlewiska, w których żyją ryby. Mój brat Paweł pewnej nocy wybrał się tam wraz z kolegą i naszym psem na całonocne wędkowanie. Później opowiadał, że przed północą brodząc po mokradłach nagle w ciemnościach obaj ujrzeli jak spod powierzchni wody wyłoniło się coś świetlistego, jakby płonący zaostrzony słup ognia, który po chwili zniknął.<sup>1)</sup> To zjawisko bardzo ich spłoszyło. Pies skowycząc, z podwinętym ogonem szukał schronienia tuląc się im do nóg. Przejęci strachem pośpiesznie opuścili to miejsce rezygnując z nocnego łowienia.

Widocznie, choć teraz już tu nie słyszeć muzykowania tajemniczego grajka, „złe” uniemożliwia zakłócanie spokoju tym, którzy na wieki spoczywają w głębinach świerszowskiego bagna.

<sup>1)</sup> Ian Wilson w cytowanej już książce podaje na str. 115: „Czasami duch może być widziany przez dwie lub więcej osób jednocześnie; w innych przypadkach zdarza się, że doświadcza tego tylko ktoś jeden, niekiedy dziecko albo zwierzę, podczas gdy inni, znajdujący się obok niczego nie widzą.”

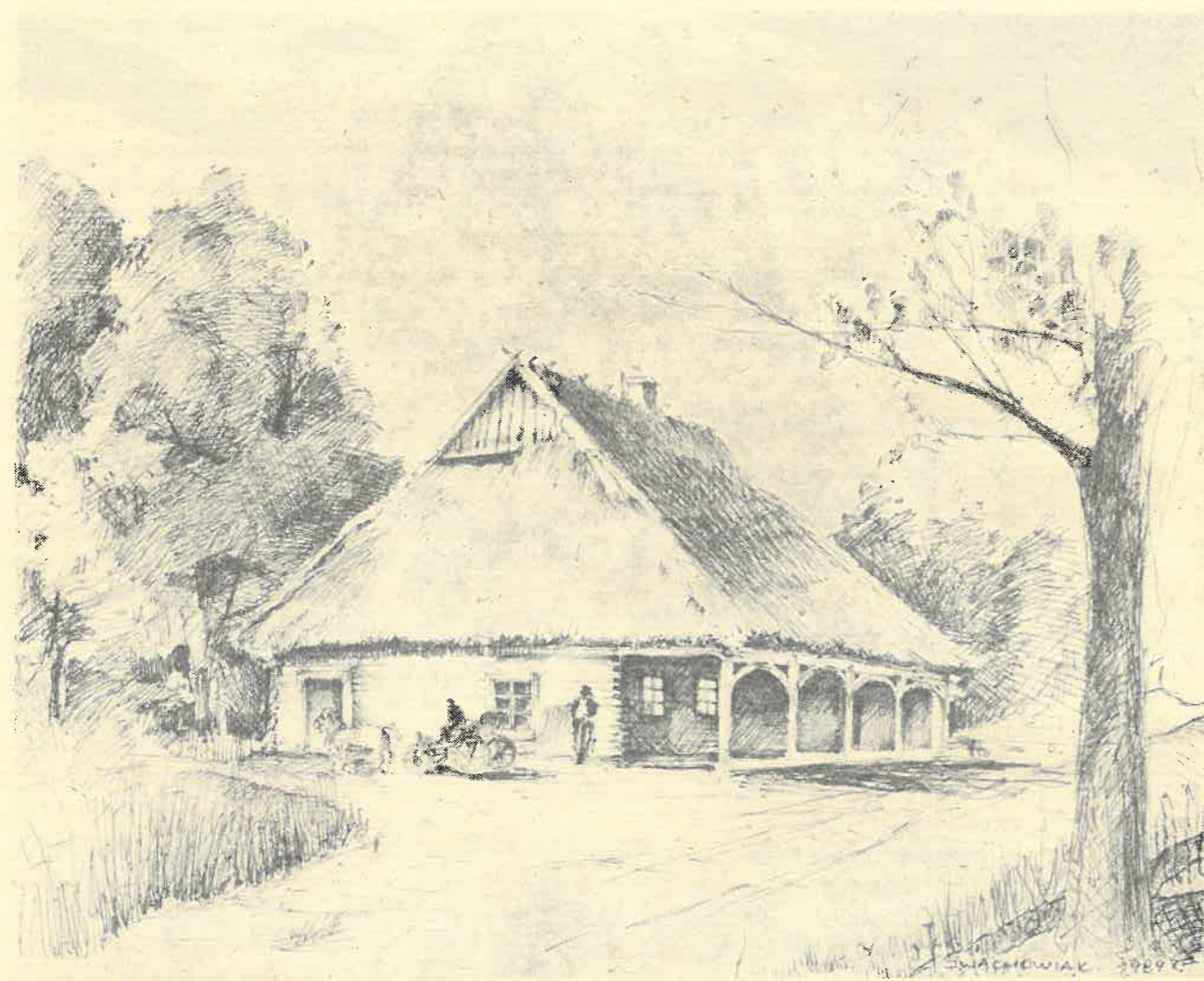
## I BĘDĄ JEJ SŁAWĘ PO MORZA SZUMIAŁY

Wierzby  
wierzby płaczące i wieszce,  
co urodą Polski i bólem wyrosły  
kiedy gród widawski jako ongiś jeszcze  
i strumyk Niecieczy jak niegdyś szeleszcze  
legendę jej snują  
pędów kołysaniem — gałęzi przemieszczeń  
— a czasem jesiennym tu zaplaczają deszczem  
rozwieszonym smutkiem  
lecz jeszcze piękniejsze  
— to znów pieśń przenoszą  
gdzieś w strony dawniejsze,

by powrócić wiosną  
i ziemi tej znowu warkoczami dotknąć  
i szeptać wśród liści wiosennych szeleszczeń,  
że zostaną tutaj  
gdzie od wieków rosną  
w cieniu jej sławy,  
że zostaną tutaj — w pejzażu Widawy  
i będą jej sławę po morza szumiały.  
Zanuć piosnkę i twojej chwały  
jeśli ich posłuchasz  
jeśli je usłyszysz  
kiedyś tutaj zechcesz.

1989

Juliusz Kotlicki



KARCZMA NA TUMIDAJU XVIII W.

rys. J. Wachowiak

## Wrażenia z wycieczki na Kubę

Nareszcie wyłoniła się możliwość zobaczenia tej pięknej wyspy, tak często i z zachwytem opisywanej najpierw przez zdobywców, potem przez pisarzy i wszystkich innych, którzy mieli szczęście znaleźć się wśród tropikalnej, bujnej roślinności tej największej wyspy Wielkich Antyli.

Krzysztof Kolumb wylądował na Kubie 27 października 1492 roku. Został tam trzy plemiona Indian: Tainos (reprezentowali najwyższy poziom) Siboney i Quanajetabeyes. Tainos pochodzili prawdopodobnie z Haiti i podporządkowali sobie pozostałe plemiona. Dowódcą konkwistadorów, którzy podbili Kubę był Diego Velasques. Historia przekazała nam imię tylko jednego przywódcy walczących Indian, Hatneya, który po nieudanym ataku na fort w Baracoa został schwytany i spalony na stosie. Egzekucję tę jak i historię wyniszczenia Indian opisał jezuita, ojciec Bartolomeo de las Casas.

Kuba zajmuje powierzchnię 107,8 tys. km<sup>2</sup>. Posiada 10 500 mil. mieszkańców (1987). Jest oddalona od Florydy 180 km, od Jukatana 210 km, od Jamajki 140 km, a od Haiti tylko 77 km.

Są dwie trasy lotu z Polski na Kubę. Pierwsza przez Pragę i Montreal do Hawany. Druga przez Moskwę, Shannon (Irlandia), Gander (Nowa Fundlandia) i stamtąd na Kubę. Oczywiście pierwsza trasa jest korzystniejsza bo krótsza i przez to mniej męcząca. Niestety nam przypadła druga trasa. W Moskwie lądujemy na lotnisku Szeremietiewo II, oddanym do użytku w 1982 r. w związku z Olimpiadą. Było budowane przez RFN i jest naprawdę imponujące.

Do Hawany lecimy aerobusem radzieckim IL 86 o 2 pokładach, olbrzymem zabierającym 350 pasażerów. Do Irlandii mamy 3700 km (prawie 4 godz. lotu). W Shannon jest piękne, duże, nowoczesne lotnisko. Do budynku portu lotniczego z samolotu przechodzi się przez tzw. rękaw. Jest tu olbrzymi salon sprzedaży różnych artykułów, od których ilości i jakości nam Polakom kręci się w głowie. Zostajemy poczęstowani wspaniałą, aromatyczną kawą, jako, że czekamy tu ok. 1 godziny.

Następny etap do Gander na Nowej Fundlandii (Kanada) — 3200 km co zabiera nam 4 godz. Lecimy już z nową załogą. Ponieważ cały czas kierujemy się na zachód, słońce nie

zachodzi, jest widno i trudno się przespać. Lotnisko w Gander jest małe, prowincjonalne, z samolotu wychodzimy na płytę i tu w dworcu lotniczym jesteśmy równie gościnnie podejmowani kawą, lub coca-cola. We wnętrzu 4 zegary wskazują aktualny czas w Gander, Montrealu, Londynie i Moskwie. Na jednej ze ścian jest umieszczona mosiężna tablica, upamiętniająca otwarcie lotniska przez królową Elżbietę II — 19 czerwca 1959 roku. Znajdują się tu również tablice, na których turyści umieszczają naklejki z nazwami swoich krajów. Wygląda to bardzo barwnie i tworzy oryginalną dekorację ścian.

Do Hawany mamy z Gander 4 tys. km i czeka nas jeszcze 5 godz. lotu. Biorąc pod uwagę różnicę czasu jesteśmy w podróży już całą dobę. W Hawannie lądujemy na lotnisku José Martí o godzinie 19-tej. Lotnisko jest duże, dość nowoczesne i nosi imię pisarza kubańskiego bohatera narodowego, który na wygnaniu zorganizował walkę o wolność Kuby i za nią zginął w walce z Hiszpanami w 1895 r.

Mieszkamy w hotelu „National” pamiętającym czasy przedrewolucyjne w oryginalnym kolonialno-secesyjnym stylu. Jest usytuowany nad oceanem i z okna mamy wspaniałą widok zachodzącego słońca, rzucającego swe światliste, purpurowe promienie na łagodne, błękitne fale.

Następnego dnia od rana zwiedzamy Hawanę (2 mil. mieszkańców) autokarem „Skania” z klimatyzacją. Przewodnikiem, który będzie nam towarzyszył podczas całego pobytu na Kubie jest Lazaro (Lazarz), Kubańczyk o rysach negroidalnych i typowych dla tej rasy czarnych, kręconych włosach. Zna język polski, gdyż studiował w Polsce na Politechnice Gdańskiej — budowę maszyn okrętowych. Po powrocie na Kubę został wysłany do Etiopii na 2-letnią służbę wojskową, po odbyciu której podjął pracę w turystyce, gdyż nie znalazł pracy w swojej specjalności. Jedziemy najpierw bulwarem — Avenida del Colfo (Aleja Zatoki), a następnie Avenida Malecon, która ma 8 km dł. Przy tej Alei większość budynków powstała między 1902 i 1952 rokiem. Mijamy twierdzę i forty „Trzech Króli” na skalistym cyplu z XVII w. Broniły one miasto przed napadami korsarzy. Skręcamy w Bulwar Prado, centrum handlowe, wierzymy na

słowo, bo nie widzimy sklepów, które podobno są czynne od 12.30 do 19.30. Ciekawe co w nich się sprzedaje, jeżeli wszystko jest na kartki. Zatrzymujemy się przed Kapitołem, który był siedzibą rządu, a teraz mieści się tu Akademia Nauk. Przejazd robi przygnębiające wrażenie, gdyż budynki, poza rządowymi i partyjnymi są zaniedbane, odrapane, farba i tynki odpadają płatami. Widać, że od lat nie robi się tu remontów. Dalej jedziemy Aleją Salvadore Allende (dawniej Karola III z jego pomnikiem). Mijamy okazały pomnik Maximo Gomeza — prezydenta Kuby w latach dwudziestych n.w. Walczył o wyzwolenie Kuby z pod panowania Hiszpanów. Przy Alei Prezydentów mieszczą się ambasady. Największym i o dziwnej architekturze gmachem jest ambasada radziecka. Jest to rodzaj szarej, wysokiej wieży z małymi oknami, przypomina bunkier. Przy głównym budynku znajdują się jedno-piętrowe pawilony, prawdopodobnie dla personelu ambasady. Przejeżdżamy bardzo szybko, tak że nie możemy zobaczyć naszej placówki, która znajduje się nieco z boku. Na nasze protesty brak odpowiedzi. Dziwne, że nasz przewodnik przekazuje nam ciekawą informację, dotyczącą próby o azyl w ambasadzie Peru przez 50 Kubańczyków w 1980 r. Za ich przykładem poszli inni i w sumie zebrało się ich ok. 10 tys. Po dłuższym czasie otrzymali zezwolenie na wyjazd, oczywiście tylko z podręcznym bagażem. Przejeżdżamy przez znaną niegdyś dzielnicę bogaczy Miramar. Dziś mieszkają tu biedni mieszkańcy Hawany, gdyż właściciele niegdyś pięknych willi wyjechali. Obecnie stan tych domów jest opłakany, a piękne ogrody nie pielęgnowane niszczeją.

Zatrzymujemy się przed jedynym w stolicy Kuby sklepem tzw. dyplomatycznym, w którym tylko obcokrajowcy mogą coś kupić za certyfikaty (otrzymaliśmy je po przylocie na Kubę). Natomiast za dolary można tu nabyć wszystko. Parę osób z wycieczki wybiera sobie coś według gustu i potrzeby. Przy wejściu do sklepu okazuje się paszporty.

Mijamy jeszcze dwa imponujące swą monumentalnością pomniki: José Martí i pierwszego prezydenta Republiki — Ojca Ojczyzny Carlosa Manuela de Cespedesa, który zniósł u siebie niewolnictwo i nawoływał do walk o niepodległość. Niestety wojna dziesięcioletnia (1868—1878) zakończyła się fiaskiem, a wyzwolenie nastąpiło dopiero 20 lat później w 1898 r.

Zwiedzamy pałac gubernatora (XVIII w.). Przed pałacem pomnik króla Ferdynanda VII, a na dziedzińcu Krzysztofa Kolumba, znany

z wielu reprodukcji. W jednej ze ścian pałacu od strony wewnętrznej jest wmurowana cegła ze starego Zamku Królewskiego w Warszawie, ofiarowana Hawanie. Można ją łatwo zauważyć, gdyż różni się kolorem od reszty muru. Jesteśmy mile zaskoczeni tym polskim akcentem. Wewnątrz pałacu: obrazy, portrety, kryształowe żyrandole, broń, lustra, wazy porcelanowe ze srebrem, sala ze sztandarami wszystkich formacji wojskowych, maska pośmiertna Maximo Gomeza Baeza i gabłota z jego bronią i odzieżą. Są również obrazy, upamiętniające sławne bitwy o niepodległość. W uliczce obok pałacu mieści się uniwersytet, założony w 1728 r., hotel w którym w r. 1930 mieszkał E. Hemingway na VII p. (ul. Obispo). Podziwiamy piękną katedrę wybudowaną przez jezuitów w 1777 r. w stylu barokowym. Jej fronton projektował architekt kubański Camacho. Wewnątrz świątyni zwraca uwagę figura patrona Hawany Christobala z dzieciątkiem Jezus. Przed katedrą wprawia nas w zachwyt oryginalny krzew o dwukolorowych kwiatach, żółtych i pomarańczowych. Efekt jest wspaniały. Niestety od przewodnika nie uzyskaliśmy wyjaśnienia dotyczącego nazwy tej rośliny. Naprzeciwko katedry stoi najstarszy dom w Hawanie z 1720 r. Niedaleko stąd znajduje się oszklony pawilon, w którym jest umieszczony jacht Fidela Castro „Granma” (przybył na nim na Kubę w grudniu 1956 r.). Przed pawilonem stoi warta honorowa. Mijamy dawny pałac F. Batisty, w którym mieści się obecnie Muzeum Rewolucji, nie możemy natomiast dowiedzieć się, gdzie mieszka F. Castro. Podobno nasz przewodnik nie wie, co wydaje nam się dziwne.

Na zakończenie zwiedzania starej Hawany udajemy się do restauracji — baru „Bodeguita del Medio”, gdzie spotykali się ludzie sztuki i rewolucjoniści. Zaglądał tu też często E. Hemingway. Pijemy koktail jego imienia, składający się z lodu, rumu, cytryny, cukru i liści mięty. Koktajl nosi też nazwę Mohito.

Do hotelu wracamy tunelem pod rzeką Almendares, nad którą leży Hawana. Tunel o dł. 750 m, głęb. 26 m został zbudowany przez Francuzów w 1956 r. Przejazd przed rewolucją był płatny, teraz przejeżdża się bez opłaty.

Następnego dnia przed południem mamy czas wolny. Udajemy się więc na spacer wzdłuż nadmorskiego bulwaru i tu w tak reprezentatywnym miejscu, gdzie spaceruje wielu turystów, budynki są zniszczone, okna brudne, papiery walają się na ulicy, widać, że nikt tu nie sprząta. Ponieważ zaczyna padać (pora deszczowa tuż-tuż) wybiaramy się na lody do pobliskiej rotundy, wspartej na 4 potężnych

wspornikach. Lody o różnych smakach są wspaniałe i niedrogie. Są one jednym z niewielu artykułów, które można kupić bez kartek, ruch więc jest tu duży. Widzi się wiele par mieszanych i dużo murzynów, co kłóci się z oficjalnymi danymi, które podają liczbę czarnych mieszkańców Kuby na 10—15%. Podczas spaceru obserwowaliśmy ciekawy dla nas obyczajowy obrazek na ulicy. Otóż listonosz roznosząc listy nie wchodzi do domów, tylko zatrzymywał się przed nimi, wyciągał gwizdek i gwizdał. Mieszkańcy tego domu przed którym się zatrzymał wychodzili i odbierali listy. Ciekawe, czy był to akt racjonalizacji, czy jest tu taki obyczaj?

Po obiedzie wyjeżdżamy do Pinar del Rio, miejscowości oddalonej na południowy-zachód od Hawany o 180 km. Będzie nam towarzyszyć 2 kierowców Rolando i Lusito, elegancko ubranych w granatowe spodnie, niebieskie koszule i granatowe krawaty. Parę kilometrów za Hawaną zatrzymujemy się, aby obejrzeć duże akwarium z rybami Morza Karaibskiego i Atlantyku. Są tu rozgwiazdy, ryby-piły, ryby różowe i żółto-fioletowe, srebrne, których nazw nie znamy, ale są piękne i to wystarczy, różnego rodzaju kraby itp. Oglądamy też krótki pokaz tresury delfinów prowadzony przez dwie młode dziewczyny. Delfiny jednocześnie się wynurzają, chodzą po wodzie jak po ziemi na ogonach, skaczą jednocześnie przez dwa koła. Jest to widowisko fascynujące, ale niestety krótkie, gdyż dopiero o godz. 16-tej są właściwe pokazy, również z fokami. W poszczególnych basenach przyglądamy się fokom, żółwiom. Są tu również pingwiny, które spacerują po ogrodzie i nie przeszkadza im upał. Akwarium zostało zbudowane w r. 1950 i do rewolucji było prywatną własnością. Mieści się w już wspomnianej niegdyś ekskluzywnej dzielnicy Miramar, której zaniedbanie nie odebrało uroku podkreślonego wielką ilością zieleni, palm drzew mango i innych ciekawych roślin. Jedziemy piękną aleją parkową (V Avenida) i dojeżdżamy do autostrady.

Po drodze obserwujemy bujną przyrodę tej pięknej wyspy. Rosną tu wszędziebylskie różnokolorowe Bouquenville, sosny kubańskie, drzewa mahoniowe, palmy wysokie i niskie, juty o potężnych długich liściach i pięknych białych, lub fioletowych kwiatach. Mijamy plantacje różnych gatunków ziemniaków, również słodkich oraz trzciny cukrowej. Przy jednej z nich zatrzymujemy się na chwilę i zostajemy obdarowani na pamiątkę kilku centymetrowym kawałkiem tej rośliny. Jest to tak gruba łodyga, że trudno wyobrazić sobie pracę przy jej ścinaniu. Od czasu do czasu widoczne są

stada bydła na łąkach. Hodowle prowadzone są przez spółdzielnie. Oficjalnie wolno mieć prywatnie 67 ha ziemi, ale jest to teoria, gdyż w praktyce poza nielicznymi wyjątkami, o których później, nikt nie ma więcej niż 2—3 ha. Trzcina cukrowa jest największym bogactwem Kuby. Jej zbiory przypadają raz w roku i trwają kilka miesięcy (od października do kwietnia). Są w 70% prowadzone sprzętem zmechanizowanym produkcji kubańskiej. Po zbiorze pole się zora i od nowa sadi. Trzcina cukrowa ma duże zastosowanie: łodyga służy do wyrobu cukru, zewnętrzna jej część ma zastosowanie do produkcji papieru, a z pozostałych wytlóków można jeszcze odzyskać słodki sok Tarapo. Gdzieś po drodze zdarzają się plantacje bananów. Obecnie na Kubie są uprawiane 3 odmiany tych smacznych owoców: żółte, czerwone (indyjskie) i do smażenia.

Dojeżdżamy do Pinar del Rio. Miasto to jest malowniczo położone u stóp gór Sierra de los Organos. Liczy 110 tys. mieszkańców. Zostało założone w 1774 r., ale jego rozwój nastąpił dopiero w XIX w. Jest tu rozwinięty przemysł meblarski. Dużo nowych bloków. Mieszkamy również w nowym, ciekawym architektonicznie hotelu, który nazwę wziął od nazwy miasta. W tym 1-piętrowym obiekcie wszystkie pokoje z balkonami są rozmieszczone naokoło patia, z pięknymi, kwitnącymi krzewami i basenem.

Dawniej miasto nosiło nazwę Nowe Filipiny, ale ponieważ jest otoczone lasami sosnowymi otrzymało nazwę Pinar del Rio. Leży nad rzeką Lama. Prowincja składa się z 14 okręgów i liczy ponad 600 tys. mieszkańców. Jest to okręg rolniczy. Głównie uprawia się tu tytoń (stąd pochodzą najdroższe cygara Monte Christo), ale też ryż (45 ha) i owoce cytrusowe (15 tys. krzewów). Rynkiem zbytu tych owoców jest przede wszystkim Izrael, następnie Meksyk. W kwietniu jest tu sezon na zbiór cytrusów, w maju na owoce mango i avocado. Banany i kawę zbiera się dwa razy w roku. Cały zbiór kakao ze względu na wysokie ceny na rynkach zagranicznych eksportuje się.

Hiszpanie chcieli zaprowadzić tu plantacje winogron, ale to się nie udało, natomiast tytoń okazał się najlepszy na świecie.

Po kolacji całe towarzystwo zbiera się nad basenem. Jest piękny, ciepły wieczór. Księżyc swym srebrnym blaskiem oświeca pobliskie góry, pachną kwiaty, jest romantycznie i cicho.

Z Pinar del Rio udajemy się do doliny Vinales odległej o 180 km na północ. Prowadzi do niej bardzo kręta droga. Na 90 km jest aż 78 zakrętów. Okręg Vinales ma 130 km<sup>2</sup> powierzchni 25 tys. mieszkańców (11 tys. w mieś-

mie Viniales, 9 tys. w Esperanzy, reszta na wsi). W dolnie, lasy to park narodowy z 3 powodów: urody, historii i badań naukowych. W skałach wapiennych występują odciski zwierząt pierwotnych. W skałach - mogotach, pojedynczych kopulastych skałach wapiennych znajdują się liczne grotty ze stalaktytami. Urządza się w nich kabarety i dyskoteki. Przez jedną z grot płynie rzeka i mieliśmy nią przepłynąć w łódkach od wejścia do wylotu, ale ominęła nas ta największa atrakcja z bardzo prozaicznego powodu, z braku światła. Niemniej trzeba przyznać, że uroda tego zakątka jest niezaprzeczalna. Dolina Viniales ma 10 km dł. i 5 km szer. Są tu plantacje tytoniu, kawy i kakao. Uprawia się też tu maniok i groch. Hoduje się też drób, bydło i konie. Są to tereny prywatne. Gospodarstwa są wyjątkowo duże, od 15 do 27 ha. W 70% to plantacje tytoniu. Zbiór wykonuje się ręcznie. Budownictwo wysokie jest tu zabronione. Domy nie mogą być wyższe od kościoła. Dawniej były kryte liśćmi palmowymi, teraz jest to zabronione ze względu na nadmierne wyniszczanie tych pięknych drzew. Obecnie domy pokrywa się dachówką. Suszarnie tytoniu mają dachy kryte blachą. Producenci są zobowiązani swoje zbiory sprzedawać wyłącznie Państwu. Do swojej dyspozycji mają tylko drób, który mogą odstępować prywatnie również za pieniądze. Kara za nielegalną sprzedaż produktów wynosi 5 lat więzienia.

Dolina Vinilase jest sławna również z występującej tu podobno od 50 tys. lat (nieprawdopodobnie) karłowatej, endemicznej palmy Copernicia torreana Leon. Rosną też wysokie, smukłe palmy królewskie, z górną zieloną częścią, ponad którą rozpościera się dopiero pióropusz liści. Dalej oglądamy plantację ananasów i kawy. Kawę zbiera się w lipcu, a więc teraz jest jeszcze niedojrzała. W każdym owocu znajdują się dwa ziarenka. Pod wpływem słońca nasienie się otwiera i ziarenka w ten sposób się suszą. Takie są sprzedawane Państwu i dopiero później są palone. Krzewy te dochodzą do 4—5 m wys.

Zwiedzanie tej pięknej, oryginalnej doliny pozostawia wiele wrażeń i daje dużo satysfakcji w sensie wizualnym i poznawczym.

Jadąc na obiad do restauracji mijamy osiedla, gdzie wszystkie domy są z gankami, a na nich bujane fotele. Później okaże się, że na całej Kubie będziemy spotykać takie domy i mieszkańców wypoczywających na bujanych fotelach. Widać sporo anten telewizyjnych na dachach. Przy domach brak ogródków, a ze zwierząt domowych widzieliśmy tylko nielicz-

ne świnię i kury. Nie zauważyliśmy również psów.

Po obiedzie wracamy do Pinar del Rio. Następnego dnia wyjazd do Hawany. W związku z tym, że droga jest dosyć daleka przewodnik Gabriel na naszą prośbę przekazuje nam garść informacji o szkolnictwie, służbie zdrowia, budownictwie i innych zdobycznych socjalnych na Kubie. W r. 1958 analfabetami było 24% ludności dorosłej, a w prowincji Oriente (2 mil. mieszk.) ponad 50%, w Hawanie 12%. Do szkół nie uczęszczało ok. 600 tys. dzieci tzn. ponad połowa ogółu roczników w wieku 6—12 lat. Tylko 10% dzieci, które rozpoczynały naukę, kończyło szkołę podstawową. Likwidację analfabetyzmu na Kubie ogłoszono 22 grudnia 1961 r. Odtąd ta data jest obchodzona jako Dzień Nauczyciela. Od r. 1962 wprowadzono nauczanie bezpłatne na wszystkich szczeblach. Na prowincji dzieci w wieku szkolnym mieszkają w internatach. W środę można je odwiedzić. Od 12-tego roku życia poza lekcjami pracują 4 godziny dziennie na plantacjach. Nauka, wyżywienie, książki, przybory szkolne i ubranie są bezpłatne. Dzieci dużych miast, ponieważ nie są w internatach mają obowiązek w czasie wakacji pracować na roli przez 45 dni, przy zbiorach na plantacjach. Wszystkie dzieci uczą się muzyki.

Istnieje też duża sieć żłobków i przedszkoli.

Kuba ma ponad 100 instytutów naukowych i ośrodków badawczych podległych Kubańskiej Akademii Nauk, Narodowemu Ośrodkowi Badań Naukowych oraz odpowiednim resortom i szkołom wyższym. „Uniwersytety znajdują się w 4 miastach: Hawanie, Santa Clara, Camagüey i Santiago de Cuba, a ich filie w 11 mniejszych ośrodkach, w tym 3 Akademie Medyczne, 10 instytutów pedagogicznych, 2 wyższe szkoły rolnicze oraz wyższą szkołę sztuki w Hawanie.

Kobiety rodzą w szpitalach. Ich urlop macierzyński wynosi 1 mies. Matka może wziąć urlop roczny, ale bezpłatny. Emerytury jak u nas, kobiety od 60 lat, mężczyźni od 65, obliczane średnio z 5 ostatnich lat pracy. Nie ma przymusu zatrudnienia, nawet jeśli ktoś nie pracuje otrzymuje kartki.

Służba wojskowa po szkole średniej trwa 3 lata, po studiach — 2 lata i to często odbywana poza granicami kraju.

Ciekawe są rozwiązania dotyczące służby zdrowia. Przychodnie mieszczą się przeważnie w pawilonach z mieszkaniem dla lekarza i pielęgniarek. Lekarz obsługuje 120 rodzin, łącznie z wizytami domowymi i skierowaniami do szpitala. Jest czymś w rodzaju lekarza domowego, ale nie z wyboru. Leki są pełnopłatne,

dość drogie, wszystkie z importu, przeważnie z ZSRR. Nie jest to z pewnością duży wybór. Można się o tym przekonać, zaglądając do tujejszych aptek.

Mieszkania są kwaterekowe. Nie jest określony czas oczekiwania, decydują zasługi i warunki. Jeśli ktoś ma kawałek ziemi może budować dom, ale trudno o materiały budowlane.

Na prowincji wieś jest zelektryfikowana, ale mieszkańcy głównie gotują na węglu drzewnym i to często na podwórkach. W małej miejscowości Huraria, Rosjanie budują pierwszą na Kubie elektrownię atomową.

W trakcie podróży zwiedzamy plantacje storczyków w SOROA (Tęcza Kuby). Ogród ten został założony przez zrozpaczonego ojca dla uczczenia pamięci córki zmarłej przy porodzie. Teraz po śmierci właściciela teren ten został przyjęty przez Państwo. Rośnie tu 700 gat. storczyków m.in. Kaistero z Australii, Vanda z Azji. Rosną one na drzewach, a wilgoć i pożywienie czerpią z powietrza. Poza orchidami w ogrodzie wiele ich znajduje się w pawilonach, w doniczkach. Jest tu posadzonych również 20 tys. innych roślin oraz 50 odmian palm, np. nogi słonia, palmy japońskie — piki, palmy z Madagaskaru — Paradanum utile i inne. Można tu podziwiać drzewa kawowe, eukaliptusy, rododendrony, filodendrony, begonie, magnolie z USA, anturium wielkie, bambusy wędrujące z zewnętrznymi korzeniami, hibiscusy, cedry meksykańskie, Esterlicje (Sterelizia reginae) o pięknych, pomarańczowych kwiatach zwanych rajskimi ptakami, grandiflorę — ucho słonia, Sansevierę — język krowy, draceny amerykańskie, araukarie, Alpinia speciosa o białych kwiatach. Wielką ciekawostką są małe ogórki rosnące na drzewach, o bardzo kwaśnym smaku. Za ogrodem chwilę odpoczywamy w cieniu wspaniałego 30 metrowego wodospadu rzeki Malantaes.

Obiad mamy w drodze do Hawany, w dużym pawilonie z orkiestrą, która popisuje się południowymi rytmami. W trakcie obiadu zjawiała się wycieczka z Meksyku i zajęła miejsca przy stole obok nas. Gdy dowiedzieli się, że jesteśmy z Polski zaśpiewali nam na stojąco swoją pieśń, po czym wznieśli okrzyk „Viva Polonia”, a w rewanżu my również na stojąco „Sto lat” i „Viva Mexico” i zaczęły się wspólne tańce. Niektórzy nawet wymienili adresy. Nastrój był bardzo sympatyczny. Wynika z tego, że cieszymy się w świecie sympatią.

Nocleg w Hawanie w tym samym hotelu. Następnego dnia wyjazd do Trynidadu — 350 km na południe Kuby nad Morze Karaibskie.

Po drodze zwiedzamy fermę krokodyli. Gady te leżą jak kłody bez ruchu, wyglądają jak nieżywe, ale wystarczy ruszyć je patykiem, aby gwałtownie i szybko reagowały. Udajemy się też do wioski indiańskiej, do której dopływamy statkiem. Jest to skansen z chatami i licznymi rzeźbami przedstawiającymi Indian przy pracy. Zostały one wykonane przez kubańską rzeźbiarkę Ritę Longo w 1961 r. Akwen nosi nazwę Jeziora Skarbów, ma 8 km dł. i 6 m głęb. Od tego jeziora na południe w odległości 12 km znajduje się Zatoka Świń (Bahia de Cocinos), gdzie wojna z USA trwała 72 godziny.

Szczep indiański z tych terenów (Tajnos) charakteryzował się spłaszczonym kształtem czaszki, który uzyskiwali przez przytwierdzenie niemowlętom 2 kamieni na przód i tył głowy. Chaty były kryte liśćmi palmowymi. Kobiety zamężne nosiły przepaski, dziewczęta chodziły nago.

W dalszej drodze mijamy miasto Cintevoś założone w 1819 r. które leży nad zatoką o tej samej nazwie (od nazwiska gubernatora) oraz plantacje drzew mango (odmiany żółte i czerwone) na obszarze 40 ha.

Niedaleko od Trynidadu znajduje się największa cementownia Ameryki Łacińskiej, zbudowana w 1980 r. przez NRD.

Pod koniec podróży obserwujemy na szosie ciekawe zjawisko. Po obydwóch stronach drogi znajdowały się krzaki i z nich wychodziły prosto pod koła pojazdów olbrzymie ilości krabów, aby przedostać się na drugą stronę. Nie szły w jednym kierunku, tylko w obydwu naraz. Wynik tego exodusu był dla nich fatalny, gdyż ginęły masowo, zabarwiając szosę na czerwono. Mogło się to też skończyć tragicznie i dla pędzących aut, gdyż łatwo mogły wpaść w poślizg. Ciekawe jaka była przyczyna tych wędrówek? Myśleliśmy, że wychodzą one tylko wtedy, gdy jest ciemno, bo jechaliśmy wieczorem, ale w drodze powrotnej historia się powtarza i to tylko na jednym odcinku.

W Trynidadzie mieszkamy w 1-piętrowym hotelu „Costa Sur” (Słoneczny Brzeg). Hotel jest piękny, o ciekawym rozwiązaniu architektonicznym, z basenem, palmami, kwitnącymi krzewami, które zewsząd otaczają budynek. Morze tuż za basenem, cudownie błękitne, ale wystające rafy koralowe uniemożliwiają w tym miejscu kąpiel. Plaża z żółtym piaskiem i parasolami z liści palmowych znajduje się ok. 800 m od hotelu. Ten piękny, nowoczesny obiekt oddany do użytku w 1974 r. ma już sporo mankamentów, jak choćby brak ciepłej wody, czy półek nad umywalkami, które praw-

dopodobnie zostały stłuczone i nikt tym się nie przejmując, by je uzupełnić.

Okolo południa kiedy następuje odpływ, rafy koralowe wylaniają się z morza w całej okazałości. Zanurzają się po godz. 18, podczas przypływu. Wieczory są tu bajeczne, zachwycające, gdyż jest właśnie pełnia księżyca i na falach morskich drga srebrna jego poświata, palmy lekko się kołyszą i słychać tylko cichy, miarowy dźwięk przyboju. Jest to prawdziwy, cudowny relaks. Zapomina się o wszystkich kłopotach i troskach zostawionych w domu.

Następnego dnia jedziemy do miasta Trynidad (Najświętsza Trójca). W pobliskich górach Sierra de Trynidad odbywały się walki przeciwników rewolucji (1961, 1962), które zakończyły się ich klęską w 1963 r. Port w Trynidadzie służy do eksportu kalmarów, langusty i cukru. Langusty łowi się ręcznie w rękawiczkach na głębokości 4,5—5 m. W kwietniu są w okresie chronionym i jest to przestrzegane, o czym sami mogliśmy się przekonać, nie spotykając ich w potrawach. Kalmary natomiast łowi się normalnie siecią.

Trynidad został założony w 1514 r. przez Velasquesa. Największy jego rozkwit przypadł na XVIII i XX w. Mieszkali tu głównie plantatorzy trzciny cukrowej. Budowali pałacyki w stylu kolonialnym, andaluzyjskim. Była to rywalizacja z arystokracją hawańską. Prawie wszyscy opuścili swe siedziby po rewolucji, ale rodzina Iznaga, składająca się tylko z dwóch osób mieszka w swoim pałacu z 1890 r. Zgodnie z konstytucją Kuby nie można ich wysiedlić. Ponieważ nie dysponują środkami na remont obiektu, pałac jest więc zaniedbany i czeka pewnie lepszych czasów.

Zwiedzamy Muzeum Historyczne, które mieści się w pałacu rodziny Cantero. Znajdują się tu portrety właścicieli, malarstwo kubańskie bardzo kolorowe, podobne w stylu i kolorystyce do meksykańskiego, piękne wazy, żyrandole z okresu kolonialnego, zbiór szabl, dyby niewolnicze, monety hiszpańskie, kolorowe szale, portrety walczących o niepodległość Kuby m.in. Rolofa Mianowskiego (jego pomnik znajduje się w Hawanie), flagi rewolucyjne. Znajduje się tu też makieta statku radzieckiego „Andrej Wyszynski”, który zawinął do portu w Trynidadzie 17 kwietnia 1960 r., przywożąc żywność.

W Trynidadzie na Placu Wielkim (Plaza Major) odbywały się niegdyś targi niewolników.

Pałace arystokracji są zmienione na muzea: rodziny Padron — muzeum Humbolta, rodziny Monserata — muzeum archeologiczne, rodziny Brunet — muzeum romantyczne. Zwie-

dzamy to ostatnie. Pałac ma oryginalne okna w kształcie wachlarzy, dach cedrowy, łoża metalowe wykończone masą perłową zakryte tiulem, wazy z porcelany francuskiej, sekretarzyk wiedeński z obrazkami z życia, 2 sypialnie w stylu hiszpańskim, kwiaty z muszli z 1860 r. Na półpiętrze herb rodziny Brunet (mieszkali w Trynidadzie od 1857 r. — tu się urodzili). Dalsza trasa naszego zwiedzania prowadzi do klasztoru zakonu z Asyżu. W patio trochę szokujące rekwizyty: łódź, którą przypłynęli kontrrewolucjoniści oraz ciężarówka radziecka, która dostarczała im żywność i leki. Zaiste, wybrano odpowiedni obiekt na tego rodzaju ekspozycję!

Trynidad jest uroczym miasteczkiem, przypominającym swym lekkim, finezyjnym budownictwem ojczyznę tych, którzy mieszkali tu przez kilka stuleci.

Po męczącym zwiedzaniu w temp. ok. +30° idziemy do pijalni La Conchanchara na koktajl z miodem generała Antonio Maseo, który bardzo nam smakuje, no i można posiedzieć w cieniu. Obiad mamy w restauracji motelu Las Cuevas (jaskinia). Obok restauracji robimy sobie zdjęcia przed oryginalnym pomnikiem ojca Bartolomeo de las Casas z kłęczącymi u jego stóp Indianami.

Następnego dnia czeka nas wielka atrakcja — wyjazd na wodne safari do Białej Wyspy. W przystani wsiadamy na statek, który ciągnie za sobą łódkę. Podczas rejsu odbywa się kilka ciekawych wydarzeń. Po pewnym czasie, już na pełnym morzu odczepiono łódkę z trójką marynarzy. Jeden wiosłował, a dwóch nurkowało i wylawiało duże muszle. Robiono to w zawrotnym tempie. Wrzucano je do łodzi po trzy naraz, tak, że po 15 minutach zebrano ich prawie pełną łódkę. Nurkowie wrócili na pokład, a do łódki pełnej muszli wrzucono skrzynkę i wsiadł jeszcze jeden członek załogi z młotkiem. Tłuczono nim muszle, aby ślimaki z nich wyszły, a muszle wrzucano z powrotem do morza. Ślimaki wniesiono na pokład, krojono je po barbarzyńsku na żywo na dość duże kawałki. Miały one służyć jako przynęta na ryby, które miano łowić. Wyglądało to następująco: w pojemniku znajdował się zwój liny, do której co parę metrów przywiązana była nylonowa linka z haczykiem. Nabijano na nie kawałki ślimaków. Lina miała na początku i końcu coś w rodzaju boi, w postaci żółtych, niezbyt dużych piłek. Trzech członków załogi znów wsiadło do łodzi i powoli wrzucało linę do wody. Połów odbył się po kilku godzinach, w czasie rejsu powrotnego. Był raczej skromny i niewspółmierny do wysiłku włożonego przez załogę, gdyż złowiono

tylko 2 duże ryby. Okazało się, że akwen ten jest bardzo bogaty w muszle, mniej w ryby. Dziwne, bo woda ciepła, mały ruch statków, ale to już tajemnicą natury.

Wszystkie te przygotowania i sam połów były niewątpliwie atrakcją wyprawy, podobnie jak skoki do wody i nurkowanie ekipy pletwonurków polskich, którzy z nami płynęli i łowienie przez nich muszli i rozgwiżdż. Pływali tylko w maskach nietlenowych z dość długą rurką nad głową. Pod płetwami mieli ciepłe wełniane skarpety. Robili to dla przyjemności i trochę dla treningu i swymi zdobyczami obdarowywali nas, za co byliśmy im niezmiernie wdzięczni, gdyż i muszle i rozgwiżdżki były okazałe i piękne.

Gdy dopływaliśmy do wyspy, przesiadliśmy się do łodzi, którą dotarliśmy do brzegu. Wyspa ta nie jest ciekawa, wąski pas plaży, brak cienia, gdyż rosną tu tylko krzewy i karłowate drzewa, morze tylko z brzegu nadaje się do kąpieli, dalej gęste wodorosty. Po 2 godzinach wracamy znów łodzią na statek, na którym już czeka na nas obiad, oczywiście z ryb z ryżem, pomidorami. Langusta była tylko do spróbowania, a więc kawałek. Na deser banany, pomarańcze, ananasy, piwo i kawa. Z całego dania tylko deser był smaczny.

Jest Wielki Piątek. Na pożegnanie w Trynidadzie uroczysta kolacja z 1 butelką wina „Muskat” na 6 osób. Jako dekorację ubrano drzewko — choinkę z zawieszonymi na gałązkach owocami: pomarańczami, pomidorami, tamaryskami itp. Prawdopodobnie naszemu Lázaro Wielkanoc pomyliła się z Bożym Narodzeniem, ale liczy się intencja. Całe menu w ciągu dnia zgodnie z naszą tradycją było postne. Deser po kolacji dekoracyjny — na półowce ananasa kawałki tego owocu, pomarańczy i banana. W podarunku cały ananas na 2 osoby. Na koniec kawa, która mimo, że jest tu uprawiana stanowi rarytas.

W wielką Sobotę wyjazd do Cienfuegos, gdzie zwiedzamy miasto i ogród botaniczny. Został on założony w 1901 r. Był pierwszą stacją Uniwersytetu Harward, do 1961 r. — filia Akademii Nauk Wydziału Botanicznego. Zajmuje obszar 90 ha, ma 200 tys. odmian roślin, 280 gat. palm, 60 fig oraz 23 bambusów. Poza tym wiele baobabów, filodendronów, orchidei, kaktusów, drzew chlebowych, cytryn filipińskich, fikusów, mimoz. Jest tu wiele roślin i drzew leczniczych i użytecznych np. Copernicia cerifera (Arr) Mart, dostarczająca cennego wosku Karnauba, używanego do wyrobu past do obuwia, mebli i innych wyrobów. Wosk ten zbiera się na powierzchni liści. Ciepły klimat sprzyja uprawie bardzo wielu gatunków

roślin strefy krajów gorących wszystkich części świata, i takie są tu zgromadzone i starannie pielęgnowane. Nawet dobry botanik zaznajomiony z roślinnością stref umiarkowanych gubi się tutaj w powodzi tysięcy egzotycznych roślin. Będąc na Kubie trzeba koniecznie ten ogród zobaczyć. Pozostawia bowiem niezatar-te wrażenie.

Po drodze mijamy fermy hodowlane, głównie bydła w kolorze beżowym i białym, niektóre z garbami. Na gankach obserwowanych domów wszędzie bujane fotele. Przejeżdżamy obok ośrodka związku młodzieży — pionierów, Domero nad Atlantykiem oraz budującą się drugą elektrociepłownię, przewidzianą na 3020 megawatów i zakład papierniczy budowany przez Polskę. Przemysł koncentruje się głównie w Hawanie, Cienfuegos i Santa Cruz.

Po kolacji już w Hawanie wybieramy się na Rezurekcję, która tu obchodzona jest w Wielką Sobotę wieczorem do kościoła parafialnego pod wezwaniem Najświętszej Panny z Carmen. Nabożeństwo koncelebrował proboszcz z siedmioma kapłanami, z których jeden był murzynem, jeden mulatem, reszta białych. Ministranci mieli też różny kolor skóry, jak i wierni, uczestniczący w tym misterium. Kuba jest państwem o całej paletce barw skóry swych mieszkańców. Nabożeństwo odbywa się tu trochę odmiennie niż u nas, z większym ceremoniałem. Jest większa więź między wiernymi, którzy przy życzeniach pokoju nie tylko podają sobie ręce, ale i całują. Poza tym wszyscy otrzymują karty z życzeniami świątecznymi, a przy wyjściu są żegnani przez proboszcza uściskiem dłoni. Bardzo nam się ten zwyczaj spodobał.

W pierwszy dzień Świąt wyjazd do Waradero, do największego kurortu Kuby, leżącego na półwyspie Itakos nad Atlantykiem. Zanim jednak tam dotrzemy zatrzymujemy się w byłej posiadłości Ernesta Hemingwaya, którą pisarz kupił od rodziny francuskiej w 1940 r. Obejmuje ona 9 ha pow. Została przekazana po jego śmierci przez rodzinę na własność Państwa. Wnuczki jego przyjeżdżają tu co 5 lat na mistrzostwa łowienia ryb, które są organizowane na pamiątkę uprawiania tego sportu przez pisarza. Dom od 1962 r. jest zamieniony na muzeum. Nie wchodzi się do wnętrza (podobno ginęło dużo eksponatów) a zbiory ogląda się przez okna: maszynę do pisania (pisał na stojąco, boso, bez koszuli, tylko w majteczkach), kolekcję białej broni, trofea z safari w Afryce, buty na różne okazje, kurtki, łazienkę z wagą (ważył się co 2 dni i wynik zaznaczał na ścianie), jadalnię ze stolikiem z zastawą dla 3 osób, mimo, że jadał tylko z żo-

na (4-tą — Mary), ale zawsze czekało nakrycie dla ewentualnego gościa, sypialnię z portretem E. Hemingwaya.

Obok właściwego domu jego żona wybudowała w 1947 r. wysoki, wąski budynek w kształcie wieży, aby tam mógł spokojnie pracować, ale pisarz niezbyt lubił tam przebywać. Obiekt ten jest udostępniony do zwiedzania. Jest tu cały zbiór fotografii, obrazy i grafiki.

W posiadłości był zatrudniony kucharz, kierowca, 4 ogrodników i 5—6 osób służby. Dziś ogród mimo że ze wspaniałymi okazami flory jest zaniędbany jak i korty i basen.

Przed Waradero znajduje się plantacja agawy henequen o obszarze 5 tys. ha. Agawa ta dostarcza włókno, służące do wyrobu lin, sznurów, mat itp. Agawa ta została sprowadzona z Yukatanu (Meksyk), żyje do 18 lat. Kwitnie tylko raz.

Waradero to cudowna miejscowość z piękną, szeroką, piaszczystą plażą, z ciepłym, przezroczystym morzem o 3 odcieniach turkusowego, w zależności od głębi morza. I to wszystko na tle błękitnego nieba. Za plażą palmy i kwitnące krzewy. W tym przepięknym zakątku spędzamy kilka godzin kąpiąc się i opalając ostrożnie, bo słońce bardzo intensywne. W restauracji przy plaży jemy również obiad, po czym zwiedzamy samą miejscowość autokarem, jako że jest ona dość rozległa. Oglądamy z mieszanymi uczuciami tę kubańską perłę, gdzie wszystko jest nastawione na turystę dewizowego. Tu kupuje się tylko za waluty wymienne, głównie dolary USA. Tu też pierwszy raz spotykamy czarne korale w postaci krzyżyków

na srebrnych łańcuszkach i w srebrnych pierścionkach. Podziwiamy piękne hotele, sklepy, restauracje. Zatrzymujemy się przed rezydencją Du Ponta — milionera amerykańskiego, pochodzenia francuskiego, który oczywiście już tu nie mieszka, a w jego domu jest muzeum. Zwiedzanie nie było w planie, więc robimy tylko zdjęcia, bo jest to miejsce godne upamiętnienia ze względu na oryginalny, kolonialny styl architektoniczny jak i położenie domu. Stoi on na wysokiej skarpie w otoczeniu palm, klombów i przystrzyżonych trawników, a z góry spogląda się na bezbrzeżną, błękitną morską dal. W Waradero mieszczą się ośrodki turystyczne w dawnych prywatnych willach, port jachtowy, lotnisko międzynarodowe, jaskinia piratów, gdzie mieści się kabaret. Znajduje się tu też wiele obiektów wykupionych przez obcokrajowców dla swoich turystów np. hotel „Pulma” przez Hiszpanów, hotel „Bella Mar” przez ZSRR. Pełni wrażeń wracamy do Hawany.

Wieczorem atrakcyjna wyprawa do głośnej restauracji — kabaretu „Tropicana”, gdzie występy odbywają się pod gołym niebem, wśród tropikalnej roślinności, no i rytmy są bardzo gorące, wiadomo kubańskie. Kabaret zrobiony jest na wzór „Folies Bergere” czy „Casino de Paris”. Zmieniające się kolorowe światła co rusz wylawiają z ciemności postacie ubrane, a właściwie prawie rozebrane, ale w piuropuszkach na głowach, które ukazują się z góry, z boków, na różnych platformach, co chwila reflektory oświetlają kolorowo fontanny. Wszystko w ciągłym ruchu w iskrzącym się świetle. Jest to przeżycie niezapomniane. Żegnaj piękna, ale biedna Kubo.

cji — Ireneusz Kasprzysiak — krakowianin, współredagują — Andrzej Gaśienica-Makowski, Emil Kowalczyk i Witold Siemaszkiewicz. Autorami tekstów są m.in. ks. Józef Tischner, Włodzimierz Wnuk, Julian Sokołowski, Adam Piechowski, Tadeusz Staich, Roman Hennel i poeta — Stanisław Nęcza-Kubiniec.

Twórcy miesięcznika chcieliby, aby ich gazetę czytano na całym obszarze polskich terenów górskich a także w środowiskach polonijnych na Wschodzie, Zachodzie i w Ameryce. Poprzez swoje pismo Związek Podhalan chce być postrzegany jako społeczność związana specyficznie z górami i ludźmi zamieszkałymi nie tylko na Podhalu, ale na Spiszu, Orawie, Ziemi Pienińskiej i Gorczańskiej, na terenie Beskidów i Sudetów. Pierwsze numery skierowane były jednak do czytelników miejskich o zróżnicowanym profilu wykształcenia, jak również i do turystów celem przybliżenia im spraw kultury góralskiej oraz znaczniejszych postaci wywodzących się z rejonów górskich: poetów, pisarzy, artystów, księży, działaczy regionalnych, sportowców itp. Z jednej więc strony pismo popularyzować chce i przybliżyć historię góralszczyzny, z drugiej zaś pokazywać dzień dzisiejszy i możliwości ekonomicznego i społecznego rozwoju. W miesięczniku sporo też tematyki religijnej, gdyż kultura i sztuka góralska bardzo silnie związana jest z wiarą chrześcijańską czego dowodem liczne na tych terenach Sanktuaria Maryjne i Kalwarie Męki Pańskiej.

„Hale i Dziedziny” adresowane są też do nauczycieli i przewidują zamieszczanie różnorodnych materiałów mogących stać się bazą do podejmowania przez nich problematyki społeczno-kulturalnej, dydaktyczno-wychowawczej i metodycznej. Planuje się też włączenie do kolejnych numerów pisma ogłoszeń i reklam oraz informacji o inicjatywach gospodarczych,

kulturalnych a także związanych z ochroną środowiska.

W chwili obecnej gazeta samofinansuje się, liczy jednak na sojuszników — ofiarodawców i sponsorów, szczególnie wśród polonii chicagowskiej (ale nie tylko) gdzie liczebność członków Związku Podhalan przewyższa ilość wszystkich członków Związku w Polsce. Pismo dociera już zresztą, choć w niewielkiej jeszcze ilości do USA i Kanady, gdzie ma swoich wiernych czytelników i korespondentów. Dzięki poręcznemu formatowi i nowoczesnej poligrafii a także nawiązaniu do tradycji przedwojennych periodyków zakopiańskich takich jak ekskluzywne „Zakopane” czy popularna „Ziemia Podhalańska”, organ Związku Podhalan ma szansę stać się atrakcyjnym, nie tylko na rynku polskim ale i zagranicznym czasopismem społeczno-kulturalnym.

Dla łódzkich krajoznawców godnym odnotowania jest fakt, iż nr 6 „Hal i Dziedziny” z lutego br. znalazła się (jako pierwsza w polskiej prasie) informacja o Jubileuszu „Wędrownika”, zaś w nr 8 z kwietnia br. monografia „kamienicy pod Góralem” przy ul. Piotrkowskiej. Redakcja „Hal i Dziedziny” interesuje się również przebiegiem Łódzkich Tygodni Gór, działalnością Klubu Turystyki Górskiej „Kosówka” i „Trzech Koron” z Pabianic.

Dla zainteresowanych tym wartościowym periodykiem i ewentualną prenumeratą podaje adres redakcji: „Hale i Dziedziny” 30-550 KRAKÓW, ul. Wadowicka 12 pok. 107, 108.

ZBIGNIEW LIPOWSKI

## Blżej korzeni...

Do niewielkiej jeszcze ilości periodyków regionalnych III Rzeczypospolitej, jesienią ubiegłego roku dołączyła nowy tytuł: „Hale i Dziedziny — Miesięcznik Ziem Górskich” sponzorowany przez Związek Podhalan finansowany przez Fundację Podhalańską. Redaktorem naczelnym gazety jest zakopiańczyk — Franciszek Bachledda-Księżdzulorz, sekretarzem redak-

### Spis treści rocznika 1990 Biuletynu PTTK „Wędrownik” Nr I-III (325—327) 90

- Adam Ochocki — Gazety i sensacje dawnej Łodzi  
Jerzy Urbankiewicz — Ci z Piotrkowskiej  
Mirosław Jaskulski — Rynek Nowego Miasta (Plac Wolności) — projekt i realizacja  
Daniela Kaszczyk-Grodzicka — Znane rodziny farmaceutyczne w Łodzi  
Daniela Kaszczyk-Grodzicka — Farmaceuta łódzki Leopold Skulski — polityk, społecznik i mąż stanu II Rzeczypospolitej Polskiej  
Katarzyna Hanisz — Działalność społeczno-polityczna i kulturalna łódzkich farmaceutów na rzecz miasta i jego mieszkańców w okresie dwudziestolecia międzywojennego  
Stanisław Bulkiewicz — W 50-lecie utworzenia getta łódzkiego (1940—1990)  
Jan T. Siciński — 60 lat rezerwatu „Polesie Konstantynowskie”

- Zbigniew Lipowski — Pałac Kindermanna przy ul. Piotrkowskiej 139  
Grażyna Kobołek — Kwesty filantropijne w Łodzi na przełomie XIX i XX wieku  
Sylwester Sobiech — dzwony, dzwoneczki  
Stanisław Bulkiewicz — Medal z mjr Henrykiem Dobrzańskim — „Hubalem”  
Przemysław Pilich — Sanktuarium pogańskie na Dobrzeszowskiej Górze  
Zbigniew Parafianowicz — Traca dla Ciebie — Pieszko do dworku Paska  
Jerzy Spychała — Muzeum w klasztorach murach  
Zbigniew Wilk — U kajakarzy przed sezonem  
Zbigniew Wilk — Igraszki z Neptunem  
Przemysław Pilich — Globtroter — Informator tram-pingowy  
Zbigniew Piąstka — Sport łódzki w 40-leciu PRL  
Wanda Kruszyńska i Zbigniew Lipowski — Z uśmiechem przez życie  
Rys. historyczny Oddziału Nauczycielskiego PTTK w Łodzi

Edwarda Szeplińska — Historia IV Liceum Ogólnokształcącego im. Emilii Szanieckiej w Łodzi, ul. Nowotki 16

Jerzy Urbankiewicz — Ci z Piotrkowskiej

Mirosław Jaskulski — Z tradycji muzycznych Łodzi: Artur Rubinstein

Aleksander Gieysztor — Krajoznawstwo i tożsamość kulturalna

Lechosław Fularski — Jak odbudowano kapliczkę na Bukowej Górze

Anna Pilarska — urzeczeni Górami Świętokrzyskimi

Stefan Dryll — Dawny Teatr Wielki przy ul. Konstantynowskiej w Łodzi

Mirosław Jaskulski — Cegielnia miejska w Łodzi

Adam Ochocki — „Ślepy Maks” i jego ferajna

Wanda Franciszka Dryll — Moje tajne nauczanie — obrazek z własnych przeżyć

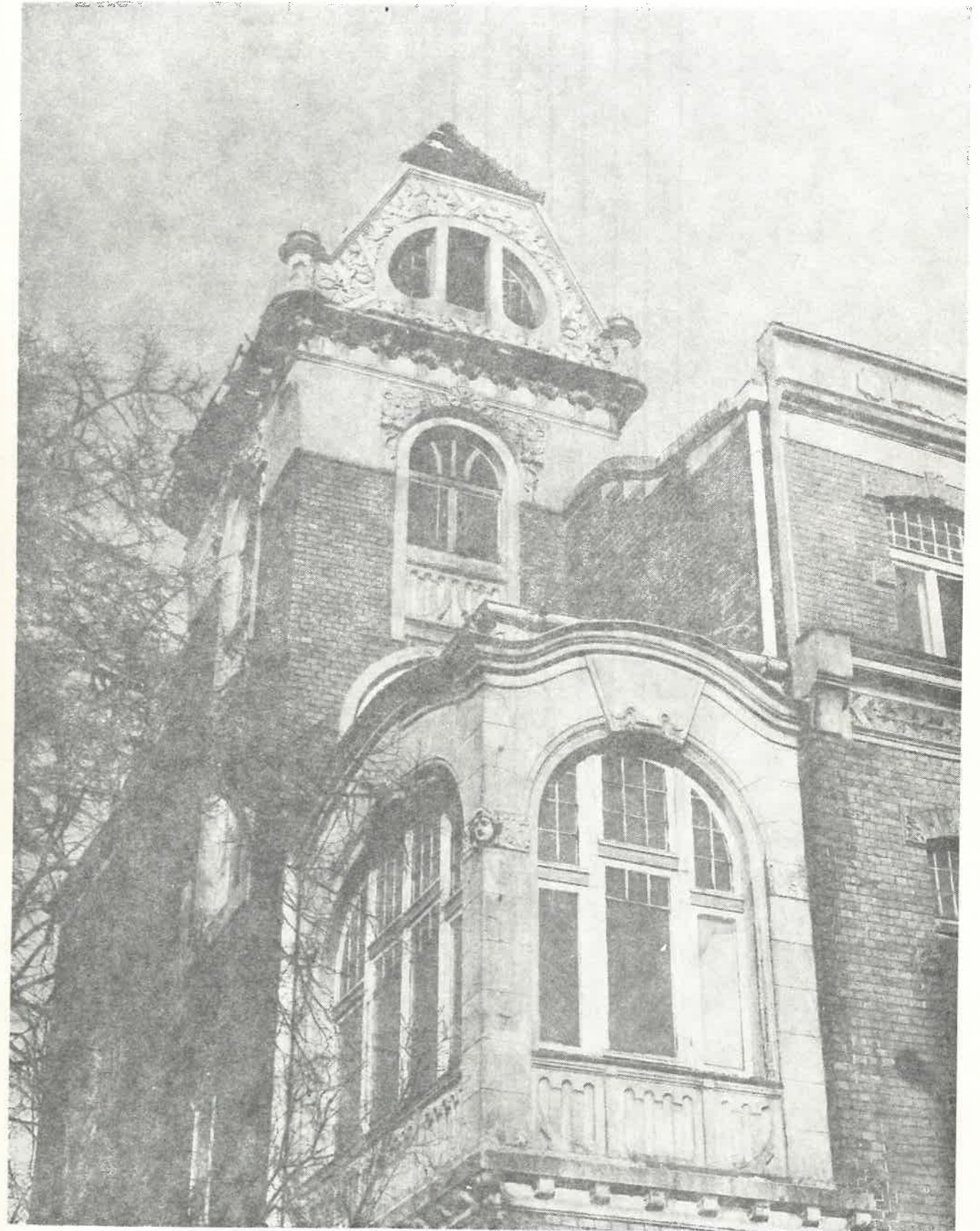
Stanisław Bulkiewicz — Oznaka na czapkę policjanta żydowskiego w Getcie

Przemysław Pilich — Harem w Grabkach Dużych

Mirosław Zbigniew Wojalski — Ilza Sternfeld (1911—1990)

Hanna Lipińska-Ebner, Ks. Jerzy Spychała — Wspomnienia z pielgrzymki do Lourdes i La Salette

Zbigniew Wilk — Szanować wodę



UL. REWOLUCJI 1905 R. NR 44

fot. B. Bazyliński



P-511

